

BOLESŁAW PRUS

EMANCYPANTKI

Bolesław Prus

Emancypantki

«Public Domain»

Prus B.

Emancypantki / B. Prus — «Public Domain»,

Właścicielka sławnej warszawskiej pensji, pani Latter, jest kobietą niezależną. Miała dwóch mężów, jeden z nich zmarł, drugi również uchodzi za zmarłego, choć losy jego owiane są tajemnicą. Samodzielnie wychowała dwoje dzieci i silną ręką kieruje instytucją wychowawczą dla panien. Jedną z jej pomocnic jest pracująca jako „dama klasowa”dziewiętnastoletnia Madzia Brzeska, którą cechuje dobroć serca, naiwność oraz... zdumiewająco niska samoocena. Zmagania tych bohatererek z życiem, z otaczającą rzeczywistością stanowią temat powieści Emancypantki Bolesława Prusa. Oprócz tych dwóch głównych postaci, przez karty powieści przewijają się cały korowód kobiet rozmaicie ustosunkowujących się do nowoczesnej wówczas idei emancypacji, jednolicie natomiast cechujących się hiperemocjonalnością lub wręcz skłonnością do hysterii, jak np. emancypantka w stylu brytyjskim, panna Howard. Z powieści, której akcja osadzona została w latach 70. XIX w., drukowanej w latach 90. (w odcinkach w „Kurierze Codziennym” w 1890 r., wyd. całości w 1894 r.), nie dowiemy się o tym, czym istotnie był wówczas ruch na rzecz wyzwolenia kobiet w Polsce - w tym celu lepiej sięgnąć po teksty Żmichowskiej (np. opracowane przez Boy'a listy). Dowiemy się natomiast wiele o potocznych opiniach, funkcjonowaniu plotki oraz obowiązujących obyczajach. Ukazana przez Prusa rzeczywistość społeczna, w której funkcjonowały kobiety, niezależnie od zamierzeń autora robi wstrząsające wrażenie. Powieść o emancypacji kobiet w sposób zadziwiający przeistoczyła się pod piórem pozytywistycznego pisarza w powieść o pieniądzu: o kredycie, kapitale, zyskach i kosztach, materialnych podstawach bytu, o ekonomii zakreślającej horyzont aspiracji.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

Tom I	6
1. Energia kobiet i męskie niedołęstwo	6
2. Dusze i pieniądze	17
3. Świtanie myśli	21
4. Brzydka panna	26
6. Taka, której się nie powiodło	36
7. Której się powiodzi	40
8. Plany ratunku	45
9. Przed wyjazdem	48
10. Pożegnanie	50
11. Znowu awantura	56
12. Nudne święta	59
13. Stary i młody tego samego gatunku	62
15. Pan Zgierski rozmarzony	71
16. Pan Zgierski praktyczny	75
17. Pierwszy uścisk	82
18. Kara za niedołęstwo	88
19. Pierwszy smutek	91
21. Rzeczywistość	97
22. Dlaczego synowie niekiedy wyjeżdżają za granicę	100
23. Znowu pożegnanie	104
24. Filozofia kuchenna	106
25. Wypędzeni wracają	111
26. Zatrzymywani odchodzą	115
28. Wiadomość o synie	125
29. Pomoc gotowa	131
30. Rój po odlocie matki	135
Конец ознакомительного фрагмента.	137

Bolesław Prus

Emancypantki

Tom I

1. Energia kobiet i męskie niedołęstwo

Około roku 1870 najznakomitszą szkołą żeńską w Warszawie była pensja pani Latter.

Stamtąd wychodziły najlepsze matki, wzorowe obywatelki i szczęśliwe żony. Ile razy gazety donosiły o ślubie panny majątnej, dystygowanej i dobrze wychodzącej za mąż, można było założyć się, że między zaletami dziewicy znajdzie się wzmianka, iż taka to a taka, tak a tak ubrana, tak a tak piękna i promieniejąca szczęściem oblubienica ukończyła pensję – pani Latter.

Po każdej podobnej wzmiance na pensję pani Latter wstępowało kilka nowych uczennic jako przychodnie albo jako stałe mieszkanki zakładu.

Nie dziw, że i pani Latter, której pensja tyle szczęścia przynosiła jej wychowanicom, sama była uważana za osobę szczęśliwą. Mówiono o niej, że choć zaczęła pracę skromnymi funduszami, musi jednak posiadać kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówką; nie wiedzano tylko, czy kapitał jest umieszczony na hipotekach czy w banku. Nikt o majątku nie wątpił, widząc balowe stroje jej córki, Heleny, prześlicznej dziewiętnastoletniej panienki, a nade wszystko słysząc o wydatkach syna, Kazimierza, który nie żałował pieniędzy.

Nie gorszono się jednak ani strojami panny, ani szykiem kawalera, jedno bowiem i drugie trzymało się pewnych granic. Panna Helena występowała na zebraniach świetnie, ale rzadko; zaś pan Kazimierz wybierał się kończyć edukację za granicą i bawił w Warszawie tylko chwilowo. Mógł więc sobie pozwolić.

Znajomi szeptali, że pani Latter nie bez racji życzliwie patrzy na wybryki młodego, który w towarzystwie dystygowanej młodzieży warszawskiej leczył się z demokratycznych mrzonek. Nawet podziwiano rozum i takt matki, która zamiast gromić chłopca za to, że nasiąknął zgubnymi teoriami, pozwoliła mu odrodzić się za pomocą wykwintnego życia.

– Kiedy młody przywyknie do towarzystw, gdzie nosi się czystą bieliznę, to przestanie zapuszczać długie włosy i potarganą brodę – mówili znajomi.

Młody przywykł bardzo prędko do strzyżenia włosów i czystej bielizny, a nawet zrobił się skończonym elegantem, tak że w połowie października zaczęto mówić, iż wkrótce wyjeżdża za granicę w celu studiowania nauk społecznych. Rozumie się, że miał jechać nie młody Latter, ale młody Norski. Pani Latter bowiem z pierwszego męża nazywała się Norska, a Helena i Kazimierz byli jej dziećmi z tamtego związku.

Drugi mąż, pan Latter... Ale o niego mniejsza. Dość, że pani Latter od chwili założenia pensji nosiła wdowie szaty. Że zaś po kilka razy do roku jeździła na Powązki i ozdabiała kwiatami grób pierwszego małżonka, więc nikt nie pytał się, czy i drugi małżonek spoczywa na Powązkach czy gdzie indziej.

Trudno dziwić się, że pani Latter, której los po dwakroć zdruzgotał serce, była chłodna w stosunkach i miała surową powierzchowność.

Pomimo lat czterdziestu kilku była jeszcze piękną kobietą. Wzrostu więcej niż średniego, nieokazałej tuszy, ale i nieszczupłą, miała czarne włosy nieco przyprószone siwizną, rysy wyraziste, płeć¹ śniadą i prześliczne oczy. Znaczący twierdzili, że takimi oczyma pani Latter mogłaby zawojować

¹ płeć (daw.) – cera; koloryt skóry twarzy. [przypis edytorski]

niejednego bogatego wdowca spomiędzy tych, których córki mieszkały u niej lub chodziły na jej pensję. Nieszczęściem właścicielka „czarnych diamentów” miała spojrzenie raczej przenikliwe aniżeli tklive, co w połączeniu z wąskimi ustami i postawą imponującą budziło dla niej przede wszystkim – szacunek, zarówno w kobietach, jak i w mężczyznach.

Ucennice bały się jej, choć nigdy nie podnosiła głosu. Najmocniej rozbawiona klasa milkła od razu, jeżeli w sąsiedniej sali dzieci usłyszały w pewien charakterystyczny sposób otwierane drzwi i równy chód przełożonej.

Damy klasowe, a nawet profesorowie podziwiali magiczny wpływ pani Latter na pensjonarki. Matki, mające dorosłe panny na wydaniu, z niepokojem myślały o jej córce, Helenie, jak gdyby młoda piękność mogła pozabierać im wszystkie partie i złamać przyszłość wszystkim gotującym się do małżeństwa dziewczynom. Niejeden zaś zamożny ojciec wątłego i brzydkiego syna myślał:

„Ten hultaj Norski zabrał zdrowie i piękność dziesięciu takim jak mój Kajtuś, choć i to chłopak niczego!”.

Była więc pani Latter na wszelki sposób szczęśliwą: zazdroszczono jej majątku, powagi, pensji, dzieci, nawet oczu. Mimo to na jej czole coraz głębiej rysowała się zagadkowa zmarszczka, na twarz coraz niżej zsuwał się cień, nie wiadomo skąd padający, a oczy coraz przenikliwiej wpatrywały się gdzieś poza ludzi, jakby usiłując dojrzeć wypadki niewidzialne dla innych.

W tej chwili pani Latter spaceruje po swoim gabinecie, którego okna wychodzą na Wisłę. Jest już schyłek października, o czym mówi rudożółtawe światło, którym słońce, kryjąc się za Warszawą, pomalowało domy Pragi, kominy odległych fabryk i szare, zamglone pola. Światło jest zwiędłe, jakby zaraziło się od zwiędłych liści albo nasiąkło rudą parą lokomotywy, która w tej chwili sunie daleko poza Pragę i znika jeszcze dalej, uwożąc jakichś ludzi, może jakieś nadzieje. Szkaradne światło, które przypomina schyłek października, szkaradna lokomotywa, która każe myśleć, że wszystko na tym świecie jest w nieustannym ruchu i znika dla nas, ażeby pokazać się innym, gdzie indziej.

Pani Latter cicho stąpa po dywanie gabinetu, który ma wygląd męskiej pracowni. Czasem spogląda w okna, gdzie zwiędłe światło przypomina jej koniec października, a niekiedy rzuca okiem na dębowe biurko, gdzie leży kilka wielkich książek rachunkowych, nad którymi pochyła się biust² Sokratesa. Ale zmarszczone czoło mędrca nie wróży jej nic dobrego; więc ścisną założone na piersiach ręce i chodząc przyśpiesza kroku, jak gdyby pragnęła już gdzieś dojść, byle prędzej. Oczy jej błyszczą mocniej niż zwykle, usta zacinają się wężiej, a na twarz coraz głębiej zapada ów cień, którego nie mogła odegnać ani piękność jej dzieci, ani opinia, jaką ona sama cieszy się u ludzi.

W salonie poczekalnym regulator wydzwonił wpół do piątej, w jej gabinecie duży zegar angielski jeszcze uroczyściej wybił wpół do piątej i w dalszych pokojach dźwięk ten cieniutko i spiesznie powtórzył jakiś mały zegarek. Pani Latter zbliżyła się do biurka i zadzwoniła.

Drgnęła ciemna kotara, cicho otworzyły się drzwi poczekalni i w progu stanął wysoki służący we fraku, z siwymi faworytami.

- O której godzinie oddał Stanisław list panu Zgierskiemu?
- Przed pierwszą, jaśnie pani.
- Jemu samemu?
- Do własnych rąk – odparł służący.
- Możesz odejść. A jeżeli kto z gości przyjdzie, wprowadź zaraz.

„Półtrzeciej³ godziny każe mi czekać, oczywiście nie mogę na niego rachować...” – pomyślała pani.

„Naturalnie – ciągnęła w duchu – on doskonale rozumie położenie. Do Nowego Roku potrzebuję siedem tysięcy sześćset rubli, od przychodzących będę miała dwa tysiące pięćset, za stałe zwrócą mi najwyżej tysiąc pięćset, więc jest cztery tysiące. A gdzie reszta?... Po Nowym Roku?... Po

² biust (daw.) – popiersie; typ rzeźby. [przypis edytorski]

³ półtrzeciej (daw.) – dwie i pół. [przypis edytorski]

Nowym Roku okaże się, że dochód jest o cztery tysiące rubli mniejszy aniżeli w latach poprzednich. Co się tu ludzi! Sześć stałych i dwadzieścia przychodzących ubyło i na rok następny nie przybędą, i już nigdy nie przybędą... Zostaje czystego dochodu najwyżej tysiąc rubli rocznie, co mogłoby wystarczyć dla jednej osoby, ale nie dla nas trojga... A co dalej?... Na pokrycie mniejszego długu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większy, więc w rezultacie musi się to wszystko skończyć... Zgierski otwiera mi oczy bez ceremonii; on nie łudzi się...”.

Życie pani Latter tak było wypełnione cyframi, cyfry tak dręczyły jej wyobraźnię, że na cokolwiek zwróciła oczy, wszędzie widziała cyfry. Rozpierały one księgi rachunkowe leżące na biurku, wyskakiwały z ogromnego złożonego kałamarza, pełzały po angielskich sztychach ozdabiających ściany gabinetu. A ile ich kryło się w ciężkich fałdach firanek, ile za szkłem rzeźbionej biblioteki, ile tłoczyło się w cieniu każdej portiery – nikt by nie zliczył.

Ażeby oderwać uwagę od szczupłych, dokuczliwych widziadeł, pani Latter podniosła głowę i stanąwszy na środku gabinetu zaczęła słuchać, co się dzieje na górze. Znajdował się tam salonik, w którym pensjonarki przyjmowały odwiedzających gości; lecz w tej chwili nie było gości, gdyż przez salonik ciągle przechodziły uczennice. Oto dwie starsze idą z sypialni do klas krokiem równym, zapewne trzymając się pod rękę; oto przebiega jakaś pierwszo- albo drugoklasistka; oto jedna wkoło obchodzi salonik, może uczy się; którejś innej upadła książka.

Wtem słysząc ciężkie i szerokie kroki – to panna Howard, najznakomitsza nauczycielka pensji. – Ach, ta Howard!... – szepnęła pani Latter. – Ta kobieta nieszcześnie mi przyniosła...

Równocześnie z wejściem panny Howard spacerujące uczennice uciekają z górnej salki, do której wchodzi kilka osób. Jedna, dwie i ktoś trzeci starszy... Ciężkie kroki panny Howard stały się szybsze i drobniejsze, słysząc przesuwanie krzeseł. Oczywiście ktoś przyszedł z wizytą.

„Może Malinowska, ta przyjaciółka Howardówny, zwiedza mi pensję?... – myśli pani Latter. – Do tych wariatek wszystko podobne!... Ma kilkanaście tysięcy rubli, więc zakłada pensję, ażeby mnie zrujnować... Naturalnie, że straci je we dwa lata, ponieważ zdaje się jej, że jest powołaną, ażeby zrobić przewrót w wychowaniu dziewcząt. Howardówna napisze jej program... Cha! cha!... To ucieszą się redakcje, które na jakiś czas przestanie kataplazmować artykułami. Kobiety samodzielne! ... Ja nie jestem samodzielną, bo z niczego stworzyłam pensję; dopiero one będą uczyły mnie samodzielności za trzysta tysięcy rubli, które Malinowska chce zmarnować według przepisów Howardówny...”.

Skazówka angielskiego zegara powoli zbliża się do piątej, przypominając pani Latter, że nadchodzi wieczorna seria jej przyjęć. Przypomina jej zarazem, że przez ten oto gabinet przesunęło się już wiele tysięcy osób, które czegoś żądały, prosiły, o coś zapytywały. Każda otrzymała odpowiedź, radę, wyjaśnienie i – co z tego?... Co zostało z tych tysięcy rad udzielonych innym?... Nic. Ciągłe pogłębiający się deficyt na dziś, a możliwe bankructwo na jutro.

– A... nie dam się!... – szepnęła pani Latter, chwytając się oburącz za głowę. – Nie dam się... nie dam moich dzieci, nic nie dam! To nieprawda, ażeby były położenia bez wyjścia... Jeżeli w Warszawie jest pensyj za wiele, upadną słabsze, nie moja.

Bystry jej słuch uchwycił szmer w poczekalni. Ktoś, zamiast dzwonić, poruszył parę razy klamką, a gdy lokaj otworzył drzwi, ktoś rozbierał się powoli i rozmawiał półgłosem.

Pani Latter skrzywiła usta odgadując z przygotowań, że taki gość przychodzi w swoim, nie w jej interesie.

We drzwiach ukazały się siwe faworyty służącego, który szepnął:

– Ten... pan profesor.

A w chwilę później wszedł do gabinetu człowiek w czarnym surducie, tęgi, średniego wzrostu. Miał twarz bladą, jakby nalaną, apatyczne spojrzenie z wyrazem dobroci, na łysinie kosmyk włosów, który jak ciemna kresa ciągnął mu się nad czołem od strony prawej ku lewej. Gość idąc z wolna wysoko podnosił kolana i trzymał duży palec lewej ręki za klapą surduta, co wszystko razem zdawało się świadczyć, że łagodny ten człowiek nie odznacza się energią.

Pani Latter stojąc z założonymi na piersiach rękami utopiła pałający wzrok w jego szklanych oczach; ale gość był tak flegmatyczny, że nawet nie zmieszał się jej spojrzeniem.

– Właśnie... – zaczął.

W tej chwili regulator, zegar angielski i mały zegarek w dalszych pokojach na rozmaity sposób wybiły piątą.

Gość zawiesił mowę, jakby nie chcąc przeszkadzać zegarom, a gdy umilkły, znowu zaczął:

– Właśnie...

– Zdecydowałam się – przerywa mu pani Latter. – Nie sześć, ale dwanaście lekcji tygodniowo będzie miał pan u mnie...

– Bardzo...

– Sześć jeografii⁴ i sześć nauk przyrodniczych.

– Bardzo... – powtórzył gość kiwnąwszy parę razy głową, lecz nie wyjmując wielkiego palca lewej ręki spoza kłapy surduta, co już zaczęło irytować panią Latter.

Znowu mu przerwała mówiąc:

– Przyniesie to panu profesorowi czterdzieści osiem rubli miesięcznie.

Gość zamknął usta, lecz zaczął szybko bębnić palcami lewej ręki po klapie surduta. Potem, skierowawszy łagodne oczy na nerwową twarz pani Latter, rzekł:

– To chyba nie po dziesięć złotych godzina?

– Po rublu – odpowiedziała przełożona.

Do poczekalni ktoś energicznie zadzwonił i wszedł z szelestem.

– Zdaje mi się, że mój poprzednik brał po dwa ruble za godzinę?

– Dziś nie jesteśmy w stanie płacić za te przedmioty więcej niż rubla... Zresztą mamy trzech kandydatów – rzekła pani Latter, patrząc na drzwi.

– To dobrze – odparł gość zawsze z równym spokojem. – Może by jednak w zamian moja siostrzeniczka...

– Pomówimy o tym jutro, jeżeli pan łaskaw – przerwała z ukłonem.

Gość, nie zdradzając zdziwienia, chwilę postął, zebrał rozpierzchniętą myśl i kiwnąwszy głową opuścił gabinet. Idąc podnosił kolana równie wysoko jak pierwej i nie wyjmował palca spoza kłapy surduta.

„Skończony safandula!” – pomyślała pani Latter.

Lokaj otworzył drzwi, przez które z poczekalni wtoczyła się nieduża, ale tęga i rumiana dama, w jedwabnej sukni orzechowego koloru. Zdawało się, że rozpuszczona jej szata napęła szelestem cały pokój i że reszta dziennego światła ucieka przed blaskami jej dewizek, pierścieni, bransolet tudzież świecideł połyskujących na rozmaitych punktach głowy.

Pani Latter przywitawszy ją podprowadziła do skórzanej kanapy, na której dama usiadła w taki sposób, jakby zamiast usiąść skróciła swój nieduży wzrost, i jeszcze bardziej rozpuściła suknię. Gdy służący zapalił parę lamp gazowych, można było przypuścić, że dama w pulchnych rękach z trudem utrzymuje cały potop jedwabnej materii, która może zatopić gabinet.

– Odprowadziłam na górę moje panienki – zaczęła dama – i chcę prosić, ażeby pani pozwoliła im jeszcze jutro pożegnać się ze mną.

– Pani jutro wyjeżdża?

– Ach, pani, tak, wieczorem – westchnęła dama. – Dziesięć mil koleją, a potem trzy mile kareta. Jedyną dla mnie pociechą w podróży będzie to, że moje dzieci zostaną pod opieką pani. Cóż to za dystygowana osoba panna Howard i co za pensja!...

Pani Latter na znak podziękowania schyliła głowę.

– Takich schodów nie widziałam na żadnej pensji – mówiła dama, oddając ukłon z wdziękiem, który odpowiadał obfitości jej orzechowej sukni. – I lokal prześliczny, tylko... mam do pani prośbę

⁴ jeografia (daw.) – geografia. [przypis edytorski]

– dodała z lubym uśmiechem. – Mój brat darował dziewczynkom bardzo ładne firanki nad łóżka, to z jego własnej fabryki. Czy nie można by zawiesić ich nad łóžeczkami?... Ja sama się tym zajmę...

– Nie miałabym nic przeciw temu – odparła pani Latter – ale doktor nie pozwala. Mówi, że firanki w sypialniach tamują przepływ powietrza.

– U pani leczy doktor Zarański? – przerwała dama. – Renomowany doktor! Znam go, bo przyjeżdżał do nas przed dwoma laty cztery razy z Warszawy (dziesięć mil koleją, a potem trzy mile powozem), kiedy mój mąż chorował, wybaczy pani, na pęcherz. Znam go doskonale (każdy przyjazd kosztował nas sto dwadzieścia rubli!), więc może by dla moich dzieci zrobił wyjątek?...

– Bardzo wątpię – odpowiedziała pani Latter – ponieważ w roku zeszłym nie pozwolił zawiesić firanek nad łóżkiem siostrzenicy hrabiego Kisiele, z którą mieszkają córeczki pani...

– Aa!... jeżeli tak!... – westchnęła dama ocierając twarz koronkową chusteczką.

Nastąpiła przerwa, w ciągu której zdawało się, że każda z pań chce coś powiedzieć i szuka właściwej formy. Dama w orzechowej sukni wpatrywała się w panią Latter, w miarę czego pani Latter usiłowała przybrać wyraz grzecznej obojętności. Ruchliwe oczy damy mówiły: „No, powiedz ty pierwszej, to ja będę śmielsza”, zaś posągowa twarz pani Latter odpowiadała: „Nie, ty mnie zaatakuj, a wtedy ja cię zwyciężę”.

W tej walce niecierpliwości z zimną krwią ustąpiła dama w jedwabiach.

– Chciałam jeszcze prosić pani – zaczęła – ażeby moje dziewczynki więcej pracowały nad talentami...

– Słucham panią.

– Jedna na przykład mogłaby uczyć się grać na cytrze... Ten instrument bardzo lubi mój mąż; nawet ma cytrę, bo kiedy praktykował w Wiedniu, należał do klubu cytrzystów. Druga mogłaby uczyć się malować, choćby pastelami... To tak ładnie widzieć panienki malujące pastelami!... Kiedym była w zeszłym roku w Karlsbadzie – wszystkie młode Angielki, ile razy nie miały partii do krokieta, rozkładały albumy i malowały. To bardzo uwydatnia wdzięki młodej osoby...

– Któraż z nich chce malować?

– Która? Żadna nie chce – odpowiedziała z westchnieniem dama. – Ale ja myślę, że powinna by uczyć się starsza, bo przecie pierwszej musi wyjść za mąż.

– Proszę pani, na co im te talenta?... – zapytała pani Latter miękkim głosem. – One, biedaczki, już i tak więcej niż inne pracują nad lekcjami...

– A... nie spodziewałam się od pani takiego zdania! – odparła dama, poprawiając się na kanapie. – Jak to, więc talenta nie są potrzebne panience w naszych czasach, kiedy wszyscy mówią, że kobieta powinna być samodzielna, powinna kształcić się we wszystkich kierunkach?...

– Ależ one czasu nie mają...

– Czasu?... – powtórzyła dama z subtelną ironią. – Jeżeli mają czas na szycie bielizny dla podrzutków w ochronach...

– Tym sposobem uczą się szyć.

– Moje córki, dzięki Bogu, nie będą potrzebowały szyć – odparła dama z godnością. – Ale mniejsza. Jeżeli pani nie życzy sobie tego, muszą poczekać.

Pani Latter zimno się zrobiło przy ostatnich słowach. Więc znowu mają ubyc jej dwie pensjonarki płacące dziewięćset rubli!

– W takim razie – ciągnęła dama wysilając się na lodowatą słodycz – może pani zrobi przynajmniej tę łaskę, ażeby panienki tańczyły...

– One uczą się tańczyć u pierwszorzędnego artysty baletu.

– Tak, pani, ale tańczą tylko z sobą i nie spotykają młodzieży. Tymczasem dziś – mówiła dama z westchnieniem – kiedy świat żąda od kobiety, ażeby była samodzielną, kiedy młode Angielki ślizgają się i jeżdżą konno razem z chłopcami, nasze biedaczki są tak nieśmiałe w towarzystwie panów, że... ani *be*, ani *me*... Mój mąż jest zrozpaczony i mówi, że do reszty zgłupiały...

– Pani, ja nie mogę zapraszać chłopców na lekcje tańca – odpowiedziała pani Latter.

– Ha, w takim razie – rzekła zniżając głos dama – nie zdziwi się pani, jeżeli od wakacyj...
– Niczemu się nie dziwię – odparła pani Latter, której gniew uderzył do głowy. – Co się zaś tyczy rachunku...

Dama złożyła pulchne rączki i rzekła tonem słodkim:

– Właśnie chciałam uiścić resztę za pierwsze półrocze... Więc jestem pani winna?

– Dwieście pięćdziesiąt rubli.

Głos damy stał się jeszcze słodszy, kiedy mówiła wydobywając z kieszeni portmonetkę.

– Czy nie można by okrągło... dwieście?... Przecież niektóre panienki płacą u pani po czterysta rubli rocznie, a na innych pensjach... Szczerze powiem, że ani myślałabym odbierać dzieci z takiej wzorowej pensji, gdzie jest prawdziwie macierzyński dozór, porządek, piękne maniery, gdyby pani zgodziła się na osiemset rubli rocznie... Bo nie uwierzy pani, co to za straszne czasy dla nas... Jęczmień zdrożał o połowę, a chmiel... pani! Niech pani teraz doda, że mamy trzy mile najgorszej drogi do kolei, że mój biedny mąż ciągle choruje na pęcherz, a ja na przyszły rok znowu muszę jechać do Karlsbadu... Przysięgam pani, że nie ma dziś nieszczęśliwszych ludzi jak fabrykanci; a wszystkim się zdaje, że nam brak tylko ptasiego mleka... – zakończyła dama ocierając, tym razem webową chustką, łzy płynące z oczu. Przeznaczenie koronkowej chustki było inne.

– Niechże będzie dwieście rubli na ten raz – odpowiedziała z wolna pani Latter.

– Droga, kochana pani! – zawołała dama, jakby chcąc rzucić się jej na szyję.

Pani Latter skłoniła się uprzejmie, wzięła dwie sturublowki i wyciąwszy kwit z księgi podała go okrągłej damie, na której twarzy radość i tkliwość goniły się jak dwa obłoki na wypogadzającym się niebie.

Wyprowadziwszy szeleszczącą i połyskującą damę do poczekalni i zatrzymawszy się, aż wyjdzie, pani Latter rzekła do służącego:

– Poproś pannę Howard.

Wróciła do swego gabinetu i zaczęła chodzić rozdrażniona. Widziała przed sobą szklane oczy profesora, który trzymał wielki palec lewej ręki za klapą surduta i bez protestu zgodził się na zmniejszenie mu dochodów o dwadzieścia cztery ruble miesięcznie, a obok – orzechową suknię i lśniące klejnoty damy, która jej urwała pięćdziesiąt rubli na półrocze.

„Ach, trudno!... – rzekła do siebie. – Kto potrzebuje, ten musi ustępować. Tak było, jest i będzie...”.

Zapukano do drzwi.

– Proszę wejść.

Drzwi uchyliły się i nie weszła, ale wpadła osiemnastoletnia panienka, a potem nagle zatrzymała się wobec przełożonej. Była to osobka średniego wzrostu, brunetka o rysach okrągłych. Na niewysokim czole czarne loczki włosów rozrzuciły się jej, jak gdyby szybko biegła pod wiatr, szare oczy, śniada twarz i rozchylone karminowe usta tryślały zdrowiem, energią i wesołością, którą tylko obecność pani Latter hamowała od szalonego wybuchu.

– A, Madzia... Jak się masz? – rzekła pani Latter.

– Przychodzę powiedzieć – mówiła szybko panienka, kłaniając się po pensjonarsku – że byłam u Zosi Piaseckiej. Ma biedaczka trochę gorączki, ale to nic groźnego, i tylko martwi się, że nie będzie jutro na lekcjach.

– Całowałaś ją?

– Nie pamiętam... Zresztą umyłam sobie twarz i ręce... To, proszę pani, nie może być nic złego – dodała z głębokim przekonaniem. – Ona takie kochane, takie dobre dziecko...

Pani Latter uśmiechnęła się.

– Cóż to było w trzeciej klasie? – zapytała.

– Ach, proszę pani – nic. Profesor najzacniejszy człowiek, ale niesłusznie się obraził. Myślał, że Zdanowska śmieje się z niego, a tymczasem było tak, że Sztenglówna pokazała jej na dachu kominiarza, no i ta w śmiech... Proszę pani – mówiła błagającym głosem, jakby chodziło

o ułaskawienie od ciężkich robót – niech się pani nie gniewa na Zdanowską. Ja już ułagodziłam pana profesora – ciągnęła figlarnym tonem – wzięłam go za rękę, spojrzałam mu pięknie w oczy i on już źle nie myśli o Zdanowskiej. A tymczasem ta biedaczka tak płacze, tak rozpacza, że nawet mnie jest jej żal...

– Nawet tobie?... – odparła przełożona. – Czy panna Howard jest na gorze?

– Jest. Właśnie jest teraz u niej z wizytą Hela i pan Kazimierz i rozmawiają o bardzo mądrych rzeczach...

– Zapewne o samodzielności kobiet?

– Nie, ale o tym, że kobiety powinny na siebie pracować, że nie powinny zanedbować siebie i że powinny być we wszystkim takie jak mężczyźni: takie mądre, takie odważne... Ale zdaje mi się, że właśnie idzie tu panna Howard.

– Przyjdź do mnie, Madziu, po szóstą, dam ci robotę – rzekła, śmiejąc się pani Latter.

Panienka znikła we drzwiach prowadzących do poczekalni, a tymczasem środkowe drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich słuszna dama w czarnej sukni. Miała długą twarz jednostajnie różowej barwy, włosy płowe jak woda wiślana podczas przyboru i figurę o tyle gładką, o ile wyprostowaną. Z wysoka kiwnęła głową pani Latter i rzekła kontraltem:

– Pani chciała się ze mną widzieć?... – powiedziała to tonem, poza którym czuć było frazes: „Kto chce widzieć się ze mną, mógłby przyjść do mnie”.

Pani Latter posadziła nauczycielkę na kanapie, sama usiadła na fotelu i ściskając pannę Howard za długie ręce rzekła serdecznym tonem:

– Chciałam z panią porozmawiać, panno Klaro. Przede wszystkim jednak proszę, ażeby pani nie posądzała mnie o zamiar obrażania jej...

– Nie przypuszczam, ażeby ktokolwiek miał prawo obrażać mnie – odpowiedziała panna Howard, cofając z rąk przełożonej swoje ręce, które w tej chwili okryły się chłodną wilgocią.

– Ja bardzo szanuję, panno Klaro, zdolności pani... – mówiła pani Latter, patrząc w blade oczy nauczycielki, na której czole ukazała się zmarszczka. – Podziwiam wiedzę pani, pracę, sumienność.

Różowe oblicze panny Howard zaczęło się chmurzyć.

– Szanuję charakter pani, wiem o ofiarach, jakie pani ponosi na cele ogólne...

Twarz panny Howard pochmurniała coraz bardziej.

– Z przyjemnością czytuję doskonale artykuły pani...

W tej chwili na obliczu panny Klary błysnęło coś jak snop słonecznego światła, który rozdarł chmurę brzemiennej piorunami.

– Nie na wszystko zgadzam się – ciągnęła pani Latter – ale dużo nad nimi myślę...

Fizjognomia panny Howard już wypogodziła się.

– Walka z przesądem jest trudna – odparła rozpromieniona nauczycielka – więc uważam za najwyższy triumf dla siebie, jeżeli czytelnicy choćby tylko zastanawiają się nad moimi artykułami.

– Zatem rozumiemy się, panno Klaro.

– Najzupełniej.

– A teraz pozwoli pani zrobić sobie jedną uwagę? – zapytała przełożona.

– Proszę...

– Otóż, panno Klaro, dla dobra tej sprawy, której poświęciła się pani, niech pani będzie ostrożniejsza w rozmowach z uczennicami, osobiście mniej rozwiniętymi, i... z ich matkami...

– Sądzi pani, że zagraża mi jakie niebezpieczeństwo?... – zawołała panna Howard głębokim kontraltem. – Ja jestem zdecydowana na wszystko!...

– Na wszystko, rozumiem, ale chyba nie na to, ażeby przekręcano myśli pani. Przed chwilą była u mnie osoba, z którą pani na gorze rozmawiała o samodzielności kobiet...

– Czy Korkowiczowa, ta piwowarka?... Gęś prowincjonalna!... – wtrąciła panna Howard tonem pogardy.

– Widzi pani, pani jest w tym położeniu, że może ją lekceważyć, ale ja muszę się z nią rachować!... I czy wie pani, jak ona skorzystała z rozmowy o samodzielności kobiet?... Oto żąda, aby jej córki uczyły się malować pastelami i grać na cytrze, a przede wszystkim, ażeby jak najprędzej wyszły za mąż.

Panna Howard rzuciła się na kanapie.

– Ja jej do tego nie namawiałam! – zawołała. – Wszakże w artykule o wychowaniu naszych kobiet wyraźnie protestuję przeciw zmuszaniu dziewcząt do fortepianu, rysunków, nawet do tańca, jeżeli nie mają talentu albo chęci. A w artykule o powołaniu kobiety napiętnowałam te lalki, które marzą o zrobieniu kariery przez zamążpójście... Wreszcie z tą panią nie rozmawiałam, jakimi powinny być kobiety, ale o tym, jak one wychowują się w Anglii. Tam kobieta kształci się jak mężczyzna: uczy się łaciny, gimnastyki, konnej jazdy... Tam kobieta sama chodzi po ulicy, odbywa podróże... Tam kobieta jest istotą wolną i czczoną.

– Czy pani zna Anglię? – nagle zapytała pani Latter.

– Wiele o niej czytałam.

– A ja tam byłam – przerwała pani Latter – i zapewniam panią, że wychowanie Angielek inaczej wygląda w naszej wyobraźni, a inaczej w rzeczywistości. Czy pani na przykład uwierzyłaby, że tam niekiedy panienki dostają różgą?...

– Ale jeżdżą konno...

– Jeżdżą te, które mają konie albo na konie, tak jak i u nas.

– Więc dziewczęta można uczyć konnej jazdy i gimnastyki – rzekła stanowczo panna Howard.

– Można, ale na pensji nie można otwierać rajtszuli⁵.

– Ale można założyć salę gimnastyczną, można wykładać buchalterię, rzemiosła... – niecierpliwie odparła panna Howard.

– A jeżeli rodzice nie życzą sobie tego, tylko chcą, żeby panny uczyły się malarstwa albo tańczyły z chłopcami?

– Ciemnota rodziców nie może być programem wychowania ich dzieci. Od tego są zakłady naukowe, ażeby reformowały społeczeństwo.

– A jeżeli z powodu reformy ucierpiałyby dochody zakładów naukowych? – spytała pani Latter.

– W takim razie kierowniczkę zakładów, ożywione poczuciem obowiązku społecznego, muszą zdecydować się na ofiary...

Pani Latter potarła czoło ręką.

– Czy sądzi pani, że każda przełożona pensji może ponosić ofiary, że ma środki?...

– Kto nie ma środków, powinien ustąpić tym, którzy je mają – odpowiedziała panna Howard.

– Ach, tak?... – rzekła przeciągle pani Latter, znowu pocierając czoło. – Boli mnie głowa, tyle dziś miałam zajęć... Więc panna Malinowska stanowczo otwiera pensję?...

– Ona wolałaby zostać wspólniczką jakiejś znanej firmy i... ja ją namawiam, ażeby rozmówiła się z panią...

Silny rumieniec wystąpił na twarz pani Latter. Przemknęła jej myśl, że taka spółka byłaby ratunkiem pensji albo... może – jej ostateczną ruiną?... Wspólniczka musiałaby dowiedzieć się o finansowym położeniu, miałaby prawo zapytywać o każdego rubla, którego wydaje Kazio...

– Ja nie będę wspólniczką panny Malinowskiej – rzekła pani Latter, spuszczać oczy.

– Szkoda! – odpowiedziała sucho nauczycielka.

– Ale pani, panno Klaro, będzie ostrożniejsza w rozmowie z uczennicami i... ich matkami?

Panna Howard podniosła się z kanapy.

– Tylko ja – rzekła – odpowiadam za własną nieostrożność, a przekonani moich zapierać się nie myślę...

⁵ rajtszula (daw.) – szkoła jazdy konnej. [przypis edytorski]

– Nawet gdybym ja skutkiem tego traciła pensjonarki, które ich matka chce umieścić na pensji tańszej i bardziej postępowej?... – mówiła wolno i dobitnie pani Latter.

– Nawet gdybym ja sama miała stracić zajęcie u pani – odpowiedziała równie dobitnie panna Howard. – Należę do osób, które ani idei, ani obowiązków społecznych nie poświęcą widokom osobistym.

– Więc czego pani chce ostatecznie?

– Chcę zrobić kobietę samodzielną, chcę ją wychować do walki z życiem, chcę nareszcie... uwolnić ją z zależności od mężczyzn, którymi pogardzam!... – mówiła nauczycielka, a jej blade oczy płonęły chłodnym blaskiem. – Jeżeli zaś pani sądzi, że jestem u niej zbyt cną, mogę usunąć się od Nowego Roku. Pani szkodzi czy tylko gniewają moje poglądy, a mnie męczy borykanie się z rutyną, rachowanie się z każdym słowem, walka z samą sobą...

Ukloniła się ceremonialnie i wyszła, stawiając dłuższe kroki niż zwykle.

„Histeryczka!” – szepnęła do siebie pani Latter, znowu ściskając rękoma czoło.

„Chce tu zaprowadzać buchalterię, rzemiosła, wówczas kiedy rodzice pragną, ażeby córki malowały pastelami i jak najprędzej wychodziły za mąż!... I ja dla tego rodzaju prób miałabym poświęcić moje dzieci?...” – myślała pani Latter.

Z dalszych pokojów przez otwarte drzwi doleciała ją rozmowa:

– Otóż założę się z panią – mówił dźwięczny głos męski – że najpóźniej od dziś za miesiąc sama pani będzie żądała, ażebym ją całował w rękę... Jesteś świadkiem, Hela... Wszystko zależy od wprawy.

– Ale o co się zakładacie? – wtrącił głos żeński.

– Ja nie zakładałam się – odparł drugi głos żeński. – Nie dlatego, ażebym bała się przegranej, ale nie chcę wygrać...

– Tak odpowiadają kobiety naszej epoki! – odezwał się pierwszy głos ze śmiechem.

– Ach, dzieciństwo!... – odpowiedział mężczyzna. – To wcale nie nowa epoka, ale stare jak świat ceregiele kobiece...

Do gabinetu weszła prześliczna para: córka i syn pani Latter. Oboje blondyni, oboje mieli czarne oczy i ciemne brwi, oboje byli podobni do siebie. Tylko w niej skupiły się wszystkie wdzięki kobiece, a w nim siła i zdrowie.

Pani Latter z zachwytem patrzyła na nich.

– Cóż to za zakłady? – spytała, całując córkę.

– A to z Madzią – odpowiedziała panna Helena. – Kazio chce ją całować po rękach, a ona nie pozwala...

– Zwykła uwertura. Dobry wieczór mateczce! – rzekł syn, witając się.

– Tyle razy prosiłam cię, Kaziu...

– Wiem, wiem, mateczko, ale to z rozpaczy...

– Na tydzień przed pierwszym?...

– Właśnie dlatego, że jeszcze tydzień! – westchnął syn.

– Na serio już nie masz pieniędzy? – zapytała pani Latter.

– To są zbyt poważne sprawy, ażebym mógł żartować...

– Ach, Kaziu, Kaziu!... Ileż chcesz? – rzekła pani Latter odsuwając szufladę, w której leżały pieniądze.

– Mateczka wie, że ja żadnemu pojedynczemu kolorowi nie daję pierwszeństwa, ale lubię białą z różowym i niebieskim. To przez miłość dla Rzeczypospolitej Francuskiej.

– Proszę cię, nie żartuj. Będiesz miał dosyć pięć rubli?...

– Pięć rubli, matuchno?... Na tydzień?... – mówił syn, całując jej rękę i gładząc nią sobie twarz z pieszczotą. – Przecież mateczka przeznaczyła mi sto rubli miesięcznie, a więc na tydzień...

– Oj, Kaziu, Kaziu!... – szepnęła matka, licząc pieniądze.

– Proszę cię, Kaziu, postaraj się, ażeby prędzej zaprowadzono emancypację kobiet. Może wówczas twoja biedna siostra dostanie choć czwartą część tego, co ty... – odezwała się panna Helena.

Pani Latter spojrzała na nią z wymówką.

– Chyba tak nie myślisz – rzekła. – Czy ja robię między wami jaką różnicę? Czy ciebie mniej kocham aniżeli jego?...

– Mój Boże, alboż ja mówię coś podobnego? – odpowiedziała panienka naciągając na ramiona białą chusteczkę. – Swoją drogą panna Howard ma słuszość, że my, dziewczęta, jesteśmy pokrzywdzone wobec chłopców. Kazio na przykład, nie skończywszy jednego uniwersytetu, jedzie za granicę na drugi i posiedzi tam ze cztery lata; a ja, ażeby pojechać za granicę, musiałabym dostać suchot. To samo było w dzieciństwie, to samo będzie po wyjściu za mąż, aż do śmierci...

Pani Latter wpatrywała się w nią pałającymi oczyma.

– Więc i ciebie nawraca panna Howard i takie wyklada ci poglądy?...

– Co mateczka jej słucha – odezwał się pan Kazimierz chodząc po gabinecie z rękoma w kieszeniach. – Przecież nie panna Howard namawia ją, ażeby jechała za granicę, tylko ona sama chce tego. Panna Howard, przeciwnie, tłumaczy jej, że kobiety powinny pracować na utrzymanie jak mężczyźni.

– A jeżeli mężczyźni nie robią nic i jeszcze nie wystarcza im sto rubli na miesiąc?...

– Helenko!... – upomniała ją matka.

– Niechże mateczka do tego, co ona mówi, nie przywiązuje wagi! – odezwał się syn z uśmiechem. – Przecież ona pół godziny temu rozprawiała, że jak dąb musi dłużej rosnać aniżeli róża, tak mężczyzna musi kształcić się dłużej aniżeli kobieta...

– Mówiłam, bo ciągle mi to powtarzasz; ale myślę co innego.

– Przepraszam cię, ja nie porównyвам kobiet do róż, tylko do kartofli.

– O, widzi mama, jakiej nabrał ogłady w swoich towarzystwach!... Szósta, muszę iść do Ady... No, bądź zdrow, mój dębie – mówiła panna Helena, biorąc w obie ręce głowę brata i całując go w czoło. – Tak długo uczysz się i tyle jeszcze masz przed sobą nauki, że zapewne jesteś ode mnie o wiele mądrzejszy. Może dlatego nie zawsze cię rozumiem... Do widzenia, mateczko – dodała – za godzinę przyjdziemy tu z Adą. Może nas mateczka zaprosi na herbatę...

Wyszła, śmiejąc się.

Pan Kazimierz chodził po gabinecie z rękami w kieszeni i zwiesiwszy głowę na piersi mówił:

– Po każdym takim odezwaniu się Heli czuję wyrzuty sumienia. Może ja naprawdę już nie powinienem się kształcić, tylko pracować na siebie? Może ja jestem dla mamy ciężarem?...

– Cóż ci znowu przychodzi do głowy, Kaziu? Przecie ja żyję tylko twoimi nadziejami, twoją przyszłością...

– A ja daję mamie słowo honoru, wolałbym nie mieć suchego kawałka chleba aniżeli być dla ciebie ciężarem! Przecież rozumiem, że dosyć wydaję i wydawać będę; ależ robię to dla zawiązania stosunków. A ile razy ogarnia mnie wstyd, że znajduję się w towarzystwie tej młodzieży utracjuszkowskiej, zniszczonej, niemającej poczucia żadnej wielkiej idei!... Ale muszę!... Szcześliwym będę dopiero wówczas, kiedy jako przedstawiciel mas rzucę im w oczy...

Zapukano i po chwili weszła ładna szatynka z wielkimi ruchliwymi oczyma. Zapłoniła się jak niebo o wschodzie słońca i rzekła cichym głosem:

– Proszę pani, moi krewni znowu mnie męczą, ażeby ich odwiedziła...

Rumieniec jej spotęgował się.

– Przecież dzisiaj twój dyżur, Joasiu – odpowiedziała pani Latter.

– Wiem, proszę pani, i dlatego jestem zakłopotana... Ale obiecała mnie zastąpić panna Howard.

Pan Kazimierz patrzył w okno.

– Długoż ci twoi krewni będą tu jeszcze? – zapytała chmurnie pani Latter.

– Jeszcze kilka dni, ale ja to wszystko odrobię... Całą zimę nie ruszę się.

– Bodajby. Ha, idź, jeżeli tak chcesz, moje dziecko.

Kiedy pan Kazimierz odwrócił się, szatynki już nie było.

– Nie podobają mi się te ciągle spacery – rzekła jakby do siebie pani Latter.

– No, krewni, może jeszcze z prowincji... – wtrącił syn.

– Howard to nieszczęście dla całej pensji – mówiła, wzdychając pani Latter. – Ona musi się mieszać do wszystkiego, ona wam nawet przewraca w głowach...

– Mnie!... – roześmiał się pan Kazimierz. – Stara i brzydka, a przy tym mądra. Ach, te baby piszące, te reformatorki...

– Przecież i ty chcesz być reformatorem...

Pan Kazimierz pochwycił matkę w objęcia i okrywając ją pocałunkami, mówił pieszczotliwie stłumionym głosem:

– A, mateczko, to się nie godzi... Jeżeli mateczka widzi we mnie takiego reformatora, który sąsiaduje z panną Howard, to już wolę wstąpić na kolej żelazną. Za dziesięć lat dojdę do kilku tysięcy rubli pensji, potem ożenię się, utyję... Bo może ja naprawdę jestem dla matuchny ciężarem?...

– Tylko tego nie mów, proszę cię.

– Dobrze, już nigdy nie powiem. Teraz na dobranoc pocałuję mamę w oczko, a teraz w drugie... Nie będę dziś na twojej herbatce, matuchno, muszę iść. Tak mi tu u was spokojnie, a tam...

– Gdzież idziesz?

– Wpadnę do teatru, a później wstąpię na kolację... Ach, jak mnie to czasami męczy!...

Znowu ucałował jej oczy, twarz i ręce, wychodząc posłał jej z progu pocałunek i zniknął w poczekalni.

„Biedne dziewczęta – myślała pani Latter. – Jak one muszą szaleć za nim”.

Ode drzwi spojrzenie jej machinalnie padło na szufladę biurka, skąd niedawno dała synowi dwadzieścia pięć rubli. Wstrząsnęła się.

„Co?... Będę żałować tego, co jemu daję?... – myślała. – Więc ma wstąpić do służby na kolej?... Nigdy, póki ja żyję!”.

2. Dusze i pieniądze

Godzina wieczornych posłuchań skończyła się. Z wieloletniego przyzwyczajenia pani Latter usiadła przed swym męskim biurkiem, skąd patrzył na nią zamyślony Sokrates, ogromny kałamarz i jeszcze ogromniejsze księgi. Dawnymi czasy w takiej chwili zabierała się do robienia rachunków, do czytania listów i do odpisywania na listy. Ale mniej więcej od roku jej dawne zwyczaje uległy zmianie. Już nie przegląda rachunków, bo i co w nich zobaczy?... zapowiedź deficytu. Nie odczytuje listów, bo dzisiaj wcale ich nie było; nie ma też chęci pisać listów, bo rezultat wie z góry: niektórzy przyszlą pieniądze, a inni będą prosili o prolongatę. Więc po co pisać?

Czuła, że od pewnego czasu ma mniej władzy nad biegiem wypadków; ale za to wypadki mają więcej władzy nad nią. Oto i w tej chwili zamiast rachować, projektować, obmyślać sposoby, ona siedzi z rękoma opuszczonymi na poręcze fotelu i patrzy na widziadła, jakie przed nią rozsnuwa wyobraźnia. I znowu widzi tłustą jejmość, która chce uczyć swoje córki malarstwa i gry na cytrze, ale za to urywa pięćdziesiąt rubli od umówionej zapłaty. A potem widzi płowowłosą pannę Howard, która chcąc kobiety zrobić samodzielnymi pracuje nad zrujnowaniem jej, kobiety od kilkunastu lat samodzielnej!

Nareszcie przychodzi jej na pamięć spokojna twarz nauczyciela jeografii, który bez protestu pozwolił sobie urwać dwadzieścia cztery ruble na miesiąc.

„Safandula! – mówi pani Latter z gniewem. – Ciepłe kluski, nie mężczyzna...”.

I owe ciepłe kluski przypominają jej, że nadchodzi termin rachunku z piekarzem i rzeźnikiem i że za lokal trzeba zapłacić dwa tysiące pięćset rubli za półrocze.

„No, dziś mogę o tym nie myśleć – powiada sobie i otrząsa się. – Helenka jest u Ady, a Kazio zapewne ubiera się do teatru...”.

Lecz i dzisiejsza rozmowa z dziećmi nie nasuwa jej przyjemnych wspomnień. Jak to może być, ażeby Kazio do tej pory nie wyjechał za granicę? Nie dlatego, że jest jej synem i że jest piękny, ale najsurowszy sędzia musiałby przyznać, że jest to wyjątkowy młodzieniec, o którym za kilka lat mówić będą w całej Europie.

Co za ambicja, jaka dojrzałość, jak on się wstydzi swoich dzisiejszych przyjaciół, którzy nie mają wielkiej idei, i jakie to on sam musi mieć idee!... Czy podobna, Boże miłosierny, ażeby taki chłopiec nie mógł jechać za granicę jedynie dlatego, że matka nie ma gotowych tysiąca rubli?... Jak to może być, ażeby społeczeństwo nie posiadało instytucji dla dostarczania funduszków genialnym młodzieńcom na wyższą edukację? Zaraz poszłaby tam i zastrzegłszy tajemnicę powiedziałaby członkom zarządu:

„Moi panowie, wychowałam kilka pokoleń waszych sióstr, żon i córek, lecz sama nie mam pieniędzy na dokończenie edukacji mego syna. Proszę więc o pomoc, nie w imię moich zasług i pracy, ale że Kazio jest to chłopak dzielny, szlachetny, genialny. O, gdybyście wy tak znali go jak ja, uwierzylibyście, że nawet choćby mi był obcym, jeszcze troszczyłabym się jego przyszłością. Bo tylko spojrzycie na niego, zastanówcie się nad każdym jego słowem, spojrzeniem, ruchem... Ale po co to wszystko: tylko przyciśnijcie go do serca jak ja, a przekonacie się, co za nadzwyczajna dusza mieszka w tym ukochanym...”.

Pani Latter machinalnie załamuje ręce. Bo przecież nie ma instytucji, która pomogłaby genialnym młodzieńcom, a choćby stworzono taką, czyliż członkowie zarządu uwierzyliby, że to, co ona mówi o synu, jest świętą prawdą, owocem chłodnej obserwacji, nie zaś macierzyńskim uniesieniem? Czyliż ona nie zna ludzi, czy nie słyszała półsłówek rzucanych na rachunek Kazia?... Co się zresztą dziwić obcym, jeżeli rodzona siostra, i jeszcze dziewczyna tak wyjątkowa jak Helenka, niekiedy żartuje z głębokich odezwań się Kazia? A nawet ma pretensje, że wychowanie brata dużo kosztuje!...

„Czy ty nie rozumiesz – mówi w duchu do córki – jaka różnica istnieje między kobietą i mężczyzną? Wszak jesteście oboje podobni do siebie jak bliźnięta, a mimo to – porównaj siebie z nim: jego głos, wzrost, spojrzenie, każdy ruch... Jeżeli ty jesteś kwiatem stworzenia, on jest jego panem i władcą... A dalej – pomyśl: czym są siły kobiety wobec męskich? Ja, której podziwiają rozum i energię, ledwie mogłam was wychować i utrzymać siebie. Tymczasem mężczyzna utrzymuje siebie i żonę, wychowuje kilkoro dzieci i jeszcze prowadzi fabryki, rządzi państwami, robi wynalazki...”.

W tej chwili przed wyobraźnią pani Latter przesuwają się cień mężczyzny, na którego widok rysy jej wyrażają nienawiść... Zrywa się z fotelu, zaczyna chodzić po gabinecie i przymusza się do myślenia o czym innym.

Więc myśli, że od pewnego czasu, może od roku, dokoła niej zachodzą zmiany. Ubyła pewna liczba uczennic i pensjonarek, zmniejszyły się dochody, należało zastąpić kilku droższych nauczycieli tańszymi... Jednocześnie coraz częściej słyszy frazesy o samodzielności kobiet, jakby skierowane przeciw niej samej.

Początkowo wyraz „samodzielność” wymawiała tylko panna Howard, potem nauczycielki i damy klasowe, a dziś – powtarzają go starsze uczennice i nawet ich matki.

„Co ma znaczyć ta ich samodzielność – myśli pani Latter. – Konna jazda i malarstwo?... to przecież rzeczy stare jak świat. Walka z życiem?... ależ, mój Boże, od ilu lat ja walczę z życiem... Więc niezależność od mężczyzny?... Ach, gdyby one wiedziały, od jakiego ja się uwolniłam!... To, co one mówią, ja robię albo zrobiłam od dawna i pomimo to ja ich nie rozumiem, a one uważają mnie za przeszkodę. To samo, co ja, robi tysiące kobiet w każdym pokoleniu; przecież nawet były takie, które chodziły na wojnę! Więc dlaczego te rzeczy dziś ogłaszają się jako wynalazek, w dodatku zrobiony przez pannę Howard, która dużo mówi, ale nie zrobiła nic pozytywnego? Jest dobrą nauczycielką, i tyle...”.

– Czy nie przeszkadzam?... – odezwał się za nią słodki głos.

Pani Latter drgnęła.

– Ach, Madzia!... – rzekła – dobrze, żeś przyszła.

Panienka zwana Madzią, a przez uczennice panną Magdaleną, weszła do gabinetu w wesołym nastroju ducha. Widać to było w jej figlarnych oczach, śmiejącej się twarzy, w całej zresztą postaci, która wyglądała tak, jak gdyby z panną Madzią dopiero co tańczyły jej uczennice i jeszcze wycelowwały ją na zakończenie.

Lecz spojrzawszy na panią Latter Madzia odczuła, że wesołość w tym miejscu nie jest właściwą. Zdawało się jej, że przełożona ma zmartwienie albo że się bardzo gniewa. Za co i na kogo?... Może na nią za to, że przed chwilą tańczyła z czwartoklasistkami, ona, dama klasowa!

– Chcę, Madziu, dać ci robotę. Wyręczysz mnie?... – rzekła pani Latter siadając przed biurkiem.

– Czy pani może się o to pytać? – odpowiedziała Madzia.

I zarumieniła się, przyszło jej bowiem na myśl, że taka odpowiedź może wydać się pani Latter zuchwałą.

Usiadła na brzegu kanapy i pochyliwszy głowę przypatrywała się spod oka przełożonej chcąc odgadnąć, co jej dolega. Czy ona gniewa się, czy jest zmartwiona? Z pewnością gniewa się (naturalnie na nią) za tańce na górze. Przecież tyle razy mówiono jej, że dama klasowa powinna zachować powagę właściwą swemu stanowisku. A kto wie, czy pani Latter nie gniewa się i za to, że ona całowała Zosię Piasecką i mogła zarazić całą pensję jakąś niezdecydowaną chorobą. A może o to, że wstawiała się za Zdanowską?...

– Widzisz to, Madziu – odezwała się nagle pani Latter wręczając jej paczkę papieru listowego i notatkę. – Tyle listów musisz napisać, rozumie się, jeżeli zechcesz.

– Tylko tyle?... Ja dopiero wtedy byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby mi pani kazała pisać wszystkie listy – zawołała Madzia takim tonem jak żołnierz, który chce poświęcić życie za swego wodza.

– Oj, ty nieuleczalna entuzjastko!... Ale może i ty się kiedyś wyleczysz. Nawet prędzej, aniżeli myślę!... – rzekła znizonym głosem pani Latter, a potem dodała: – Wyreżam się tobą w nudnej robocie, bo sądzę, że ci się to przyda. Czy ciągle projektujesz sobie założyć pensję?

– Ach, pani, choćby dwu... choćby jednoklasową... To moje najwyższe marzenie! – zawołała Madzia składając ręce.

Pani Latter uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że zmieni się i to twoje najwyższe marzenie – mówiła. – Już pamiętam ich kilka. W szóstej klasie marzyłeś o klasztorze, w piątej myślałeś o śmierci i o tym, ażeby cię pochowano koniecznie w bładoniebieskiej trumience, a w trzeciej klasie, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, chciałeś koniecznie zostać chłopcem.

– Ach, pani... pani!... – wzdychała Madzia zasłaniając rękoma twarz zarumienioną powyżej czoła. – Ach, jaka ja jestem... ach, ze mnie nic nigdy nie będzie...

– Owszem, będzie, tylko pierwszej wyrzekniesz się niejednego projektu, a przede wszystkim tej pensji.

– To, proszę pani, będzie tylko wstępna klasa...

– Coraz lepiej! – uśmiechnęła się pani Latter. – Nim jednak założysz ową wstępną klasę, napisz listy do rodziców, wujów i ciotek naszych panienek. Pisz według tego szematu: u góry – Szanowny Panie lub Szanowna Pani, a niżej: Załączając stosownie do życzenia pani (czy pana) kwit za pierwsze półrocze, mam honor przypomnieć, że do uzupełnienia rachunku należy nam się rubli... I liczbę wypiszesz wedle tej kartki.

– To oni aż tyle są winni?... – zawołała z przestachem Madzia przeglądając notatkę.

– Winni mi dwa razy więcej – odpowiedziała pani Latter. – Tylko niektórzy zwrócą dopiero po Nowym Roku, a znajdują się i tacy, którzy nie zwrócą nigdy.

Zerwała się z fotelu i założywszy ręce na piersiach zaczęła chodzić po gabinecie.

– Oto masz pensję, o której marzysz – mówiła siłąc się na spokój w głosie. – Oto są świetne dochody, za które panna Howard chce tu wprowadzać buchalterię, naukę rzemiosł, gimnastykę... Wariatka!... – syknęła pani Latter.

– A ja myślałam, że ona taka rozumna... – wtrąciła tonem zdziwienia panienka. – Ach, jak ona pięknie mówi!... Jak ona tłumaczy, że dzisiejsza kobieta jest ciężarem dla społeczeństwa i niewolnicą rodziny, że kobiety powinny pracować na równi z mężczyznami, że powinny mieć te same prawa i że całe wychowanie powinno być zmienione...

Drżąc z gniewu pani Latter zatrzymała się przed Madzią i poczęła mówić stłumionym głosem:

– Dowiedźże się ty przynajmniej, co warte gadaniny tej... szalonej!... Widzisz, ile tysięcy rubli winni mi są i domyślasz się, ile tysięcy rubli ja potrzebuję mieć do Nowego Roku, ażeby nakarmić dzieci i zapłacić nauczycielom... Jeżeli więc dziś zachodzę w głowę... Ach! co ja plotę!... – szepnęła trąc czoło. – Więc sama obrachuj: skąd w tych warunkach wziąć pieniędzy na wykłady nowych przedmiotów, skąd dzieci znalazłyby czas na naukę?... Głowa mnie boli!...

Przeszła się kilka razy, a potem wzięwszy za ręce przestraszoną nauczycielkę rzekła spokojniej:

– Jestem trochę chora i zirytowana, a tobie ufam moje dziecko, więc rozgadałam się. Wiem jednak, że...

– Pani... czy pani mogłaby przypuścić, że ja powtórzę?... – spytała Madzia. A potem spoglądając na panią Latter oczyma pełnymi łez i całując jej ręce dodała:

– Proszę pani, to... to ja zrzekam się mojej pensji...

Przełożona przycisnęła usta do jej rozgorączkowanej głowy.

– Dzieciaku, dzieciaku!... Jakąż różnicę może mi zrobić twoja biedna pensyjka, twoje piętnaście rubli miesięcznie? Ani myśl o niczym podobnym...

W oczach Madzi błysnęła wielka myśl. Łzy jej obeschły.

– Więc dobrze, proszę pani, ja będę brała pensję, ale pani mi zrobi jedną wielką łaskę...

I nagle uklękła przed panią Latter, która śmiejąc się podniosła ją.

– Cóż to za łaska?

– Ja mam po babci – szepnęła Madzia spuszczać oczy – ja mam... trzy tysiące rubli. Więc pani będzie taka dobra... taka kochana...

– I wezmę od ciebie te pieniądze, czy tak?... Ach, ty niepoprawna! Przypomnij sobie, ile już przeznaczeń miały twoje pieniądze? Masz założyć pensję...

– Już nie założę...

– Wybornie; szybko się decydujesz. Miałas pożyczyć pannie Howard tysiąc rubli... Chciałaś wziąć na swój koszt aż do ukończenia edukacji...

– Pani śmieje się ze mnie! – załkała Madzia.

– Nie, ja tylko rachuję. Bo przecie masz jeszcze jechać za granicę i znowu na swój koszt wziąć Helenkę...

– Ach, pani, pani... – szlochała Madzia.

– Całe szczęście, że ani tych pieniędzy nie masz w ręku, ani nie masz prawa rozporządzać nimi. Gdybyś była tak majątna jak Ada... ha!... – rzekła jakby do siebie pani Latter.

Twarz Madzi znowu ożywiła się i oczy jej błysnęły radością.

– No, ale dość tego, moje dziecko. Idź na górę przez mój pokój sypialny, umyj buziaka i zabierz się do listów. Tylko nie popisz jakich awantur, roztrzepańcze – zakończyła pani Latter.

Zawstydzona panienka zabrała papier i wyszła do sypialni, po drodze wylewając resztę łez. Było jej strasznie smutno i z tego powodu, że tak nagle dowiedziała się o pieniężnych kłopotach swojej przełożonej, i z tej racji, że samą siebie posądzała o spełnienie tysiącznych niedorzeczności.

„Co ja naplotłam, co ja nagadałam głupstw! Nie, na całym świecie nie ma głupszego ode mnie stworzenia” – myślała szlochając.

Pani Latter patrzyła za nią. W jej wyobraźni mimowolnie zarysowały się jedna obok drugiej dwie fizjognomie: ruchliwa twarz Madzi, na której co chwilę płonęło inne uczucie, i – posągowo piękne oblicze jej córki, Heleny. Tamta współczuła wszystkiemu i wszystkim, ta była wiecznie spokojna.

„Bardzo dobre dziecko, ale Helenka ma więcej godności. Ona tak nie zapala się” – myślała pani Latter z dumą.

A tymczasem Madzia, zanim usiadła do pisania listów, odmówiła pacierz, ażeby jej Bóg pozwolił choćby ofiarą własnego życia dopomóc pani Latter. Potem przypomniała sobie wiele innych osób również mających kłopoty: chorą Zosię, okradzionego stróża; pewną uczennicę z piątej klasy, która kochała się bez nadziei w panu Kazimierzu Norskim i – znowu uczuła potrzebę ofiarowania się i dla tych nieszczęśliwych.

A ponieważ przyszło jej na myśl, że Pan Bóg nic zrobić nie zechce za modlitwę tak marnej jak ona istoty, więc pełna zwątpienia i rozpaczycy usiadła do pisania listów nucąc półgłosem:

Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa...

Zdawało się jej, że właśnie ta melodia najlepiej odpowiada jej nicestwu i niemożności poświęcenia się za cały świat w ogóle, a w szczególności za panią Latter, chorą Zosię, okradzionego stróża i nieszczęsną piątoklasistkę, która kochała bez nadziei.

3. Świtanie myśli

Od kilku dni panna Magdalena jest jakaś nieswoja. Oczy jej straciły blask, a zyskały głębie; śniada twarz pobladła, czarne włosy są prawie gładkie, co ich właściciele nadaje wyraz żałobny.

Młoda osoba od kilku dni źle sypia i źle jada. Jeżeli śmieje się, to tylko przez pomyłkę; jeżeli śpiewa, to przez zapomnienie, a jeżeli robi parę tanecznych turów z którą ze swoich uczennic, to całkiem automatycznie. Dusza panny Magdaleny nie bierze udziału w żadnym z tych objawów wesołości; panna Magdalena wie o tym, że jej dusza nie bierze dziś najmniejszego udziału w wesołości, i nie gniewałaby się, gdyby cały świat wiedział o tym interesującym nastroju jej duszy pełnej troski i poważnych tajemnic.

Ten okropny stan tak ciąży pannie Magdalenie, że mimo woli szuka jakiegoś towarzystwa i rozmowy.

I dlatego, sama nie wiedząc kiedy, młoda nauczycielka znajduje się na progu sali piątej klasy i sama nie wiedząc po co, wywołuje z niej pewną ładniutką piątoklasistkę, która nieszczęśliwie kocha się w panu Kazimierzu, a w tej chwili pracuje nad ćwiczeniem niemieckim. Kilka panienek w brązowych sukienkach przybiegają do Magdaleny, całują jej twarz, włosy i szyję, ubolewają nad jej smutkiem i nad tym, że rosół przy obiedzie był taki niedobry, ale nade wszystko nad tym, że z powodu deszczu nie mogły wyjść na spacer. Panna Magdalena przytakuje im, ale robi to złamanym głosem. Więc panienki cofają się w głąb sali, potem wzięwszy się pod ręce idą w róg sali, coś szepczą i wskazują na nauczycielkę z oznakami tak niewątpliwego współczucia, że Magdalenie robi się lżej na sercu. W jednej chwili ma ochotę wobec całej klasy odkryć swoją wielką tajemnicę, lecz w następnej chwili przypomina sobie, że owa tajemnica nie jest jej tajemnicą i – robi się jeszcze smutniejszą, jeszcze bardziej zamkniętą w sobie.

Tymczasem zbliża się do niej owa piątoklasistka, na której współczucie Magdalena rachowała najwięcej, ale ma taką minę, jakby tajemnica nauczycielki nic a nic jej nie obchodziła, ponieważ ona sama nosi troskę, której wszystkie damy klasowe nie potrafiłyby zaradzić. Mimo to panna Magdalena prowadzi ją do gościnnego saloniku, sadza obok siebie na kanapie i mówi z westchnieniem:

– Jakaś ty szczęśliwa, moja Zosiu!

Piątoklasistka zapomina o wypracowaniu niemieckim i wybucha płaczem.

– Więc pani wie wszystko?... – mówi tuląc się do jej ramienia.

– Szczęśliwa jesteś – powtarza panna Magdalena – boś jeszcze za młoda na to, ażeby zrozumieć, jakie są dziwne stany duszy...

Siedemnastoletnia uczennica ze zdumieniem spogląda na osiemnastoletnią nauczycielkę i odpowiada marszcząc brwi:

– Pani tak mówi, jak on powiedział, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w korytarzyku, w tym... wie pani. Ja myślałam, że spalę się ze wstydu, a on mruknął: „Jaki to śliczny smarkacz!...”. Słyszała pani coś podobnego?... Myślałam, że go rozedrę, i w tej chwili uczułam, że go już nigdy kochać nie przestanę...

Ciche łkania przerwały jej mowę.

– Powiadam ci, Zosiu, że są niepokoje gorsze aniżeli miłość...

– Ach, Boże, wiem, wiem... Ale zawsze pochodzą z miłości...

– Jesteś głuptasek, moja Zosiu! – przerywa jej z godnością panna Magdalena. – Póki kobieta kocha, jest szczęśliwa, chociaż... nie powinnam z tobą mówić o takich rzeczach... Nieszczęście zaczyna się dopiero wtedy, kiedy kobieta zaczyna myśleć o sprawach poważnych, jak mężczyzna... Kiedy na przykład myśli o pieniądzach, cudzych interesach, o uratowaniu kogoś z ciężkiej sytuacji...

– O, jeżeli o mnie chodzi – wybucha Zosia z pałającymi oczyma – mnie nikt nie uratuje! Od chwili kiedy Jadzia Zajdler widziała, jak całował pannę Joannę, życie moje zostało złamane. Więc on nie dla mnie zaglądał do sal, nie mnie szukał, gdy patrzył na nasze okna z podwórka, i dlatego nie

podniósł róży, którą mu wyrzuciłam... Ale ja nie będę im przeszkadzać; umrę, rozumie się, że nie dla tej kochanki, tylko dla niego... Niech zostanie szczęśliwy, z kim chce, chociaż... mam przeczucie... że mnie kiedyś pożałuje...

Mówiąc to Zosia zalewa się łzami, a panna Magdalena patrzy na nią zdumiona.

– Moja Zosiu, co ty wypłacasz? Kto całował Joasię?...

– A któż by, jeżeli nie pan Kazimierz?... Zbałamuciła go ta drapieżnica, bo jej zazdrość...

Panna Magdalena uroczyście podnosi się z kanapki i mówi:

– Panna Joanna jest damą klasową i osobą przyzwoitą, która nigdy nie pozwoliłaby się całować panu Kazimierzowi.

– Czy pani jest tego pewna?... – pyta Zosia składając ręce.

– Jestem najpewniejsza, a teraz żałuję, że wybrałam cię na powiernicę...

– O, panno Magdaleno!... – błaga ją Zosia płacząc i śmiejąc się.

– Jesteś dziecko – przerywa jej surowo panna Magdalena – więc nie rozumiesz, że w życiu kobiety mogą być rzeczy ważniejsze aniżeli jakieś tam uniesienia sercowe. Przekonasz się, kiedy zaczniesz myśleć o cudzych interesach i znajdziesz się w konieczności ratowania kogoś...

– Ja już jestem uratowana... już nie umrę, panno Magdaleno... Teraz wszystko rozumiem! Jadzia musi się sama w nim kochać, więc rzuca oszczerstwa, ażeby mnie zniechęcić... O, ja domyśliłam się tego!...

Całuje pannę Magdalenę bez miary i liczby, ociera oczy i ucieka z sali gościnnej.

„Jaka ona głupiutka!... – myśli panna Magdalena o swojej młodej przyjaciółce. – Gdyby jej pani Latter powiedziała to, co mnie, i gdyby jej przyszło obmyślać sposoby dopomożenia przełożonej, zaraz by miłość wywietrzała... Swoją drogą Ada musi przełożonej pożyczyć pieniędzy; ale co tymczasem stanie się z moją głową!...”.

Pannie Magdalenie jest coraz smutniej i ciężiej. Już nie o to jej chodzi, ażeby podzielić się z kimś wielką tajemnicą, ale żeby dowiedzieć się: czy w każdym człowieku budzenie się świadomej myśli łączy się z takim niepokojem? Przecie już we wstępnej klasie, a nawet jeszcze w domu, kazano jej myśleć; przecież już siedem lat myślała według szkolnego programu będąc na pensji, a potem rok bez programu będąc damą klasową, i – jeszcze nigdy myślenie nie wydało jej się czymś tak nowym i oryginalnym!

Czuła, że po owej rozmowie z panią Latter w duszy jej wytrysło źródło psychicznych procesów, których dotychczas nie odgadywała, choć od pierwszej klasy nazywano ją dzieckiem myślącym.

„Pewnie musiała się zbudzić we mnie samodzielność, o której mówi panna Howard – rzekła do siebie Magdalena. – Nie – myślała dalej – ja nie powinnam unikać tej kobiety, bo ona jedna może mi wytłumaczyć stan mojej duszy...”.

Pod wpływem tej uwagi skierowała się do drzwi pokoju panny Howard; usłyszawszy zaś rozmowę – zapukała.

W pokoju były trzy osoby. Przede wszystkim panna Howard, która siedząc na fotelu z założonymi na piersiach rękoma rozprawiała. Naprzeciw niej na wyplatany krześle kręcił się niedbale ubrany, ale za to bardzo nieuczesany student uniwersytetu, z wytartą czapką w rękę. Zaś na taburecie, oparta o poręcz fotelu panny Howard, jakby kryła się za nauczycielką, prześliczna szóstoklasistka Mania Lewińska, odznaczająca się twarzą dziecka, a oczyma dojrzałej kobiety.

Magdalena spostrzegła, że Mania Lewińska patrzy na studenta z wyrazem spokojnego zachwyty, że panna Klara pożera go wzrokiem i że on spogląda na pannę Howard, lecz myśli o ukrytej za jej fotelem Mani.

– Prosimy! – zawołała panna Howard wyciągając rękę. – Pan Władysław Kotowski, panna Magdalena Brzeska.

Zaprezentowani ukłonili się sobie, przy czym rozczochrany student miał minę niezadowoloną z nowego gościa. Gdy jednak Magdalena usiadła w ten sposób, że nie zasłoniła Mani Lewińskiej i nie mogła śledzić jego spojrzeń, uspokoił się.

– Szkoda, że pani nie przyszła przed kwadrans – rzekła panna Howard. – Właśnie czytałam mój artykuł, który pan zabiera do „Przeglądu”. Rozwijam pomysł, ażeby nieprawym dzieciom państwo dawało nazwiska, edukację i uposażenie; a im lepsze będą nazwiska i wyższa edukacja, tym więcej będą szanowane nieprawe dzieci, i co z tego wynika, kwestia zostanie rozwiązana. Bo dopóki kobiety nawet w tak naturalnych rzeczach muszą się oglądać na mężczyzn...

Magdalena myślała, że zapadnie się pod ziemię, lecz Mania jakby nie słysząc patrzyła dobrymi oczyma na studenta, który kręcił się, rumienił i miętosił czapkę.

– Sądzisz pan – zwróciła się panna Howard do studenta – że w moich słowach kryje się niedorzeczność?...

– Ja, proszę pani, nic nie sądzę – odparł nieledwie przestraszony student.

– Ale tak pan myślisz... O, bo ja jak w otwartej księdze czytam w duszy pańskiej nawet tajemnice, które pragnąłbyś ukryć przed samym sobą...

Usłyszawszy to Mania oblała się rumieńcem, a niemniej zawstydzony pan Władysław zrobił ruch, jakby miał zamiar schować głowę pod krzesło.

– Zapominasz jednak – ciągnęła panna Howard – że ja nie mówię w ogóle o mężczyznach, ale o tym jednym, którego kobiecie narzuca dzisiejsze społeczeństwo, a który nazywa się mężem...

W ten sposób panna Howard mówiła jeszcze kilka minut pięknym kontraltem, ale – o czym? ... Magdalena nie umiała powtórzyć. Zdawało jej się tylko, że różowa i płowowłosa apostołka samodzielności kobiet mówi (wobec studenta!) rzeczy tak nieprzyzwoite, że dla niesłyszenia ich potrzeba myśleć o czym innym. A ponieważ własne myśli plątały się jej, więc zaczęła odmawiać w duchu: *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maria*. I rzeczywiście obie te modlitwy o tyle pochłonęły jej uwagę, że patrzyła na pannę Howard, słyszała jej głos dźwięczny, lecz nic nie rozumiała.

Ale student musiał rozumieć, gdyż wyciągał albo zginał nogi, podnosił brwi, zaczesywał bujną czuprynę to prawą, to lewą ręką i w ogóle zachowywał się jak delikwent na torturach. Magdalenie przyszło na myśl, że młody człowiek nie doznawałby tych udreczeń, gdyby tak samo jak ona odmawiał przynajmniej *Zdrowaś Maria*. Lecz ponieważ jest zapewne bezbożnikiem, jak wszyscy studenci, i nie wierzy w skuteczność modlitwy, więc biedak nie może nie słyszeć okropnego wykładu panny Klary.

Nareszcie panna Howard skończywszy mowę poszła do biurka i zaczęła rozwiązywać, odwijając, a potem znowu zawijając i zawiązywać jakąś rurkę papieru, na którym znajdował się jej interesujący artykuł o tych... tam dzieciach... Przez ten czas Mania zbliżyła się do studenta i zaczęli półgłosem rozmawiać:

– Do widzenia! – mówiła dziewczynka. – A we wtorek pan przyjdzie?

– Wątpi pani o tym?

– I odniesie pan Krasieńskiego?

– Z objaśnieniami.

– Zapracuje się pan... Do widzenia...

– Do widzenia...

Student ledwie dotknął jej ręki, ale jak oni patrzyli na siebie!... Z taką braterską czułością, a przy tym tak smutnie, jakby żegnali się na wieki, choć rozstawali się tylko do wtorku. Magdalena miała ochotę ucałować ich oboje, śmiać się z nimi, płakać, słowem – robić wszystko, czego by od niej zażądali, tacy wydawali się jej piękni i nieszczęśliwi z tego powodu, że zobaczą się dopiero we wtorek.

W tej chwili panna Howard oddała zwitek papieru studentowi, który pożegnał ją dość niedbale i szybko wybiegł, zapewne sądząc, że może jeszcze raz spojrzeć na Manię, która wyszła przed nim.

Panna Howard była promieniejąca. Znowu rzuciła się na fotel i patrząc w sufit, jakby tam snuł się jej marzenia, rzekła do Magdaleny:

– Przyszła pani na pogawędkę? Prawda, jaki to interesujący młody człowiek?... Lubię śledzić, kiedy w świeżej duszy kiełkuje i rozwija się jakaś wzniosła idea albo uczucie...

– O, tak! – potwierdziła Magdalena myśląc o studencie i Mani.

– Więc pani także dostrzegła?

– Naturalnie, to przecież jest widoczne...

Panna Howard zrobiła minkę skromnie zakłopotaną.

– Nie pojmuję doprawdy – mówiła zniżonym głosem – co mu się we mnie mogło podobać...

Magdalena drgnęła ze zdziwienia.

– Zapewne wspólność dążeń... poglądów... – ciągnęła coraz bardziej rozmarzając się panna Howard. – Tak, jest jakieś powinowactwo dusz... Ale nie mówmy o tym, droga panno Magdaleno, mówmy raczej o pani... Co za entuzjasta!... Jak on słucha moich artykułów... Ja dopiero mając takiego słuchacza zrozumiałam, że można – pięknie słuchać... Ale dość już o tym, panno Magdaleno, mówmy o pani. Czy może i pani ma jaką troskę?... Oryginalny młody człowiek!... Więc cóż panią do mnie sprowadziło? Zapewne także budzi się duszyczka... Prawda, że zgadłam? O, bo my, kobiety, jesteśmy szczególnymi istotami: gardzimy zwierzęcym tłumem mężczyzn, lecz jeżeli znajdzie się człowiek wyjątkowy... Pani ma coś na sercu, panno Magdaleno, mówmy o tym, co pani mi chce powiedzieć...

Magdalena była tak zmieszana słysząc poetyckie szczebiotanie panny Howard, jak gdyby przerzucono ją do nieznanej okolicy. Więc to ona, ta sztywna, gniewna, a niekiedy złośliwa panna Howard, ta, której obawia się pani Latter, ta, która wypowiadała nieprzyzwoite rzeczy wobec młodego studenta?... Ona mówi o powinowactwie dusz i o sercowych troskach?...

Magdalena nie mogła pohamować się; wybuch przygotowujący się od kilku dni nastąpił. Upadła na kolana przed panną Howard, objęła ją za szyję i ucałowawszy kilka razy, rzekła drżącym głosem:

– Ach, pani, jaka pani dobra!... Ja myślałam, że pani jest tylko bardzo mądra, ale że nie ma serca. Ale co ja wyrabiam!... – dodała zrywając się z klęczek i siadając na taburecie obok fotelu.

– Entuzjastka... entuzjastka! – mówiła panna Howard pobłażliwie. – I któż jest ten, któremu powierzyłaś swoje serce?

– Pani myśli, że ja jestem zakochana?... Nie!...

Po różowym obliczu panny Howard przesunął się cień niezadowolenia.

– Ja tylko chciałam – mówiła Madzia – porozmawiać z panią, bo pani jest taka rozumna, taka energiczna, a mnie bardzo potrzeba otuchy...

– Więc ma pani jakiś poważny zamiar? – zapytała panna Howard tonem mistrza, który zajmuje się udzielaniem wskazówek we wszystkich poważnych zamiarach.

– O, bardzo poważny! – mówiła gorączkowo Magdalena – tylko jest to tajemnica, którą muszę zabrać z sobą do grobu... Zresztą – dodała, głęboko odetchnąwszy – pani jest tak rozumna, a dziś przekonałam się, że i szlachetna, dobra, kochana...

– To jeszcze niepewne, figlarko! – wtrąciła z uśmiechem panna Howard.

– O, bardzo kochana; przynajmniej ja ubóstwiam panią... Więc przed panią powiem wielką tajemnicę... Ja – wyszeptwała – Magdalena – muszę, chociażbym miała umrzeć, muszę wystarać się o pieniądze dla...

– Dla kogo? – zapytała zdumiona panna Howard.

– Dla pa-ni Lat-ter... – szepnęła jeszcze ciszej Magdalena.

Panna Howard wysoko podniosła ramiona.

– Ona panią o to prosiła?

– Niech Bóg broni!... Ona nawet nie domyśla się...

– Więc ona potrzebuje pieniędzy, ta wielka dama? – mówiła panna Howard.

Zapukano do drzwi.

– Wejść!

Wszedł służący i zawiadomił Magdalенę, że prosi ją panna Ada.

– Zaraz idę – odpowiedziała Magdalena. – Widocznie Bóg ją natchnął w tej chwili. Ale droga, najdroższa panno Klaro, ani słówka o tym nikomu. Umarłabym, odebrałabym sobie życie, gdyby się kto dowiedział!...

I wybiegła z pokoju zostawiając pannę Howard pogrążoną w oceanie zdziwienia.

„Więc Latterowa nie ma pieniędzy, a ja chcę z nią traktować o reformie wychowania!...” – myślała panna Howard.

4. Brzydka panna

Panna Magdalena wstępuje na chwilę do sypialni, w której mieszka. Po drodze ściska pewną liczbę pensjonarek, wita parę dam klasowych, które na jej widok uśmiechają się, i – mówi „dobry wieczór” pokojówce ubranej w biały fartuch. A tymczasem rozmyśla:

„Panna Howard, oto kobieta, a ja dopiero dziś poznałam się na niej! Kto by przypuścił, że to takie dobre, czułe stworzenie?... Ale pan Władysław jest niegodziwiec: bo że kocha pannę Howard, nic dziwnego (choć ja wołałabym Maniusię), ale dlaczego on bałamuci Manię? Ach, ci mężczyźni! Zdaje się, że panna Howard ma zupełną słuszność pogardzając nimi...”.

W korytarzu wysokie drzwi na prawo i na lewo prowadzą do sypialni. Panna Magdalena wchodzi do jednej z nich. Jest to spory, niebieski salonik, w którym pod jedną i drugą ścianą stoją po trzy łóżeczka nogami zwrócone na środek sali. Łóżka żelazne, każde przykryte białą kapą, na każdym jedna poduszka, przy każdym mała szafeczka w głowach i drewniane krzeselko w nogach. Podłoga jest pociągnięta olejną farbą, a na ścianach nad każdym łóżeczkiem wisi albo Pan Jezus na krzyżu, albo Matka Boska, niekiedy oboje razem: wyżej Matka Boska, niżej Pan Jezus. Tylko nad łóżkiem Judyty Rozencweyg, która jest Żydówką, znajduje się zwyczajny święty Józef z lilią w ręku.

Jeden róg sali, oddzielony od reszty szafirowym parawanikiem, stanowi własny gabinet panny Magdaleny. W tej części sypialni wszystko zdaje się być obrachowane na to, ażeby pensjonarki należycie oceniały przepaść, jaka oddziela je – od damy klasowej. Już sam parawan niewątpliwie obudza w nich podziw i szacunek, a uczucia te zapewne potęgują się na widok szafirowej kapy i dwu poduszek na łóżku tudzież wyplatanej krzesła i stoliczka, na którym znajduje się brązowy lichtarz ze szklaną profitką i kawałkiem świecy stearynowej.

Na nieszczęście Magdalena, którą starsze koleżanki uważały za osobę roztrzępaną, dobrowolnie podkopywała urok swego stanowiska pozwalając pensjonarkom korzystać z lichtarza z profitką, wbiegać za parawan, a nawet nie broniąc im w ciągu dnia kłaść się na jej łóżku. Ponieważ jednak wszyscy kochali Magdalene, więc inne damy klasowe podobne dowody braku taktu liczyły na karb jej niedoświadczenia. Zaś pani Latter od czasu do czasu spoglądała na nią w sposób, który zapewne oznaczał, że ona wie i o lichtarzu z profitką, i o wysypianiu się pensjonarek za parawanem Magdaleny.

Przyczesawszy włosy nieco potargane w objęciach panny Howard i zabrawszy ze stolika jakąś książkę, Magdalena ostatecznie wybrała się do czekającej na nią Ady. Przez korytarze i schody szła z wolna, chwilami zatrzymywała się i kiwając głową albo przykładając palec do ust rozmyślała:

„Naprzód powiem jej, ile pani Latter wydaje na lokal i utrzymanie pensji, a ile na nauczycieli... Nie. Naprzód powiem, że są rodzice, którzy ociągają się z zapłatą do wakacyj, a po wakacjach także nie płacą!... Ach, nie!... Powiem jej po prostu: moja Ado, gdybym ja miała twój majątek, to zaraz pożyczylabym pani Latter z pięćdziesiąt tysięcy rubli... Nie, nie, wszystko źle... O, jakąż ja jestem!... Tyle dni myślę i nie mogę wymyślić nic rozsądnego...”.

Panna Ada Solska jest bardzo majątną sierotą. Wprawdzie kocha nad życie swego brata, Stefana, wprawdzie ma bliższą i dalszą rodzinę, która znowu ją kocha nad życie, wprawdzie od półtora roku skończyła pensję i mogłaby wejść w świat, który jak mówiono, czeka na nią z utęsknieniem, lecz – mimo to wszystko – panna Ada mieszka u pani Latter. Płaci tysiąc rubli rocznie za lokal, opiekę i życie i mieszka w domu pani Latter, bo naprawdę (jak sama utrzymuje) nie ma gdzie mieszkać. Familii, która ją kocha nad życie, ona nie lubi, a ubóstwiany przez nią Stefan, trzydziestoletni mężczyzna, ma taką manię, że wciąż odwiedza zagraniczne uniwersytety, choć zapewniał, że byle Ada skończyła pensję, już nie rozdzieli się oboje. I albo on z nią osiadzie w jednym z rodzicielskich majątków, albo ona z nim będzie objeżdżała Europę wyszukując uniwersytety dotychczas nieodkryte przez nikogo.

Gdy zaś Ada odważała się kiedy wątpić o spełnieniu tych projektów, brat odpowiadał krótko:

– Moja Adziu, musimy, choćbyśmy nawet nie chcieli, pilnować się wzajemnie do końca życia. Ty jesteś tak bogata, że każdy zechce cię oszukać, a ja jestem tak brzydki, że mnie nikt nie odbierze tobie.

– Ależ, Stefanie – oburzała się siostra – skąd ci się przyśniła twoja brzydota?... To ja jestem szkaradna, nie ty...

– Ale, Adziu, mówię ci, że bredzisz! – irytował się brat. – Ty jesteś bardzo miłą, kompletnie przyjemną panienką, tylko trochę nieśmiałą, a ja!... Gdybym był mniej brzydki, strzeliłbym sobie w łeb ze wstrętu do samego siebie; lecz z tymi wdziękami, jakimi niebo mnie obdarzyło – muszę żyć. W ten sposób służę ludziom, bo którykolwiek spojrzy na mnie, mówi: jakim ja szczęśliwy, że nie jestem podobny do tego magota!

Ada na pierwszym piętrze zajmuje dwa pokoje. W jednym jest żelazne pensjonarskie łóżeczko okryte białą kapą, przy nim szafka, i tylko garnitur mebli obitych szarą jutą wskazuje, że tu nie mieszka pensjonarka. Drugi pokój z dwoma oknami jest bardzo oryginalny: wygląda bowiem na pracownię naukową. Jest w nim duży stół obity ceratą, kilka stojących półek napełnionych książkami i atlasami, czarna tablica na stalugach z kredą i gąbką, które widocznie są w ciągłym użyciu, a nareszcie wielka szafa pełna przyrządów fizycznych i chemicznych. Są tam dokładne wagi, kosztowny mikroskop, zwierciadło wklęsłe, kilkucalowa soczewka, machina elektryczna i cewka Rumkorfa. Nie brak też retort, słoików i flaszek z odczynnikami, jest globus astronomiczny, szkielet jakiegoś ptaka tudzież niezbędny krokodyl, na szczęście bardzo młody i już wypchany.

Wszystkie te przedmioty budzące podziw w uczennicach młodszych, a kłopot w starszych, którym nie zawsze udawało się określić różnicę między mikroskopem i elektroskopem, wszystkie te przedmioty były osobistą własnością panny Solskiej. Ona nie tylko je kupowała i utrzymywała w porządku, ale nawet umiała się z nimi obchodzić. Były to jej balowe suknie, jak mawiała uśmiechając się łagodnie i smutnie.

Gust do nauk przyrodniczych obudził w niej stary nauczyciel jej brata. Upodobanie to podtrzymywał brat, sam zapalony wielbiciel nauk dokładnych, a resztę – zrobiły zdolności panny Ady i jej niechęć do życia salonowego. Nic jej nie ciągnęło do liczniejszych towarzystw, od których odstraszała ją wiara we własną brzydotę. Więc kryła się w swojej pracowni, dużo czytała i ciągle brała lekcje od najlepszych profesorów.

Zamożni członkowie jej rodziny uważali Adę za egoistkę, a bogaci za osobę chorą. Nie tylko bowiem oni, ale nawet żaden z ich gości, znajomych i przyjaciół nie mógł zrozumieć tego, że dziewiętnastoletnia bogata panna przekłada naukę nad salony i nie myśli o zamążpójściu.

Dopiero wówczas zaczęto pojmować dziwactwa bogatej dziedziczki, gdy w salonach rozeszła się wieść, że w Warszawie, obok demokracji i pozytywizmu, wybuchła nowa epidemia zwana – emancypacją kobiet. Zaczęto rozróżniać dwa gatunki emancypantek, z których jeden palił cygara, ubierał się po męsku i wyjeżdżał za granicę uczyć się z mężczyznami medycyny; drugi zaś gatunek, mniej zuchwały czy też więcej moralny, ograniczał się na kupowaniu bardzo dużych książek i unikał salonów.

Adę zaliczano do drugiego gatunku, dzięki czemu w pewnych sferach powstało oburzenie na panią Latter. Ponieważ jednak panienki z tej sfery uczyły się na pensjach chyba wyjątkowo, więc gniew dystyngowanych osób zredukował się do tego, że jedna z ciotek Ady, która ją czasem odwiedzała, zaczęła obojętniej witać się z panią Latter. Na co pani Latter odpowiadała jeszcze większą obojętnością, słusznie czy niesłusznie dopatrując źródeł niechęci nie tyle w nauce Ady, ile w jej majątku. Zdawało jej się, że gdyby Ada była ubogą panienką, jej bliższe i dalsze ciotki nie trwożyłyby się ani tym, że siostrzenica kupuje duże książki, ani tym, że w Warszawie zaczęła grasować emancypacja.

Pod drzwiami mieszkania Ady Magdalena jeszcze raz zatrzymała się, jeszcze raz położyła palec na ustach jak uczennica, która przypomina sobie lekcje, nareszcie przeżegnała się i – szeroko otworzywszy drzwi weszła z wielkim rozmachem.

– Jak się masz, Adziu! – zawołała siląc się na wesołość. – Cóż się stało tak nagłego?... Właśnie wybierałam się do ciebie, kiedy przyszedł Stanisław... Jak się masz, złotko... może ty chora?...

I ucałowawszy Adę zaczęła z uwagą przypatrywać się jej żółtawej cerze, skośnym oczom, bardzo wysokiemu czołu, bardzo szerokim ustom i bardzo małemu noskowi. Rzuciła okiem na jej niezbyt gęste włosy ciemnoblond, ogarnęła jej drobnutką figurkę odzianą w czarną suknię i usadowioną na skórzanym fotelu, lecz – nigdzie nie odkryła oznak choroby. Natomiast spostrzegła, że Ada pilnie przypatruje się jej, i to ją zmieszało.

– To nie mnie, to tobie coś jest, Madziu! – odezwała się powolnym i łagodnym głosem panna Solska.

Magdalenę od głowy do nóg oblało gorąco. Już chciała rzucić się w objęcia Adzie i szepnąć: „Pożycz, kochanko, pieniędzy pani Latter!”, ale zdjął ją strach, że może wszystko zepsuć, i głos w niej zamarł. Upadła na krzesło obok Ady i niby ostro patrzyła jej w oczy siląc się na uśmiech. Wreszcie rzekła:

– Jestem trochę zmęczona... ale to przejdzie, Adziu... Już przeszło.

Na żółtej twarzyczce Ady odmalował się niepokój; powieki zaczęły jej drżeć, a szerokie usta składać się jakby do płaczu.

– Bo może, Madziu – odezwała się jeszcze ciszej panna Solska – bo może... obraziłaś się na mnie za to, że posłała do ciebie Stanisława?... Ja przecie wiem, że sama powinnam pójść do ciebie, ale zdawało mi się, że tu, na dole, będzie ciszej...

Magdalena w jednej chwili odzyskała energię. Pochyliła się na fotel, schwyciła swoją przyjaciółkę w objęcia śmiejąc się tak szczerze, jak tylko ona jedna umiała na całej pensji.

– Ach, niepocziwa Ado! – zawołała – jak możesz mnie posądzać o coś podobnego?... Czy kiedy widziałas, ażebym ja obraziła się na kogokolwiek, a tym bardziej na ciebie, taką dobrą, taką kochaną, takiego... aniołeczka!...

– Bo widzisz, ja się boję obrażać... Ja już i tak robię ludziom przykrość moją osobą...

Dalszy ciąg wyznań przerwała jej Magdalena pocałunkami i – wzajemne obawy pań zostały usunięte.

– Bo widzisz, ja ci to chciałam powiedzieć – zaczęła Ada kładąc swoje drobne rączki wzdłuż poręczy fotelu. – Wiesz, że Romanowicz lekcyj nam dawać nie może, skoro opuścił pensję...

– Naturalnie.

– Jego miejsce zajął pan Dębicki...

– Ten, co wyklada jeografię w niższych klasach? Jaki on zabawny...

– Żebyś wiedziała, to wielki uczony: fizyk i matematyk, a nade wszystko matematyk. Stefek dawno go zna i nieraz mówił mi o nim.

– A jeżeli tak... – wtrąciła Magdalena. – Ale on dziwnie wygląda. Panna Howard, mówię ci, nie może patrzeć na niego, odwraca głowę...

– Panna Howard! – odezwała się niechętnie Ada. – Od iluż ona osób odwraca głowę, choć i sama nie jest piękna. Zresztą Dębicki nie jest brzydki: jaką on ma twarz łagodną, a czy ty zauważyłaś jego spojrzenie?

– Prawda, że oczy ma ładne: niebieskie, duże...

– Jeszcze Stefek mówił mi, że Dębicki ma nadzwyczajne spojrzenie. Stefek bardzo pięknie to określił. Powiedział tak: „Kiedy Dębicki patrzy na człowieka, to się czuje, że on wszystko widzi i wszystko przebacza...”.

– Prawda! co za cudowne określenie – zawołała Madzia. – I czy podobna, ażeby taki człowiek wykladał jeografię w niższych klasach?...

Na twarz panny Ady padł cień smutku.

– Jemu też Stefek przepowiadał – rzekła – że nie zrobi kariery, bo jest za skromny. A ludzie bardzo skromni...

Machnęła ręką.

– Masz rację! On właśnie dlatego dziwnie wygląda, że jest nieśmiały... W drugiej klasie był tak zmieszany, że dziewczęta zaczęły chichotać, wyobraż sobie!...

– On tu był u mnie przed godziną z panią Latter i także wyglądał na zakłopotanego. Ale kiedy wyszła pani Latter i zaczęliśmy rozmawiać o Stefku i kiedy potem zaczął mi stawiać pytania, powiadam ci – inny człowiek. Inne spojrzenie, inne ruchy, inny głos... Był, powiadam ci, imponujący – mówiła Ada.

– To może on będzie wstydził się wyklądać nam trzem? – nagle zapytała Magdalena.

– Ale gdzież tam. Nawet zdziwisz się, gdy ci powiem, że on nie tylko zauważył i ciebie, i Helę, ale i każdą ocenił...

– Oceniał mnie?...

– Tak. O tobie powiedział, że musisz być bardzo pojętna, tylko łatwo zapominasz...

– Czy podobna?

– Jak Stefka kocham, a o Heli – że mało dba o matematykę.

– Ależ to jest prorok!... – zawołała Madzia.

– Naturalnie, że prorok, bo z Helą już mam zmartwienie. Nie była dziś u mnie cały dzień, choć kilka razy przechodziła pode drzwiami i śpiewała – mówiła z żalem Ada.

– Czegoż ona chce?

– Albo ja wiem. Może obraziła się na mnie, a najpewniej... już mnie nie lubi... – szepnęła Ada.

– Ale, dajże spokój...

Usta Ady zaczęły drżeć i na twarz wystąpiły rumieńce.

– Ja rozumiem, że mnie nie można lubić – mówiła – wiem, że nie zasługuję na żadne względy, ale to przykro... Ja dlatego tylko, ażeby z nią być dłużej, nie wyjeżdżam za granicę, chociaż ciotka nalega na mnie od wakacyj i nawet Stefek wspominał... Ja przecież nic od niej nie żądam, chcę tylko czasami spojrzeć na nią. Wystarcza mi jej głos, choćby nawet mówiła nie do mnie. To tak mało, mój Boże, tak mało, a ona mi i tego odmawia... A ja myślałam, że ludzie piękni powinni mieć lepsze serca aniżeli inni...

Magdalena słuchała z błyszczącymi oczyma; postanowienie jej dojrzało.

– Wiesz! – zawołała klasnąwszy w ręce – ja ci to wytłumaczę.

– Ona gniewa się, że nam Romanowicz nie daje lekcji?...

– Ale gdzież tam!... Ona – mówiła Magdalena półgłosem, schyliwszy się do ucha Ady – ona musi okropnie się martwić.

– Czym?... Przecież dzisiaj śpiewała na korytarzu...

– To właśnie!... Bo im kto więcej jest zrozpaczony, tym bardziej stara się ukryć. O, ja wiem, bo sama najgłośniej śpiewam wtedy, kiedy się czego boję...

– Cóż jest?

– Widzisz, jest tak – szeptała Magdalena położywszy jej rękę na ramieniu. – Teraz ogromna drożyzna, rodzice naszych panienek nie płacą za pensję, ociągają się, i pani Latter może zabraknąć pieniędzy na wydatki...

– A ty skąd wiesz? – zapytała Ada.

– Pisałam listy do rodziców od pani Latter. Ale skąd ty wiesz?

– Ja?... od pani Latter – odpowiedziała Ada skubiąc cienkimi palcami suknię.

– Ona ci powiedziała?... Więc cóż?...

– No, nic... Już jest dobrze.

Magdalena odsunęła się od niej, a potem nagle schwyciła ją za rękę.

– Ada, ty pożyczyłaś pani Latter...

– Ach, Boże, więc i cóż z tego?... Ale, Madziu, zaklinam cię, nie mów o tym nikomu... Nikomu... Bo gdyby się Hela dowiedziała... Zresztą ja ci powiem wszystko...

– Jeżeli sekret, nie chcę słyszeć!... – broniła się Magdalena.

– Przed tobą nie mam sekretu. Widzisz, ja już dawno myślałam prosić Hełę, ażeby... pojechała ze mną za granicę. Wiem, że pani Latter pozwoliłaby nam wyjechać z ciocią Gabriellą, ale strasznie się boję, że gdyby Hela dowiedziała się o tych... pieniądzach, to obrazi się i nie pojedzie... Ona zerwie ze mną.

– Zmiłuj się, co mówisz?... Ona cię jeszcze bardziej powinna kochać i będzie kochać...

– Mnie nikt nie kocha – szepnęła Ada.

– Ach, ty zabawna!... Ja pierwsza kocham cię tak, że za tobą skoczyłabym w ogień... Czy ty nie rozumiesz, że jesteś dobra jak anioł, mądra, zdolna, a nade wszystko... taka dobra, taka dobra... Przecież kto by nie kochał takiej jak ty, nie miałby rozumu ani serca... Najmilsza, złota, jedyna.

Wykrzyknikom towarzyszył deszcz pocałunków.

– Zawstydzasz mnie – odpowiedziała Ada uśmiechając się ze łzami w oczach. – To ty jesteś najlepsza... Dlatego zaprosiłam cię tutaj i chcę cię prosić, ażebyś ostrożnie zaczęła namawiać Hełę do wyjazdu za granicę.

– Ja myślę, że jej nawet namawiać nie potrzeba.

– Ale widzisz – ze mną...

– Właśnie z tobą. Gdzież ona znajdzie lepsze towarzystwo i przyjaciółkę?

– Ona mnie nie lubi.

– Mylisz się, ona cię bardzo kocha, tylko ona jest trochę dziwna.

– Może lubiłaby mnie, gdybym była ubogą, a tak... jest zanadto dumna... Więc widzisz, Madziu, jak musimy z nią być ostrożne. Nic, nic... ani słówka o tych nieszczęśliwych pieniądzach.

– Bądź spokojna – odpowiedziała Magdalena. – Zaraz do niej pójde i tyle nagadam o panu Dębickim, że sama przyjdzie podziękować ci za niego.

Gdy Madzia opuściła pokój Ady, już zapadał mrok spotęgowany chmurami, z których lał się deszcz pomieszany z topniejącym śniegiem. Na korytarzu zapalono lampy. Przy ich świetle Madzia zobaczyła zbiegającą ze schodów koleżankę, pannę Joannę, ubraną jak na bal. Miała szeleszczącą kremową suknię z wybornie dopasowanym stanikiem, otwartym z przodu jak drzwi uchylone, spoza których ostrożnie wyglądał gors podobny do listków białej róży.

– A ty gdzie, Joasiu? – zapytała Magdalena.

– Teraz do panny Żanety, a później na koncert ze znajomymi.

– Ślicznie wyglądasz, cóż to za suknia!...

Joanna uśmiechnęła się.

– Ach, Madziu – rzekła tonem łagodniejszym – zastępuje mnie panna Żaneta, ale ty jej pomożesz, prawda?

– Naturalnie.

– I jeszcze, Madziu, pożycz mi, kochanko, bransoletki.

– Owszem, weź ze stolika.

– A wachlarza nie dasz mi?

– Ależ weź wszystko. Wachlarz jest także w stoliku.

– Więc wezmę i twoją koronkę na głowę.

– Dobrze, jest pod stolikiem, w pudełku od kapelusza.

– Dziękuję ci, moja droga.

– Baw się dobrze. A nie widziałas Helenki?

– Na górze nie ma jej, zapewne jest u siebie. Do widzenia.

Zniknęła na zakręcie korytarza i tylko słychać było szelest jej sukni.

„Jaka ta Zosia niemądra! – pomyślała Magdalena. – Gdzieżby Joasia pozwoliła...”

W gabinecie Helenki było pusto. Już Magdalena miała cofnąć się, gdy na progu trzeciego pokoju ukazało się jasne widziadło dające jej znaki ręką. Była to Helena.

Madzia cicho przeszła po dywanach aż do sypialni pani Latter na pół oświetlonej przez różnokolorową lampkę.

– Patrz, jaki on zabawny! – szepnęła Helena ciągnąc Madzię do niedomkniętych drzwi gabinetu pani Latter.

Na kanapce przeznaczonej dla gości siedział pan siwy i otyły, z sinymi rumieńcami na policzkach – i rozmawiał z panią Latter.

– Opiekun Mani Lewińskiej... – szepnęła Hela.

– Bardzo jestem zadowolony, mości dobrodziejko – mówił pan – bo dziewczyna co kwartał wydaje mi się lepszą. A rozsądne to, gospodarne, i kawy, mościa dobrodziejko, naleje, i herbatę umie zaparzyć... Kiedy po wakacjach odjechała do Warszawy, kąta znaleźć nie mogłem... Tfy! nawet kawałek kobiety ożywił dom; cóż by to zaś było, gdyby tak, mościa dobrodziejko, osiadła w nim gospodyni całą gębą, kobieta rozumna, dojrzała, pokaźna...

– Dom pański bardzo zyska, gdy Mania skończy pensję, a szczególnie gdy wyjdzie za mąż. Bo nawet w tym wypadku zapewne nie puści jej pan od siebie – odpowiedziała pani Latter.

– A, mościa dobrodziejko, czym ja już taki niedołęga, że sam nie mogę ożenić się?... O dzieciach, przyznam się, nie projektuję, za późno, mościa dobrodziejko; ale żony – nie myślę się wyrzekać.

Pani Latter odchrząknęła.

– Tak, proszę pani. Majątek mam nie najgorszy, bez długu, i gotówczyna się znajdzie; dom murowany, obszerny, nad rzeką... Ryby, grzyby, polowanie, kąpiele... co, mościa dobrodziejko, chcesz. Tylko, pod słowem honoru, bez kobiety wytrzymać nie mogę, a osobiście jak przyjdzie zima...

– Może pan chce zobaczyć Manię? – przerwała pani Latter.

– Wszystko jedno, Mania mi nie ucieknie, a ja skorzystam z czasu, ażeby po trochu wyrobić sobie, mościa dobrodziejko, interes. Ani twoje grymasy, ani mędrkowania, ani zagadywania nie pomogą, bo prędzej czy później ja sprawę wyłuszcze bez ogródek, nóżki na stół, mościa dobrodziejko, a pani – musisz zaakceptować...

Helenska zasłaniając usta uciekła do swego pokoju, a za nią Magdalena z wyrazem nieukontentowania na twarzy.

– Jak można, Helu, podsłuchiwać i jeszcze mnie ciągnąć? Jestem pewna, że mamie zrobiłoby to przykrość.

– Ach, jakie to paradne! – śmiała się panna Helena. – Wyobrażam sobie minę Kazia, gdybym mu powiedziała, że będziemy mieli trzeciego tatę...

– Helu...

– Naturalnie, że nie powiem, bo jeszcze więcej wydawałby pieniędzy... Murowany obszerny dom nad rzeką... Może to pałac? W każdym razie zapraszam cię, Madziu, na ryby, grzyby, kąpiele i polowania...

Magdalena rozchmurzyła się, przyszło jej bowiem na myśl, że położenie pani Latter nie jest złe, jeżeli może wyjść za majątnego człowieka.

– Nie byłaś dzisiaj u Ady – rzekła zmieniając przedmiot rozmowy.

Panna Helena usiadła na kanapie i bawiąc się koronką niebieskiego szlafrocza przestała śmiać się, a zaczęła ziewać.

– Nudzi mnie Ada swoimi obawami i zazdrością – rzekła. – Oddaliła Romanowicza, że się we mnie kochał, a umawia się z obrzydliwym Dębickim, który wygląda jak żaba.

– Lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli zamiast kokietować profesora, będziesz słuchała lekcyj.

– A, także mnie znasz!... Wasza fizyka ani algebra nic mnie nie obchodzi, ale kokietować kogoś muszę, choćby Dębickiego. Zobaczysz, jak będzie na mnie słodko spoglądał, co chyba do rozpacz doprowadzi Adę.

– Czy ty możesz tak mówić o Adzie? – odparła Magdalena. – Ona, biedactwo, tak ciebie kocha...

– Piękne biedactwo, milionowa panna!...

- Ale ona nie wyjeżdża za granicę dlatego, ażeby dłużej być z tobą.
- Niech mnie zabierze, to będzie ze mną jeszcze dłużej.

Madzia klasnęła w ręce z radości.

- Ona o tym tylko marzy! – zawołała. – Jeżeli zechcesz, pojedzie, choćby jutro, każdej chwili...

– A tymczasem czeka, ażebym ja ją prosiła. Tego nie zrobię. Moje towarzystwo jest przynajmniej tyle warte, ile dochody panny Solskiej.

– Helu – mówiła Madzia ściskając ją za ręce – widzisz, jak ty nie rozumiesz Ady. Ona sama poprosiłaby ciebie, ale nie śmie, boi się, ażebyś się nie obraziła...

– Cha! cha! cha!... a czymże się tu obrażać? Przecie pieniędzy na podróż mama nie odmówi, chodzi tylko o okazję i przyzwoitą opiekę. A że opiekę da mi panna Solska i jakaś tam jej ciotka, więc ja zależę od nich – i dlatego – one powinny wystąpić z propozycją. Ach, wyjadę za granicę!...

– Jeżeli tak, to sprawa skończona – rzekła Magdalena. – Ada poprosi cię... Tylko, Helu, wstąp do niej na chwilę, ona tak tęskni za tobą.

Panna Helena oparła głowę o poręcz kanapki i przymknęła oczy.

– Jaka szkoda – mówiła – że ona tęskni za mną, a nie jest chłopcem. Gdyby równie bogaty chłopiec tęsknił za mną, wiedziałabym, co mu powiedzieć... O Madziu! gdybym ja istotnie mogła wyjechać za granicę, choć na pół roku! Bo tu zmarnuję życie, tu nie ma dla mnie ani towarzystwa, ani partii. Boże, być piękną i... nazywać się córką przełożonej pensji, a co gorsza, całe dni spędzać na pensji, ciągle brać jakieś niedorzeczne lekcje... Aaa!...

– Więc pójdziesz do Ady...

– Pójdę, pójdę... Zresztą ja wiem, że ona jest dobra dziewczyna i przywiązana do mnie; ale czasami nudzą mnie jej wylężnione spojrzenia i wieczne martwienie się tym, że – ja nie kocham tylko jej jednej... Śmieszni ludzie! Każdy wielbiciel chce, ażebym myślała wyłącznie o nim, i każda przyjaciółka to samo. Tymczasem ja jestem jedna, a ich tyle!...

Madzia obojętnie pożegnała Helenę i z wolna poszła na górę. Było jej dziwnie. Znała Helenę, przysłuchiwała się jej poglądom od kilku lat, ale dopiero w tej chwili uderzyły ją one w sposób nieprzyjemny. Czuła rozdźwięk pomiędzy bezinteresownym przywiązaniem Ady a pretensjami Heli. I ogarnął ją wstyd na myśl, że podróż tej lekceważącej panny, spokój jej matki, a może byt pensji zależą dziś od nieładnej i pokornej Ady, która uważała, że ludzie przyjmując od niej usługi robią jej łaskę.

„Co się ze mną dzieje od kilku dni? – myślała Magdalena. – Czy świat się zmienił, czy może ja tak nagle zestarzałam się i zaczynam patrzeć jak ludzie starzy? A może to choroba umysłowa? ... może malaria?...”.

Na górze, w sali klasowej, otoczyły Magdalенę pensjonarki witając ją, wypytując o Adę albo donosząc, że panna Joanna poszła na koncert i że jest – prześlicznie ubrana. Potem niektóre rozsiadły się w ławkach, inne kolejno wychodziły na środek sali z książkami i kajetami prosząc o objaśnienia. Jedna nie mogła dać sobie rady z arytmetyką, druga z wypracowaniem francuskim, inna odrobiła wszystkie zadania, ale koniecznie chciała wydać jutrzejsze lekcje przed Madzią. Każda na środku sali pięknie dygała przed nauczycielką, kładła kajet na stole, potem zbliżywszy głowę do Madzi, rozmawiała z nią półgłosem, następnie mówiła: „aha! już wszystko rozumiem...”, następnie przekonywała się, że nic nie rozumie, ale w końcu wracała na miejsce zadowolona.

Siedząca w pierwszej ławce piękna brunetka z aksamitnymi oczyma, Malwinka, bawi koleżanki opowiadaniem, że ona już od godziny umie lekcje i że ona zawsze najprędzej uczy się lekcji, ponieważ jest najzdolniejsza. Poinformowawszy zaś wszystkie koleżanki o swoich zdolnościach zaczyna słuchać tego, co dzieje się przy katedrze; ile razy zaś zrozumie, o co chodzi, wybiega na środek, chwytając za rękę uczennicę rozmawiającą z Magdalенą i mówi:

- Moja Franiu, po co panią fatygujesz, kiedy wiesz, że ja ci to wszystko wytłomaczę?...
- Idź na miejsce, Malwinko – prosi ją nauczycielka.

Malwinka wraca na miejsce, lecz w kilka minut później zapomniawszy o przestrodze wybiega znowu mówiąc do innej koleżanki:

- Moja Stasiu, po co panią fatygujesz, kiedy wiesz, że ja ci to doskonale opowiem!
- Idź na miejsce, kochana Malwinko – prosi Magdalena.
- Bo, proszę pani, ja już od godziny umiem wszystko; ja zawsze uczyć się najprędzej...

Ciągłe wybieganie Malwinki stanowiło tak niezbędną część wieczornych zajęć, że gdyby jej nie było, Magdalenie i pensjonarkom brakłoby czegoś w klasie.

Nareszcie skończyły się korepetycje. Dziewczynki rozmawiały ze sobą w ławkach albo douczały się pamięciowych lekcji, a Malwinka znalazła parę koleżanek, które przed nią i przed którymi ona wydawała historię powszechną po kolei lub na wrywki. Magdalena wzięła się do roboty włóczkowego szalika na drutach, spoglądając od czasu do czasu po klasie.

Boże, Boże, jak jej doskonale jest na pensji, jacy tu wszyscy dobrzy i za co ją tak kochają? Bo przecież ona wie najlepiej, że nie zasługuje na ludzką miłość, jako istota zła, brzydka i głupia. Po prostu ma trochę szczęścia, a jeżeli ma, więc któż zaręczy, że nie spełnią się jej najgorętsze marzenia i że od dziś za rok nie sprowadzi tu swojej dwunastoletniej siostrzyczki Zochny, która, biedactwo, musi się uczyć na prowincji, bo rodzicom coraz trudniej wydawać na edukację!...

Może istotnie Zochna od dziś za rok będzie siedziała za pulpitem naprzeciw niej, jak te oto. Naturalnie będzie miała brązowy mundurek i czarny fartuch i będzie taka ładna jak Mania, ta szatynka z rozpuszczonymi włosami, która podparłszy ręką brodę patrzy na krąg światła rzucający się od lampy na sufit. Tylko jej siostra będzie jeszcze tak pilna jak ta blondynka, Henrysia, która zatkała sobie uszy i powtarza lekcje, ażeby nie opuścić ani wyrazu, ani przecinka. Oprócz tego Zochnę tak będą kochały jej koleżanki, jak dziś kochają Stasię, którą obsiadły ze wszystkich stron. W żadnym zaś wypadku Zochna nie będzie taka chytra jak Frania, która ciągle wydobywa z kieszeni karmelki i zajadając je zasłania sobie ręką usta, ażeby tego inne nie spostrzegły.

Nagle bieg jej marzeń przerywa jedna z pensjonarek zapytując z ławki:

- Proszę pani, co to jest jajko Kolumba?

Dziewczynki zaczęły się śmiać, Frania o mało nie udławiła się karmelkiem, a Malwinka zawołała:

- Moja Kociu, po co ty panią fatygujesz, kiedy ja ci to wytłomaczę...

Ponieważ Magdalena zapomniała, co znaczy owe jajko, więc schyliwszy się nad robotą słucha objaśnień Malwinki i dowiaduje się, że Kolumb był to taki pan, który odkrył Amerykę, i że Malwinka ma w Ameryce bardzo bogatego stryja, który niedawno wyjechał z Warszawy i już zrobił majątek.

Zadzwoniono na kolację i pensjonarki pod dowództwem dam klasowych przeszły do dwu sal, w których znajdowały się długie stoły obite ceratą, zastawione szeregami szklanek herbaty i bułeczek z szynką. Zaczęło się odsuwanie krzeseł, siadanie, żądanie cukru albo mleka, wymiana bułek między koleżankami. Damy klasowe uspakajają młodsze dziewczęta; służące w białych fartuchach krążą koło stołów z tacami bułek; w salach panuje gwar.

Nagle wszystko umilkło, krzeselka odsunęły się z łoskotem, uczennice i damy klasowe powstały i naprzód w jednej, potem w drugiej sali pochyliły się głowy jak pszenica na wietrze. Czarno ubrana, spokojna, z twarzą niby wyrzeźbioną w kamieniu, przesunęła się pani Latter, co kilka kroków lekko kłaniając się damom klasowym. Zdawała się nie patrzeć na nikogo; ale każda nauczycielka, pensjonarka czy służąca czuła na sobie jej wzrok ognisty. Już znikła, lecz w jadalniach jest tak cicho, że z korytarza doleciał jej głos, kiedy zapytała lokaja, dlaczego nie otwarto okien w piątej klasie.

„Boże! – myślała Magdalena – i to jej, takiej królowej, ja chciałam pożyczyć trzy tysiące rubli? Ja ośmieliłam się ją protegować u Ady, ja, nędzny pyłek?... Co będzie, jeżeli ona dowie się kiedy o mojej rozmowie z Adą? Naturalnie, że wypędzi mnie bez miłosierdzia... Nawet nie potrzebuje wypędzać, bo jeżeli spojrzy na mnie i zapyta: coś ty, niegodziwa, mówiła?... ja zaraz umrę...”.

Po kolacji uczennice przeszły do sal rekreacyjnych i zaczęły bawić się: jedna partia w ślepą babkę, druga w kotka i myszkę. Któraś z panien usiadła do fortepianu i myśląc się co kilka taktów zagrała walca. Kilka dziewczynek przybiegło do Madzi prosząc, aby potańczyła z nimi za chłopca.

Ale Madzia wymówiła się od zabawy; poszła do jednej z pustych sal, którą przewietrzano, i stanąwszy w otwartym oknie, obryzgiwana kroplami padającego deszczu, myślała z rozpaczą:

„Ja już nigdy nie będę miała rozumu! Jak ja śmiałam powiedzieć Adzie, że pani Latter potrzebuje pieniędzy? Przecie jeżeli ona zażąda, cała Warszawa złoży jej choćby i sto tysięcy rubli... O, dlaczego pierwszej nie umarłam!...”

Około jedenastej wieczór, kiedy wszystkie uczennice spały pod opieką świętych obrazków, a Magdalena za swoim parawanikiem czytała przy świecy, do sypialni weszła pani Latter. Rzuciła okiem na łóżeczka, jednej z dziewczynek poprawiła zsuniętą kołdrę, wreszcie zajrzała za szafirowy parawan.

„Pewnie mnie wypędzi” – pomyślała Magdalena czując, że jej serce bić przestało.

– Joasi jeszcze nie ma? – zapytała pani Latter półgłosem.

– Nie wiem, proszę pani.

– Dobranoc, Madziu! – rzekła przełożona tonem łaskawym i opuściła sypialnię.

„Ach, jaka ona dobra, jaka ona szlachetna!” – unosiła się w duchu Madzia myśląc z trwogą, jakby jej było okropnie znaleźć się na dworze w jednej koszuli w taki deszcz. Co naturalnie musiałoby ją spotkać, gdyby pani Latter dowiedziała się o rozmowie z Adą.

„Jestem bezwstydną!” – szepnęła do siebie gasząc świecę.

Deszcz padał coraz większy, szeleścił na dachu, bębnił w okna, skwierczał w wylotach rynien, szumiał na asfalcie podwórza. Niekiedy rozlegał się turkot dorożki i chlapanie kopyt końskich w wodzie płynącej całą szerokością ulicy.

„Jak zimno musi być tym, którzy wracają do domu” – pomyślała Madzia.

Przebiegły ją dreszcze, więc mocniej owinięła się w kołdrę i zasnęła. Śniło jej się, że pani Latter wcale nie gniewa się na nią, że Zochna jest już na pensji pierwszą uczennicą i że co dzień nosi pasową kokardę za wzorowe sprawowanie. Jest zaś tak wyjątkowo pilna i grzeczna, że dla odróżnienia jej od najpilniejszych i najgrzeczniejszych uczennic pani Latter każe jej nawet sypiać z pasową kokardą.

Sen ów wydaje się Madzi tak niedorzecznym, że wybucha śmiechem i budzi się.

Budzi się i – siada na łóżku, ponieważ w korytarzu słysząc pukanie do drzwi naprzeciwno. Jednocześnie w sali szepcze ktoś:

– Maniu, słyszysz?...

– Nie mów do mnie, bo ja okropnie boję się...

– Może to złodziej?...

– Co ty mówisz?... Trzeba zbudzić pannę Magdalенę...

– Ja nie śpię, dzieci – odzywa się panna Magdalena i drżącą ręką zapala światło.

A ponieważ pukanie słysząc znowu, więc szybko wdziewa pantofelki, narzuca szlafroczek i idzie ze świecą do drzwi.

– Ach, niech pani nie chodzi na korytarz, tam muszą być zbójcy!... – mówi jedna z dziewczynek i chowa głowę pod poduszkę.

Inne nakrywają głowę kołdrami tak starannie, że niektórym widać gołe stopy, a nawet kolana. Jedna zaczyna drzeć – już drżą wszystkie, druga zaczyna szlochać – wszystkie szlochają.

Madzia zbiera całą energię i otwiera drzwi na korytarz; dziewczynki w płacz.

– Kto tu? – mówi Madzia podnosząc świecę w górę.

– Ja, czy nie widzisz?

Dziewczynki usłyszawszy rozmowę umilkły; lecz gdy Madzia mówi do nich:

– Uspokójcie się, dzieci, to Joasia... to panna Joanna... – zaczynają płakać i krzyczeć na cały głos.

Madzia osłupiałym wzrokiem patrzy na Joasię. Patrzy i nie wierzy własnym oczom widząc, że piękna kremowa suknia Joasi jest zlaną deszczem i zabłocona, że włosy Joasi są potargane, twarz płonie, a w oczach tlą się dziwne blaski.

– Czego mi się przypatrujesz? – z gniewem odzywa się panna Joanna. – Od godziny nie mogę dostać się tu... musiałam przejść przez pokój lokajów, a teraz pukam, bo ten smarkacz, Zosia, drzwi przede mną zamknęła!...

– Zosia?... – powtarza Magdalena nie wiedząc, czy ma stać na korytarzu, czy uspokajać swoje dziewczątka, które płaczą coraz głośniejsze.

Wtem od schodów pada blask, rośnie, pokazuje się płomień świecy i – jakaś osoba ciemno ubrana.

Madzia cofa się i zatrzasnąc drzwi rzuca rozkrzyczanym dziewczętom dwa wyrazy:

– Pani Latter!...

W jednej chwili sypialnię zalega cisza... Obawa przełożonej tłumi strach przed zbójcami i zapobiega zbiorowym spazmom. W korytarzu słychać ostry głos:

– Co to znaczy, Joasiu?...

Przez chwilę ktoś szepcze, potem pani Latter odpowiada równie jak pierwszej ostro, lecz ciszej:

– Zrobiłaś awanturę...

Znowu szeptanie i znowu pani Latter odpowiada szeptem:

– Chodź do mnie.

W korytarzu słychać oddalające się kroki. Madzia wchodzi do łóżka, gasi świecę i słyszy przez ścianę, że w sąsiedniej sypialni także rozmawiają.

Zegar wybił drugą.

6. Taka, której się nie powiodło

Madzia nie pamiętała wypadku, który by tak nią wstrząsnął jak owo spóźnienie Joasi.

Nie mogła zasnąć, choć w salach i na korytarzu było cicho. Zdawało jej się, że ktoś chodzi, to, że słychać woń spalenizny, to znowu, że w deszczu gęsto padającym dźwięczy jakaś melodia. Nade wszystko jednak spać przeszkadzał jej bieg własnych myśli.

Marzyła, że jutro na pensji zdarzy się coś okropnego. Najpewniej Joasia straci miejsce damy klasowej za to, że tak późno wróciła; a może i Zosię wydała, że zamknęła drzwi na klucz.

„Biedna Joasia – wdychała Magdalena przewracając się na łóżku – jej już nic nie uratuje. Pamiętam, jeszcze w trzeciej klasie, pani Latter wymówiła miejsce pannie Zuzannie za to, że bez opowiedzenia się wyszła przed południem. Albo – dwa lata temu – co się stało z panną Krystyną? Raz jeden nie nocowała w domu i – żegnam panią!... Nie wiem nawet, czy dostała miejsce na innej pensji?...

I co tej Zosi strzeliło do głowy?... Bała się? Ale na korytarz nikt nie mógłby wejść. A może ona przez zazdrość o pana Kazimierza?... Niegodziwa dziewczyna, naturalnie, że zrobiła to przez zazdrość...

A może pani Latter i mnie wydali za to, że wyszłam na korytarz?... Ha, powiem, że dziewczynki ogromnie bały się i chciałam je uspokoić”.

Tym razem myśl wydalenia z pensji przeraziła ją. Co ona powie rodzicom, jak pokaże się im straciwszy miejsce?... I co będzie robić w domu, wypędzona, okryta wstydem?...

Usiadła na łóżku i schwyciła się rękoma za głowę.

„Boże! Boże! – myślała – ja już tracę przytomność! Za cóż by mnie pani Latter wydała i... co się ze mną dzieje, że mi takie dziwne rzeczy snują się po głowie?... Ja muszę być chora...”.

Uspokoiwszy się, że jej nie mogą wydalić z pensji za to, że wyszła na korytarz, zaczęła z kolei trapić się obfitością własnych myśli.

Nie dawniej jak przed kilkoma tygodniami myślała tylko o swoich dziewczynkach i ich lekcjach, o tym, że porozmawia z Adą albo że wyjdzie na spacer z klasą. A dziś? Niepokoi się dochodami pani Latter, chce dla niej zaciągnąć pożyczkę, to znowu troszczy się losem Joasi.

„Oczywiście, mam początki pomieszania zmysłów!...” – szepnęła.

Wybiła trzecia, kwadrans na czwartą, wpół... Madzia postanawia spać. Lecz im mocniej zamyka oczy, tym wyraźniej widzi przed sobą Joasię w zabłoconej sukni, a w głębi korytarza ciemną figurę pani Latter ze świecą w ręku. Potem kremowa suknia Joasi zrobiła się pomarańczową, a płomień świecy czerwonym; potem ciemna figura pani Latter zrobiła się zielonawą, a płomień białym. Potem Joasia, pani Latter i jej świeca posunęły się w górę, jakby na sufit, zaczęły się rozpyływać w nieokreślone plamy, znikły, znowu pokazały się, ale już w innych kolorach, i nareszcie...

Nareszcie w korytarzu rozległ się głos dzwonka przypominający, że pora wstawać. Pokojówki od dawna poodnosiły wyczyszczone buciki i suknie, kilka uczennic pobiegło do łazienki myć się, na korytarzu było słychać otwieranie i zamykanie drzwi, chodzenie i mówienie sobie „dzień dobry”.

Ubrawszy się Madzia wyszła na korytarz i zajrzała do sypialni naprzeciw. Panienek nie było, ale służąca, która otwierała okna, niepytana odezwała się:

– Panna Joanna spała dziś u pani przełożonej, a teraz poszła do lazaretu...

– Do lazaretu?... Cóż jej jest?...

Służąca uśmiechnęła się tak dziwnie, że Madzię oblał rumieniec. Wyszła z sali obrażona i postanowiła już nie dowiadywać się o Joasię. Uważała jednak, że dokoła niej wszyscy rozmawiają o Joasi. Stojąca obok piątej klasy panna Żaneta opowiadała uczennicom, że wczoraj Joasia musiała wrócić późno do domu, bo ta pani, z którą była na koncercie, zasłabła i nie miał jej kto pilnować.

Lecz o kilka kroków dalej, pod pierwszą klasą, pani Méline opowiadała innej nauczycielce, że Joasia spóźniła się, ponieważ sama zasłabła po wczorajszym koncercie, który podobno był bardzo

ładny. Zaś na schodach lokaj Stanisław, który niekiedy pełnił obowiązki szwajcara, gromił jedną z pokojówek:

– Co pannie do tego?... Co panna masz plotki roznosić!... Była w restauracji czy nie była, upiła się czy nie upiła, to nie nasza rzecz...

„Pewnie mówią o pomywaczce” – pomyślała Madzia.

O dziewiątej zaczęły się lekcje i Madzia, a zapewne i wszystkie panienki zapomniały o Joasi. Ale o dwunastej, kiedy Magdalena zaniósła dziennik do pani Latter, stanąwszy w gabinecie przełożonej usłyszała w drugim pokoju głos pana Kazimierza, który mówił:

– Przeciwnie, pomyślą wszyscy, że traktujemy nauczycielki jak członków rodziny...

– Wolałabym jednak, ażebyś ty do tego nie należał – odpowiedziała mu pani Latter tonem surowym.

Madzia tak głośno położyła dziennik na biurku, że rozmawiający umilkli, a następnie weszli do gabinetu.

– No, niechże nas panna Magdalena osądzi – rzekł pan Kazimierz. Był zarumieniony, oczy mu błyszczały i nigdy jeszcze nie wydał się Madzi tak ładnym jak dziś. – Niech powie panna Magdalena... – dodał.

– Proszę cię, ani słowa!... – przerwała mu pani Latter. – Dobrze, moje dziecko, możesz wrócić na górę – rzekła do Magdaleny.

Madzia szybko opuściła gabinet, lecz spostrzegła, że pani Latter jest bardzo zmieniona. Oczy miała ogromne i ciemniejsze niż zwykle, twarz żółta; zdawało się, że od wczoraj schudła.

„Pani Latter jest bardzo piękna” – pomyślała Madzia idąc na schody. Ale przed wzrokiem jej duszy stał obraz nie pani Latter, tylko jej syna.

Zanim dziewczynki rozeszły się na obiad, już w całej szkole opowiadano o Joasi najdziwniejsze historie. Z jednej strony, słyszano od stróża, że pannę Joannę w nocy odprowadził do domu jakiś młody pan bardzo zasłonięty; z drugiej strony, ktoś z miasta utrzymywał, że pannę Joannę widziano po koncercie w restauracji, gdzie była w towarzystwie panów i pań w osobnym gabinecie i śpiewała przy fortepianie. Nareszcie lokaj, który jej drzwi otworzył, szepnął jednej z pokojówek, że od panny Joanny, kiedy weszła, czuć było wino.

Na pensji nikt nie wątpił, że Joasia straci miejsce, jeżeli go już nie straciła; znano bowiem surowość pani Latter. Toteż nauczycielki i pensjonarki, nie wyłączając Zosi, tej samej, która zamknęła drzwi sypialni, wszystkie żałowały Joanny.

Tylko panna Żaneta twierdziła, że to są plotki, i utrzymywała, że pani Latter nie oddali Joasi, ponieważ bardzo energicznie ujęła się za nią panna Howard.

Po obiedzie Magdalena z biciem serca poszła do lazaretu odwiedzić Joasię, której pomimo współczucia nikt nie odwiedzał. Znalazła ją w łóżku mizerną, a przy niej pannę Howard, która zobaczywszy Madzię zerwała się z krzesła.

– Tylko niech pani nie myśli – zawołała – że ja tu pielęgnuję chorą!... To zajęcie dla bab, ale nie dla kobiety czującej ludzką godność...

– Jaka pani dobra! – rzekła Joasia wyciągając do niej rękę.

– Ja nie jestem dobra!... – oburzyła się panna Howard podnosząc w górę płowe brwi i chude ramiona. – Ja tylko przyszedłam złożyć hołd kobiecie zbuntowanej przeciw tyranii przesądów... Co to jest, ażeby kobieta nie miała prawa wracać o drugiej w nocy, jeżeli mężczyznom wolno wracać choćby o piątej nad ranem?... Gdybym była panią Latter, porozpędzałabym niegodziwych lokajów, którzy śmiać robić uwagi, i wydalilibym z pensji tego smarkacza, Zosię...

– Ja nie mam do nich żalu – przerwała Joasia.

– Ale ja mam! – zawołała panna Howard. – Jak również mam szacunek dla pani Latter, że nareszcie zerwała z przesądami...

– Cóż ona zrobiła?... – pyta Madzia.

– Nie wszystko, ale jak na nią, dość dużo, uznała bowiem, że panna Joanna jest istotą samodzielną i ma prawo przychodzić do domu wówczas, kiedy jej się podoba. Zresztą – dodała panna Howard – oświadczyłam jej dziś rano, że jeżeli Joasia straci miejsce, ja wyjdę z domu na całą noc...

– Ach, Boże, co pani mówi?... – przerwała jej Madzia ze śmiechem.

– Wypowiadałam moje najświętsze przekonania. Tak jest, wyszłabym na całą noc i – niechby mnie jaki nikczemnik ośmielił się zaczepić!...

Twarz panny Howard stała się pąsową, a nawet włosy przybrały jeszcze bardziej niezdecydowany kolor, kiedy wypowiadała te poglądy.

Nareszcie chwilę odpocząwszy zwróciła się do Madzi i rzekła, mocno ściskając ją za rękę:

– No, zostawiam panią przy chorej i jestem zadowolona, że i pani ma odwagę wielkich przekonań. Za rok, dwa, najwyżej trzy, będzie nas miliony!...

„Nas?... – pomyślała Madzia rumieniąc się. – Cóż ona myśli, że i ja zostanę emancypantką? ...”.

Po wyjściu panny Howard, która dla zadokumentowania swoich najświętszych przekonań tak trzasnęła drzwiami, że cały pokój zadrżał, Madzia usiadła przy chorej. Dostrzegła w niej zmianę. Panna Joanna leżała z rękoma opuszczonymi, a na jej rzęsach było widać łzy.

– Co tobie, Joasiu? – szepnęła Magdalena.

– Ach, nic... nic!... Niczego nie żałuję... Choć gdybyś widziała moją podróż przez dziedziniec! ... Nie miałam dziesiątki dla stróża i słyszałam, jak mruczał, że kto nie ma pieniędzy, nie powinien włóczyć się po nocach... Na dziedzińcu potknęłam się i cała suknia na nic... A jak spojrzał na mnie ten fagas!... Ale wiesz co?... To robi mi przyjemność. Czasem zdaje mi się, że chciałabym ciągle upadać w błoto i być wytykana palcami, tak... Przypominają mi się dziecinne lata. Kiedy mnie ojciec bił, ja gryzłam sobie palce i robiło mi to taką samą przyjemność jak wczorajszy powrót...

– Ciebie bił ojciec?... Za co?...

– O, i jak!... Ale nic ze mnie nie wybił, nic, nic...

– Jesteś bardzo rozdrażniona, Joasiu... Gdzieś ty była wczoraj?

Panna Joanna usiadła na łóżku i grożąc zaciśniętymi pięściami zaczęła szeptać:

– Raz na zawsze proszę was, nie zadawajcie mi takich pytań. Gdzie byłam, z kim byłam? – to moja rzecz. Dość, że do nikogo nie mam pretensji, do nikogo, słyszysz?... Nie ten, to ów, wszystko jedno... Wszystkie drogi wiodą do Rzymu...

Upadła na łóżko i ukrywszy twarz w poduszce szlochała. Madzia stojąc nad nią nie wiedziała, co począć. Duszę jej przebiegały najsprzeczniesze uczucia: zdumienie, wstręt, a jednocześnie coś jakby zazdrość...

– Potrzeba ci czego? – zapytała niechętnie.

– Nic mi nie potrzeba, tylko idźcie sobie i nie nasyłajcie mi dozorczyń! – odpowiedziała Joasia nie podnosząc twarzy.

– Do widzenia.

Madzia wyszła powoli, myśląc:

„Po co ja mówię: do widzenia, kiedy nie chcę jej widzieć?... Zresztą, co mnie to obchodzi; ja przecie nie poszłabym z mężczyznami do restauracji, a za skarby całego świata nie chciałabym być w takim dziwnym stanie, więc jej nie zazdroszczę... A jednak dlaczego ona to zrobiła, czego żadna z nas nie robi?... Czy ona nie taka jak my wszystkie, czy lepsza od nas?...”.

W korytarzu spotkała gospodynię pensji, pannę Martę, osobę kaszlącą i wysoką, w białym czepeczku, która była nadzwyczajnie silna i trzymała się pochyło.

– Ach, co się u nas dzieje, paniuńciu! – rzekła gospodyni składając żylaste ręce i schylając głowę niżej niż zwykle. – Jak jestem tu dziesięć lat, nie zdarzyło się nic podobnego... A biedna pani przełożona...

– Cóż pani przełożona?...

– Aaa!... Ona to dopiero chora; wygląda jak z krzyża zdjęta, jakby z trumny wstała... Bo to i niepięknie, i dla pensji niedobrze...

Obejrzała się, czy kogo nie ma w korytarzu, i dodała cicho, zbliżywszy usta do ucha Madzi:

– Oj, te dzieci, te dzieci!... Szczęśliwe my, paniuńciu, że nie mamy dzieci...

I prędko odeszła trzęsąc wielkimi rękoma.

„Dzieci?... Co ona mówi o dzieciach?... Przecież Joasia nie jest córką pani Latter. Panna Marta widocznie dostała bzika...”.

Nagle przypomniał jej się pan Kazimierz zarumieniony, z rozrzuconymi włosami, kiedy w południe mówił do matki: „No, niechże nas panna Magdalena osądzi...”. „Jaki on był piękny w tej chwili i ciekawa rzecz, w jakiej sprawie odwoływał się do jej sądu? Czyby Joasia z nim?...”.

Magdalena zdrętwiała. Niepodobna, ażeby Joasia z panem Kazimierzem była dzisiejszej nocy w restauracji, nie! On nie zrobiłby tego... On – z Joasią!...

Nie mogła wierzyć, ale na samą myśl o tym poczuła, że nienawidzi Joasię...

7. Której się powodzi

W początkach grudnia, kiedy Joasia już wróciła do zdrowia i obowiązków damy klasowej, a na pensji ucichły plotki z powodu jej nocnego powrotu, w początkach grudnia zdarzył się wypadek, który Magdalenie nasunął myśl, że Helenka Norska nie ma dobrego serca.

Zdarzyło się to z panem Dębickim na lekcji matematyki w pokoju Ady, gdzie uczyło się ich trzy: Ada, Helenka i Madzia.

Przed wszystkim Madzia od pierwszej lekcji spostrzegła (co ją nawet oburzyło), że Helenka kokietuje pana Dębickiego. Nosi rękawy, z których doskonale widać jej prześliczne ręce, wysuwa nóżki, kiedy profesor wyklada coś przy tablicy, a czasami rzuca takie spojrzenia, że Madzi wstyd za nią. Tym bardziej wstyd, że pan Dębicki, który z początku mieszał się wobec Heleny, później nie tylko nic sobie nie robił z jej kokieterii, ale nawet uśmiechał się swoim dobrym i rozumnym półuśmieszkiem, w którym czuć było ironię.

„Dziwna ta Hela! – myślała Madzia. – Jak ona może robić podobne miny wobec człowieka przeszło pięćdziesięcioletniego, który nie jest piękny, nawet trochę łysy, a nade wszystko – nigdy się z nią nie ożeni? Najgorsze zaś, że pan Dębicki, który jest bardzo rozumnym, widzi, co ona dokazuje, i drwi z niej”.

Helenkę, którą uwielbiali nawet sześćdziesięcioletni panowie zachowywanie się Dębickiego poczęło drażnić; kokietowała go więc w sposób coraz bardziej wyzywający, nie szczędząc jednak i szyderstwa, jeżeli zdarzyła się sposobność.

W początkach grudnia Dębicki tłumaczył trzem pannom dwumian Newtona w przypadku wykładników ułamkowych; a tłumaczył tak jasno, że Madzia nie tylko wszystko rozumiała, ale wprost upoiła się jego wykładem. W szczególny sposób działał na nią ten cichy, łagodny, wiecznie zafrasowany człowiek, który przy wykładzie zmieniał się w natchnionego. Rzadkie włosy jeżyły mu się, jasne oczy nabierały głębokich cieniów, nalana twarz – posągowych rysów, a głos – przejmującej dźwięczności. Ada z Madzią nieraz mówiły sobie, że lekcje Dębickiego są prawdziwymi koncertami, o ile profesor zapali się do przedmiotu; bo na pensji, osobiście jeografię, wykladał nudnie.

Otóż Dębicki wyłożywszy dwumian Newtona zapytał panien, czy która nie zechce powtórzyć? Magdalena mogła powtórzyć, ale przez grzeczność chciała ustąpić głosu Adzie; Ada zaś zwróciła się do Helenki.

– Kiedy ja nic nie wiem – odpowiedziała ze śmiechem Hela wzruszając ramionami.

– Nie rozumiała pani? – zapytał zdziwiony Dębicki.

Helenka odrzuciła w tył głowę i patrząc przymrużonymi oczyma na Dębickiego rzekła:

– Tak zasłuchałam się w melodię pańskiego głosu, że nie rozumiałam nic. Panu to nie robi przyjemności?

– Nasi słuchacze – odparł Dębicki spokojnie – mogą nam robić tylko jeden rodzaj przyjemności, mianowicie – uważać. Mnie pani zawsze tego odmawia.

„Dobrze jej tak!” – pomyślała Madzia, lecz spojrzawszy na towarzyszki zmieszała się. Ada wyleknionymi oczyma spoglądała to na Helenkę, to na Dębickiego, Helenka zaś była zarumieniona z gniewu, a jej piękna twarz miała jakiś koci wyraz, kiedy podnosząc się z krzeselka odpowiedziała z uśmiechem:

– Widać, że nie mam zdolności do wyższej matematyki, choć profesor popiera ją nawet wykładami moralności. Nie przeszkadzam państwu...

Kiwnęła głową Adzie, ukloniła się Dębickiemu i opuściła pokój.

Biedny profesor był bardzo zakłopotany. Upuścił krede, wsadził wielki palec lewej ręki za klapę surduta i pozostałymi palcami zaczął bębnić. Twarz mu zmartwiała, spojrzenie zamąciło się i cichym głosem odezwał się do Ady:

– Może... może ja paniom przeszkadzam?...

Ada milczała, bo zbierało jej się na płacz, co spostrzegł Dębicki i rzekł biorąc za kapelusz:
– Na następną lekcję przyjdę, gdy panie dadzą mi znać...

Uklonił się niezgrabnie, patrząc w sufit, a gdy szedł do drzwi, Madzia zauważyła, że podnosi kolana bardzo wysoko.

– Boże, co tu się dzieje! – zawołała Ada z płaczem, tuląc się do Madzi. – I co ja teraz mam robić?

– A cóż tobie, Adziu? – odezwała się Magdalena – przecież on do ciebie nie ma pretensji.

– Tak, ale ja znowu muszę przerwać lekcje, bo Hela śmiertelnie obraziłaby się na mnie. A to taki doskonały profesor, taki nieszczęśliwy człowiek i przyjaciel Stefka... Musimy wyjechać z Warszawy, bo ja się tu rozchoruję.

W godzinę już na całej pensji mówiono, że Dębicki zrobił impertynencję Helenie, a panna Howard głośno na korytarzu wykladała kilku damom klasowym, że jest to gbur i obrzydliwa ropucha, w której pod pozorami niedołęstwa kryje się największy nieprzyjaciel kobiet.

– Trzy razy badałam go, ażeby poznać, co myśli o samodzielności kobiet, a on tylko uśmiechał się!... Za te uśmieszki rzuciłabym go ze schodów – zapewniała panna Howard.

Zaś pani Latter spotkawszy wieczorem Madzię rzekła do niej tonem, w którym czuć było gniew:

– Cóż ten safandula już odgryzł się na naszych lekcjach, jeżeli zaczyna robić impertynencje? Nieostrożny, nieostrożny!...

Magdalena nie odpowiedziała, choć silny rumieniec zdradził, że nie podziela zdania przełożonej. W tych kilku słowach czuła zapowiedź dymisji dla Dębickiego i pierwszy raz w życiu przyszło jej na myśl, że pani Latter nie jest sprawiedliwą. Biedny profesor może stracić posadę dlatego, że Helence nie pozwolił żartować z siebie; ale Joasia, która zrobiła skandal, jest ciągle damą klasową i nawet zaczyna podnosić głowę.

„Po co ja o tym myślę?... co mnie do tego?... – wyrzucała sobie Madzia. – I co się ze mną dzieje, że zaczynam sądzić ludzi, a nawet potępiać ich. Joasia jest dumna, może z obawy, ażeby jej kto nie robił wymówek, chociaż... niepotrzebnie szykanuje Zosię. A swoją drogą Marta miała słuszość mówiąc, że pani Latter cierpi przez dzieci... Hela nie jest dobra, kiedy Dębickiego naraża na utratę lekcyj, a matkę na niesprawiedliwość...”.

Obok Helenki przyszedł jej na myśl pan Kazimierz, który coraz rzadziej bywał u pani Latter, ale za to coraz częściej jego imię łączono z imieniem Joasi. Lecz w takich chwilach Madzia zasłaniała uszy przed podszeptami własnych myśli i powtarzała sobie z uporem:

„To nie może być, ażeby on był w restauracji z Joasią... To wszystko plotki!... On, taki piękny, taki szlachetny...”.

Pomimo obaw Magdaleny, że Dębicki może stracić posadę, sprawa jego nagle poprawiła się, i to w kilka dni po zajściu z Helenką. Wpłynął na to przyjazd pana Stefana Solskiego, brata Ady, o czym Madzia dowiedziała się z ust samej Helenki.

– Wiesz – zawołała panna Helena ciągnąc ją do swego pokoju. – Wiesz, jest Stefan... Dziś z rana przyjechał z zagranicy, a za tydzień... za tydzień my z Adą i jej ciotką jedziemy!... Ja jadę za granicę, ja... i już Boże Narodzenie spędzimy w Rzymie!... Czy ty słyszysz, Madziu?...

Zaczęła całować Magdalенę i tańczyć po pokoju. Nigdy nie była tak ożywiona.

– Oryginalny człowiek ten Stefan – mówiła z pałającymi oczyma – brzydki, podobny do Ady, ale siedzi w nim diabeł. W głowie mi się kręci, kiedy pomyślę, że ten człowiek ma milion rubli. Ale, ale pogodziłam się dziś z Dębickim... Zrobiłam to dla Ady i dla Stefana... Co za energia w tym człowieku! Ledwie przywitał Adę, zaraz jej powiedział: „Od dziś za tydzień wyjeżdżacie panie”. To samo powiedział mojej mamie, którą zawojował w kwadrans... Powiadam ci, coś nadzwyczajnego...

Istotnie, na drugi dzień przyszli na pensję tragarze i zaczęli wynosić książki Ady i jej narzędzia fizyczne, przy pakowaniu których był Dębicki. Tego samego dnia zgłosił się do pani Latter jakiś jegomość przysłany przez pana Solskiego do załatwienia formalności paszportowych dla Helenki. Damy klasowe i pensjonarki mówiły tylko o Solskim i niejedna wyglądała ze szczytu schodów na dół

sądząc, że zobaczy tego pana, który jest bardzo brzydki, ale ma dużo pieniędzy i nie lubi, ażeby mu się sprzeciwiano. Madzia nawet usłyszała, jak dwie trzecioklasistki mówiły między sobą:

– Widzisz, widzisz... To pewnie on!...

– Eh, nie... To ten safandula Dębicki...

– Ludwisiu – odezwała się przechodząca około nich Magdalena – jak możesz wyrażać się tak o panu Dębickim?

– Przecież tak nazywa go pani Latter – śmiało odparła dziewczynka.

Madzia udała, że nie słyszy, i prędko zbiegła ze schodów.

Biegła do Ady i kiedy do niej weszła, zastała w pokoju niskiego pana, z szerokimi ramionami i dużą głową, który rozmawiał z Helą. Na widok Magdaleny Ada podniosła się z fotelu i rzekła:

– Stefku...

Pan z dużą głową zerwał się, bystro popatrzył Madzi w oczy i ściskając ją za rękę powiedział:

– Pani, jestem przyjacielem tych, którzy kochają moją siostrę.

Potem usiadł na krześle i zwrócił się do Heleny. Był podobny z fizjonomii do siostry, tylko miał nieduże wąsiki i różową bliznę na prawym policzku.

– Nie przekonał mnie pan – mówiła Helenka z uśmiechem, ale bojaźliwie patrząc na Solskiego, co trochę zdziwiło Madzię.

– Życie panią przekona – odpowiedział. – Piękność słusznie nazywają paszportem, który jej właścicielowi czy właścicielce wyrabia stosunki między ludźmi.

– Tak, od razu. Ale potem?...

– Nastęstwa zależą od dalszych czynów. W każdym razie świat hojniej wypłaca pięknym zasługi, wiele im wybacza i bardzo często kocha ich nawet wówczas, gdy tego nie są warchi.

– Może być – odpowiedziała Helenka – ale ja dobrze nie rozumiem. O moim bracie na przykład mówią wszyscy, że jest przystojny; ja jednak nic mu nie wybaczam. A... zakochać się... w tak ładnym mężczyźnie jak on nie potrafiłabym. Mężczyzna powinien być energiczny, odważny... oto jego piękność.

Na te słowa Madzia zarumieniła się, Ada spuściła oczy, a Solski umilkł; lecz po wyrazie jego twarzy nie można było poznać, czy zgadza się z teoriami Helenki, które Madzi wydały się dosyć nowe, a nawet niespodziewane.

Jeszcze kilka minut rozmawiano o podróży, po czym Solski podniósł się do wyjścia.

– Więc nieodwołalnie wysyła nas pan we środę? – zapytała Helenka obrzucając go spojrzeniem.

– Czy możesz nawet pytać? – wtrąciła Ada. – Przecie widzisz, co zrobił z moją pracownią...

– We środę wieczornym pociągami, jeżeli panie raczą – odpowiedział Solski i zaczął żegnać panny.

Wkrótce po jego odejściu i Helenka opuściła salonik Ady, która zostawszy sam na sam z Madzią rzekła:

– Cóż ty na to, Madziu?

Przy tym patrzyła na nią w sposób tak smutny i dziwny, że Madzia zastanowiła się.

– O czym mówisz, kochanko, czy o wyjeździe?

– Ach, o wyjeździe i nie o wyjeździe... O różnych rzeczach – odpowiedziała Ada. Nagle ucisnęła ją i przytuliwszy głowę do jej ramienia szepnęła: – Ty nawet nie wiesz, Madziu, jaka ty jesteś dobra, szlachetna, prosta... I powiem ci, że chyba mniej znasz świat aniżeli ja, choć dopiero zaczynam go poznawać troszeczkę, troszeczkę...

– To tak jak ja – zawołała Madzia. – I to nawet niedawno, od kilku tygodni jakoś inaczej patrzę...

– To tak jak ja... Czy myślisz i o Joasi?...

– I o Joasi, i o różnych innych rzeczach. A ty?...

– O, i ja, ale o tym nie ma co mówić – rzekła Ada.

Na kilka dni przed wyjazdem za granicę mieszkanie Helenki zamieniło się na szwalnię. Pani Latter sprowadziła trzy specjalistki: krojczynię, maszynistkę i wykończarkę i kazała im zrobić przegląd całej garderoby córki. Z kuchni do gabinetu wniesiono prosty stół, na którym pochylona krojczyni z metrem na szyi i nożyczkami w rękach cały dzień podcina i poprawia staniki i spódnice. Od siódmej rano do jedenastej wieczór kiwa się nad warczącą maszyną blada maszynistka, której siedząca pod oknem wykończarka od czasu do czasu przypomina:

– Czekam, panno Ludwiko...

Albo też:

– Ścieg niedobry, panno Ludwiko, trzeba poprawić łódkę.

Na łóżku i na biurku Heli leżały stosy bielizny, na aksamitnych mebelkach spódnice i kaftaniki, dywan był zarzucony skrawkami rozmaitych materiałów. Nożyczki zgrzytały na stole, maszyna warczała i wtórowało jej pokaszływanie maszynistki. Madzię raził tu panujący hałas i nieporządek, ale Helenka gotowa była siedzieć od rana do nocy, przymierzać po kilka razy każdą suknię i wtrącać się do robotnic.

Ile razy weszła Madzia do gabinetu Helenki, była pewna, że zastanie ją przed lustrem w coraz innym staniku lub spódnicy, mówiącą:

– Czy dobrze leży? Zdaje mi się, że w pasie jest za dużo luzu i marszczy się na plecach... spódnicy niech pani nie skraca ani o cal, bo to daleko poważniej; w krótkiej sukni żadna kobieta nie potrafi być dumna.

W podobnych chwilach krojczyni i wykończarka krążyły około Helenki jak gołębie nad gniazdem: mierzyły, znaczyły, wbijały szpilki w suknie, wspinały się na palcach albo padały na kolana. Torturowana zaś Helenka miała rozmarzone oczy i wyraz twarzy osoby świętej albo zakochanej.

„Jacy niemądzy są mężczyźni – pomyślała Madzia patrząc na piękną pannę. – Im się zdaje, że panny wyglądają interesująco tylko przy nich...”

Wyraz anielskiego rozmarzenia i zachwytu na twarzy Helenki spostrzegła Madzia nie tylko w czasie przymierzania sukien.

W poniedziałek przed południem Hela wywołała Madzię z klasy.

– Moja droga – rzekła – zastąpi cię tu panna Joanna, a ty jedź ze mną. Stefan przysłał dla Ady karetę, ale że ona zostaje, więc tylko my dwie pojedziemy za sprawunkami.

Madzi wstyd było wsiąść do karety i lękała się dotknąć jej aksamitnego obicia swoją wełnianą salopką. Ale Helenka czuła się tu jak u siebie. Spuściła szybę i patrzyła na przechodniów z wyrazem dumy.

– Bawi mnie to – rzekła – kiedy sobie przypominam, że i ja chodziłam jak te panie albo jeździłam obszarpanymi dorożkami.

– A mnie się zdaje, że częściej będziemy jeździły dorożkami aniżeli kareta – wtrąciła Madzia.

– Zobaczmy! – szepnęła Helenka patrząc w jakiś punkt nieokreślony.

„Zabawna dziewczyna” – pomyślała Madzia przypominając sobie, że pani Latter musiała pożyczyć pieniędzy od Ady na prowadzenie pensji.

W mieście Helenka miała kupić dwa łokcie jedwabnej materii, parę bucików i złoty krzyżyk dla panny Marty. Lecz na tych sprawunkach upłynęło im ze trzy godziny.

U jubilera Helenka nabyła krzyżyk za dwa ruble, ale przy okazji kazała pokazać sobie naszyjnik z pereł i dwa garnitury: jeden z szafirów, drugi z brylantów, zapytując o cenę i o to, czy jubiler nie opuściłby czego? U szewca przymierzyła kilkanaście sztuk bucików i pantofelków, zanim wybrała jedną parę. W magazynie zanim kupiła swoją materię, kazała podać tyle sztuk w rozmaitych kolorach, że dokoła niej utworzyła się tęcza z jedwabów białych, różowych, niebieskich, żółtych... Było to tak piękne, że nawet Madzia przez chwilę zapomniała, czym jest i gdzie jest, i zdawało jej się, że to wszystko należy do niej. Lecz wnet oprzytomniała spojrzawszy na Helenkę, której drżały usta ze wzruszenia.

– Chodźmy już, Helu – szepnęła Madzia widząc, że starszy subiekt przypatruje się Helence ze złośliwym uśmiechem.

Zapłaciły i wyszły. Kiedy znalazły się w karecie, Helenka wybuchnęła gniewem i zalem:

– I pomyśleć – mówiła – że ja na to wszystko nie mam pieniędzy!... Piękna sprawiedliwość na świecie. Ada rodzi się dzieckiem milionerów, a ja – córką przełożonej pensji. Ona za roczny dochód mogłaby kupić cały magazyn, a mnie ledwo stać na dwie sukienki.

– Wstydź się, Helu...

– O tak, ludzie, którzy nie mają pieniędzy, zawsze powinni się wstydzić... Ach, gdyby nareszcie przyszedł ten przewrót społeczny, o którym ciągle słyszę od Kazia...

– Czy myślisz, że wówczas chodziłabyś w jedwabiach?

– Naturalnie. Bogactwa należałyby do mądrych i pięknych, nie do brzydałów i niedołęgów, którzy nawet ocenić ich nie umieją.

– Pan Kazimierz z pewnością tak nie myśli – wtrąciła Madzia.

– Rozumie się, że nie myśli, tylko używa za siebie i za mnie... Ale może przyjdzie i moja kolej.

Od tej rozmowy Madzia jeszcze więcej zniechęciła się do Helenki.

„Boże! – myślała – jeżeli miałabym być taką córką i kobietą jak ona, to niech umrę, bodajby dziś!... Hela, gdyby mogła, zrujnowałaby matkę”.

Wkrótce po ich powrocie do domu na pensji skończyły się lekcje. Madzia stanęła w oknie i patrzyła na podwórko, gdzie w tej chwili śnieg zaczął padać. Widziała rozbiegające się dziewczynki jak hałaśliwy rój pszczoł, który odlatuje w pole; potem widziała nauczycieli idących po dwóch i pojedynczo, a nareszcie spostrzegła Dębickiego, koło którego kręcił się jakiś fircyk ubrany pomimo śniegu tylko w obcisłą kurteczkę i mały kapelusik. Dębicki szedł przez podwórze z wolna, niekiedy przystając, a fircyk zabiegał mu z prawej strony, z lewej strony, chwycił go za guziki futra i o czymś bardzo żywo rozprawiał.

Śnieg na chwilę ustał, jednocześnie fircyk zwrócił się twarzą do okna i Madzia poznała w nim – pana Solskiego. Mimo woli nasunęło się jej porównanie między ubogą Heleną, która tęskniła za jedwabiem i brylantami, a milionerem, który w wąskiej kurteczce wychodził na takie zimno.

Rozmawiający znikli w bramie, a Madzia pomyślała:

„O czym oni mówią, czy nie o Helence?... Jeżeli Dębicki powie panu Stefanowi o jej zachowaniu się na lekcjach, to będąc na jej miejscu wyrzekłabym się podróży za granicę...”.

8. Plany ratunku

Rzeczywiście Dębicki i pan Stefan mieli w tym czasie ważną rozmowę o pani Latter.

Przede wszystkim poszli na obiad do wykwintnej restauracji na Krakowskim, gdzie zajęli najciaśniejszy gabinet, odznaczający się tym, że miał gotyckie krzesła obite zielonym utrechttem i dwa duże lustra, na powierzchni których właściciele pierścionków z brylantami wypisywali sentencje odznaczające się jędrnością i niewybrednym smakiem.

Elegancki kelner we fraku i białym krawacie, z włosami rozdzielonymi nad czołem, podał im karty i zaczął nasuwać projekta obiadu.

– Naprzód wódeczka i przekąska – mówił kelner.

– Za wódkę dziękuję – odparł Dębicki.

– A ja proszę – rzekł Solski.

– Mamy świeżutkie ostrygi.

– Bardzo dobrze – dopowiedział Solski.

– Więc po wódeczce mogę służyć ostrygami. Cały tuzin?...

– Po wódcę proszę o dwa solone rydze.

– Dwa rydzyki i tuzin ostryg?

– Dwa rydze bez ostryg – odparł Solski. – A może profesor chce ostryg?

– Paskudztwo – mruknął Dębicki.

– A na obiad? – pytał kelner.

– Dla mnie – barszcz. Potem może być kawałek sandacza... No, kawałek sarny i kompot...

– mówił Solski.

– To samo, tylko zamiast sarny kotlet wołowy – dodał Dębicki.

– A wino?

– Pół butelki czerwonego – rzekł Solski – a profesor?

– Wody sodowej.

Kiedy kelner wyszedł z gabinetu, zastąpił mu drogę gospodarz pytając:

– Jaki numer?

Kelner machnął ręką.

– Będzie ze dwa ruble.

– A tak! – westchnął gospodarz. – Taki zawsze skąpi, choć pieniędzmi mógłby w piecu palić.

Ale szanuj go, bo dobry dla służby, to pan Solski.

– Który to, panie, starszy czy młodszy? – spytał ciekawie lokaj.

– Młodszy, młodszy, ten, co go w zimie nie stać na futro.

Kelner usługiwał znakomicie. Dawał potrawy na czas, wchodząc krząkał, wychodził na palcach i tytułował Solskiego jaśnie panem. Goście jedli rozmawiając.

– Więc profesor nie pije nic, nawet kawy – mówił Solski. – Czy to nie fałszywy alarm z tą chorobą serca?

– Nie. Z każdym rokiem posuwa się naprzód – odpowiedział Dębicki.

– Tym większy powód, ażeby profesor zajął się naszą biblioteką; bieganina po piętrach nie może być dobrą – rzekł Solski.

– Od wakacyj, od wakacyj... Nie mogę rzucać pensji, na którą mnie łaskawie przyjęto, i do tego w niezwykłym czasie.

– Jak profesor chce. A co się tyczy pensji, mam prośbę do profesora.

– Słucham.

– O pani Latter mówią źle – ciągnął Solski. – Moje kuzynki zarzucają jej, że wprowadza na pensję kursa emancypacji, że jakaś panna Howard chce na gwałt robić dziewczęta istotami samodzielnymi...

– Narwana baba – uśmiechnął się Dębicki.

– O nią mniejsza, choć jej propaganda może kosztować panią Latter kilka uczennic. Gorszy jest skandal jej syna z jakąś guwernantką, o czym słyhać w Warszawie.

Dębicki kiwał głową.

– I to mnie nic nie obchodzi – prawił Solski – bo jużci, młode kobiety są od tego, ażeby je bałamucili piękni chłopcy. Ale niedobrze jest, że ludzie znający tutejsze stosunki określają położenie pani Latter w ten sposób: długi – zmniejszone dochody – wielkie wydatki na syna, co wszystko razem zapowiada bankructwo.

– Ja słyszałem, że ona ma majątek – wtrącił Dębicki.

– I ja tak myślałem. Tymczasem nasz plenipotent zna niejakiego Zgierskiego, któremu pani Latter płaci sześćset rubli procentu.

– I ja znam Zgierskiego. Wygląda na pokątnego finansistę.

– Otóż to – mówił Solski. – A ilu innych z tego gatunku kręci się około pani Latter?

Dębicki podniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Rozumiem – rzekł Sobki. – I ja nie mieszałbym się do cudzych interesów, gdyby nie siostra, która zapowiedziała mi, że – nie pozwoli na bankructwo pani Latter. Pojmuje pan moje położenie. Nie mogę z tą sprawą iść do pani Latter, bo wyrzuci mnie za drzwi i będzie miała słuszość; boję się użyć naszego plenipotenty albo adwokata, bo sytuacja stałaby się jeszcze drażliwszą. Z drugiej strony, jakkolwiek chwałę siostrze przywiązanie do kobiety, która ją wychowała, to znowu nie pozwolę, ażeby majątek Ady umożliwiał panu Norskiemu bałamucenie guwernantek. Niech bałamuci, ale nie za pieniądze mojej siostry, która o ile ją znam, nie tylko nie zgodziłaby się na popieranie tego rodzaju przedsięwzięcia, ale nawet bardzo ubolewa nad ich rzekomymi ofiarami.

– Nie widzę tu roli dla siebie – rzekł Dębicki.

– A może pan mieć wielką – odparł Solski. – Bywając na pensji zrozumie pan, czy stan jest rzeczywiście groźny i co dałoby się uratować: pensję pani Latter czy tylko – panią Latter? Następnie spostrzeże pan chwilę, kiedy dla pani Latter pomoc okaże się niezbędną.

– Cóż dalej?

– Wówczas powie pan słówko naszemu plenipotentowi, a on resztę załatwi. Może być, że po konferencji z nim pani Latter sprzeda pensję albo zgodzi się na jakiego współnika, który by kontrolował dochody i wydatki... Nie wiem, co postanowi... W każdym razie nie będzie musiała zamykać pensji w ciągu roku i uspokoi się co do własnej osoby.

– Mnie się zdaje, że wszystko polega na nieporozumieniu, bo pani Latter ma pieniądze – zauważył Dębicki.

– Mój profesorze – odpowiedział Solski – przed panem nie myślę bawić się w sekreta. Pani Latter ma pieniądze, gdyż Ada pożyczyła jej sześć tysięcy rubli, za co plenipotent zrobił mi awanturę. Ale interesa pani Latter muszą być zawiązane, ponieważ dała na komorne tysiąc rubli zamiast dwóch tysięcy pięciuset. Nareszcie mam wskazówki, że jej kłopoty nie są i nie będą chwilowymi, bo pan Norski nie tylko dużo wydaje, ale jeszcze gra w karty...

Obiad skończył się, a Dębicki wciąż kiwał głową i rozmyślał.

– Profesor spełni moją prośbę? – zapytał Solski. – Nie chodzi tu przecież o interwencję ze strony pańskiej, lecz tylko o uchwycenie momentu, kiedy pani Latter znalazłaby się wobec bankructwa.

– Owszem, mogę to zrobić, o ile potrafię; ale boję się, ażeby nie zepsuł sprawy, ponieważ... nie jestem tam lubiany – odparł Dębicki krzywiąc się.

– Wszystko wiem, znam zatarg z panną Heleną, a nawet trochę rozumiem i samą pannę Helenę, czego ona zdaje się nie przypuszczać... Mimo to proszę pana, ażebyś podjął się zawiadomić naszego plenipotenty, że – wtedy a wtedy może odwiedzić panią Latter. Proszę zaś pana nie ja, ale moja siostra – zakończył uroczyście Solski, jak gdyby sądził, że prośba siostry powinna rozstrzygać wszelkie kwestie.

– Zdolna kobieta z panny Ady – rzekł Dębicki. – Co ona myśli robić?

– Ba! gdybym wiedział – odparł z uśmiechem Solski. – Może zechce zostać profesorką w jakim amerykańskim uniwersytecie... Bo pan wie, że teraz kobiety chcą być deputowanymi, sędziami, generałami⁶... No, ale niech robi, co jej się podoba; moja rzecz służyć jej opieką zawsze, a radą, kiedy mnie o nią zapyta.

– Panna Magdalena Brzeska także bardzo zdolna, bardzo zdolna!... – wtrącił Dębicki.

Solski wziął go za rękę i patrząc w oczy rzekł:

– O zdolnościach nie wiem, ale zdaje mi się, że dla mojej siostry byłaby ona właściwszą przyjaciółką aniżeli panna Norska... Boję się, ażeby Ada nie doznała przykrych rozczarowań, ale co pan chcesz?... Co my możemy zrobić z kobiecymi sympatiami?...

Opuścili restaurację i pan Stefan odprowadził Dębickiego w stronę jego domu. Na pożegnanie rzekł:

– Więc, kochany profesorze, sprowadź się pan do biblioteki jak najprędzej. Pokoje opalają się, służący czeka...

– Od wakacyj, od wakacyj... – odparł Dębicki.

– Taki jest pański termin, a mój – choćby w tej chwili.

– Więc we środę jedziesz pan z siostrą?

– Nie. Panie pojedą z naszą ciotką, a ja połączę się z nimi dopiero około Nowego Roku w Rzymie.

Uścisnęli się. Dębicki poszedł dalej, a Solski patrzył za nim i myślał:

„O, jak to widać, że ten człowiek nosi w sobie coś kosztownego i kruchego. Jak on ostrożnie stąpa czując, że byle się poślizgnął, upadnie aż na dno grobu... Ciężki los, kiedy życie schodzi tylko na chronieniu życia!...”.

Nagle medytacje jego zmieniły kierunek.

„No, a ja – mówił do siebie – a ja?... Mnie na czym schodzi życie?... Ten, ciężko chory, pracuje na własne utrzymanie, opiekuje się małą siostrzenicą, uczy dziewczęta zoologii i jeografii, ba, pracuje nad jakimś nowym systemem filozoficznym. To wszystko robi inwalid, któremu lada chwilę może pęknąć serce, i bynajmniej nie z miłości. Ja zaś jestem zdrow jak koń, mam podobno rozum i energię, duży majątek, rwę się do działalności i – nie robię nic!... Mogę wszystko kupić: rozrywki, kochanki, wiedzę... Tylko nie kupię – celu dla działalności... Nie mieć do czego przyczepić się, oto choroba nie gorsza od wady serca. Albo też być wiecznym kandydatem na przewodnika tam, gdzie nikt nie potrzebuje przewodników, bo nigdzie się nie wybiera... Oto nowożytny tantalizm!... Będę ostatniego gatunku szubrawcem, jeżeli nie zmarnuję się razem z moimi aspiracjami do wielkich dążeń...”.

Wsadził ręce w kieszenie wążutkich spodni i szedł z wolna ulicą, rozmarzony, smagany śniegiem w twarz, potrącany przez przechodniów, którzy spoglądali na niego jak na biedaka albo wariata.

⁶ *jenerał* (daw.) – generał. [przypis edytorski]

9. Przed wyjazdem

We środę rano, w dzień wyjazdu Ady i Helenki za granicę, w czasie przerwy między lekcjami, po Madzię przybiegło dwoje posłańców: Stanisław od Heli i pokojówka od Ady.

Wyszedszy z klasy Madzia spotkała na korytarzu idące naprzeciw siebie rywalki: pensjonarkę Zosię i nauczycielkę pannę Joannę. Spotkanie ich trwało ledwie sekundę, lecz krótkość czasu nie przeszkodziła pannie Joannie szepnąć wyrazu: „podła!”, czego zresztą nie słyszała Zosia, a Zosi – pokazać język pannie Joannie, czego znowu nie spostrzegła panna Joanna.

Oburzyło to Madzię, więc zbliżywszy się do piątklasistki, rzekła półgłosem:

– Wstydź się, Zosiu, pokazywać język, jakbyś dopiero była w pierwszej klasie.

– Bo ja nią pogardzam! – odpowiedziała głośno Zosia.

– Bardzo źle, bo ty zrobiłaś jej krzywdę zamknąwszy wtedy drzwi. Pamiętasz?

– Ja bym ją zabiła, kokietkę. O niego już nie dbam, jeżeli dał się uwieść tej zalotnicy, ale jej nie daruję, nie daruję, nie daruję!...

Widząc, że ani jej nie przekona, ani ułagodzi, Madzia kiwnęła głową Zosi i zbiegła na dół. Czuła, że ona sama nie lubi Joasi, ale także było jej przykro, że Zosia kocha się w panu Kazimierzu.

„Niežnośny dzieciuch – mówiła do siebie. – Nie wolałoby to pilnować książki, a nie myśleć o niedorzecznościach...”

I ciężko westchnęła.

Helenkę zastała w gabinecie rozgorączkowaną i płaczącą: na podłodze leżała podarta chusteczka.

„Czy tak martwi się, że wyjeżdża?” – przyszło na myśl Magdalenie.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła Helenka tonem, w którym czuć było gniew. – Przed Adą nie zwierzę się, wstyd mi za mamę; ale tobie powiem, bo gdybym milczała, piersi by mi pękły...

Zaczęła łkać.

– Ależ, Helu, ja kogo zawołam... – rzekła przestraszona Madzia.

– Nikogo!... – odparła Helenka chwytając ją za rękę. – To już przeszło...

Jeszcze parę razy zaniósł się od płaczu, lecz wnet oczy jej obeschły i mówiła spokojniej:

– Wiesz, ile mama przeznacza mi na drogę?... Trzysta rubli... Słyszysz, trzysta rubli!... Puszczam mnie za granicę jak podrzutka, bo za te pieniądze nie kupię nawet dwu sukien, no – nic!...

– Helu – przerwała Madzia ze zgrozą – więc o to masz pretensję do matki?... A jeżeli ona nie ma pieniędzy?...

– Dla Kazia przeznaczyła tysiąc rubli – odparła Helenka z gniewem.

– I ty, wyjeżdżając Bóg wie na jak długo, myślisz o podobnych rzeczach?... Rachujesz, ile matka przeznacza pieniędzy bratu?...

– Mam do tego prawo. Jestem takim dzieckiem mojej matki jak i on, mam tego samego ojca, te same rysy, to samo poczucie godności jak on, a mimo to jestem wobec niego poniżana i krzywdzona. Dla mamy nie skończyły się widać te czasy, kiedy dziewcząt nie uważano za ludzi: sprzedawało się je bogatym mężom albo osadzało w klasztorach, byle synom nie uszczuplić majątku. Ale to się już zmieniło!... My jesteśmy inne i choć nie mamy sił do zwalczania niesprawiedliwości, czujemy ją doskonale... O, panna Howard to jedyna mądra kobieta w tym domu. Ja dopiero dziś rozumiem wartość każdego jej zdania.

Madzia zbladła i łagodnie, ale niezwykłym u niej tonem, odpowiedziała:

– Jesteś rozdrażniona, Helu, i mówisz rzeczy, których za chwilę będziesz się wstydzić. Ja tego nikomu, ale to nikomu nie powtórzę, nawet sama zapomnę... Idę teraz do Ady, więc jeżeli zechcesz zobaczyć się ze mną, tam przyszlij.

Odwróciła się i wyszła.

– Boże miłosierny! – szepnęła – już rozumiem, co mówiła panna Marta o dzieciach... Biedna moja mamo, czy i ja jestem taka dla ciebie?... Wołałabym umrzeć, uciec w świat, pójść do służby...

Wpadła do pustego pokoju panny Żanety, napiła się wody, chwilę posiedziała i spojrzawszy w lustro udała się do Ady. Zastała ją spacerującą w pracowni i wzruszoną, ale uśmiechniętą.

– Jesteś! – zawołała panna Solska.

Posadziwszy Madzię na swoim fotelu zaczęła ją całować i przepraszać za to, że posyłała po nią; wreszcie rzekła rumieniąc się:

– Ach, Madziu, zanim wyjadę – wiesz, dzisiaj wyjeżdżamy – muszę przed tobą odwołać jedną rzecz...

Rumieniec jej i zakłopotanie zwiększyły się.

– Pamiętasz naszą rozmowę tego dnia, kiedy ci przedstawiła Stefka?... Mówiłam wtedy rozmaite niedorzeczności: że ja nie znam życia, że myślę o Joasi i o innych rzeczach... Pamiętasz?... Mówiąc to byłam bardzo niegodziwa...

– Niegodziwa? – powtórzyła Madzia.

– O, tak... Bo widzisz – mówiła ciszej – ja niesłusznie myślałam źle o Heli. Zdawało mi się (jeszcze nie pogardzasz mną?...), zdawało mi się, że Hela kokietuje Stefka i że on się w niej zakocha... No, a rozumiesz, że gdyby oni pokochali się, to mnie przestaliby kochać oboje, a ja... umarłabym, gdyby mi przyszło stracić Stefka... Przecież ja mam tylko jego, nikogo więcej, Madziu... Ani rodziców, ani bliskich...

W oczach jej kręciły się łzy.

– Więc rozumiesz, dlaczego posadziłam Helę, ale dziś odwołuję wszystko... Hela jest dobra dziewczyna, choć trochę zimna, a Stefek... Ach, ty go nie znasz!... Jaki on mądry... Wyobraź sobie, że on nie tylko nie kocha Helenki, ale nawet jest do niej uprzedzony: posadza ją o egoizm i kokieterie...

Madzia pomyślała, że pan Stefan musi być istotnie mądrym człowiekiem.

– Widzisz, jaka byłam niesprawiedliwa dla Heli – ciągnęła Ada – ale nie miej o mnie złego wyobrażenia... Ja mam taką wadę, że jeżeli mnie co zabol, to w pierwszych chwilach nie umiem panować nad sobą...

– Ależ, Ado, ty nic nie powiedziałaś na Helenkę – przerwała Madzia.

– Tak, ale myślałam... Zresztą nie mówmy o tym, bo mi wstyd... Może mi kiedy wybaczysz i uwierzysz, że ja tylko mimowolnie jestem zła i przewrotna...

– Ado, Ado, co ty mówisz?... Ty jesteś najszlachetniejsza...

Długi czas ciągnęły się pocałunki, zwierzenia, odwoływania i przekonywania. Nareszcie Ada uspokoiła się i błagalnie patrząc na Madzię rzekła:

– Zrób mi jeszcze jedną łaskę i nie odmów...

Z tymi słowy wcisnęła w rękę Madzi małe pudełeczko owinięte w bibułę.

– Co to jest? – zapytała zmieszana Madzia.

– Nic... pamiątka... Przecież mi nie odmówisz?... Pamiętasz, jakieś w trzeciej klasie zamieniały przed wakacjami kajeta?... A pamiętasz, jak dałaś mi śliczny obrazek, ten pąsowy, przezroczysty, który sam zwijał się na rękę?... Ileś ty mi zrobiła przyjemności!... Widzisz, to jest zegarek, ale taki malutki, że mówić o nim nie warto. Zresztą ja mam w tym wyrachowanie. Na kopercie jest napisane moje imię i lata, które spędziłyśmy na pensji; więc ile razy spojrzysz, musisz pomyśleć o mnie... Ja, widzisz, zrobiłam to przez egoizm.

Rozpłakały się obie, a w tej chwili Madzię zawołano na górę. Idąc wyrzucała sobie interesowność i brak ambicji, a nawet mówiła, że będzie podłą, jeżeli przed wyjazdem Ady otworzy pudełko. Lecz już na drugiej kondygnacji schodów przyszło jej na myśl, że byłoby niewdzięcznością nie obejrzeć daru przyjaciółki. Więc otworzyła safianowe pudełeczko, w którym cicho kołatał złoty zegarek wysadzany brylancikami. Madzię ogarnął strach i wstyd, że mogła przyjąć tak kosztowny prezent; lecz gdy przypomniała sobie błagalny wzrok Ady i jej pieszczoty, uspokoiła się.

10. Pożegnanie

Ósma wieczór, na dworze noc, pogodna noc grudniowa. Pani Latter, skrzyżowawszy ręce na piersiach, chodzi po gabinecie spoglądając to na córkę, to na okno, za którym widać oświetlone brzegi Wisły. Panna Helena siedzi na skórzanej kanapce, patrzy na popiersie Sokratesa, jakby mówiła do siebie: „A to brzydal!...” i czasami niecierpliwie uderza w dywan obcasem. Za oknem, na tle pogodnego nieba, widać ciemne domy Pragi, szarozółte kamienice warszawskiego Powiśla i czarną linię żelaznego mostu, wszystko zasypane światłem. Światelka w domach, światelka na drugim brzegu, światelka na moście, jakby kto rzucił na Powiśle rój świętojańskich robaczków, które w jednych miejscach skupiły się w bezładne gromady, w innych uszykowały w pocięte szeregi i na coś czekają.

„Na co one czekają?... – myśli pani Latter. – Rozumie się, że na wyjazd Helenki, aby ją pożegnać. Potem Helenka odjedzie, ale one zostaną i będą mi ją przypominały. Ile razy spojrzę na te światelka, które nigdy nie zmieniają miejsca, pomyślę, że i ona tu jest i że zobaczę ją, byłem odwróciła głowę... Boże, daj jej szczęście, za wszystko, co ja wycierpiałam... Boże, chroń ją, opiekuj się nią...”.

Nagle pani Latter drgnęła. Na korytarzu rozległo się stąpanie kilku ludzi z ciężarem i głos Stanisława:

– Trochę wyżej... o tak... A teraz ty skreć, tylko ostrożnie z poręczą...

– Już niosą kufry – rzekła pani Latter.

– Widzi mama, dopiero niosą kufry – odezwała się w tej samej chwili panna Helena. – Spóźnimy się...

Pani Latter westchnęła.

– Mateczka jest jakby niezadowolona – mówiła panna Helena podnosząc się z kanapy i obejmując matkę. – Na próżno matuchna ukrywa się, bo ja widzę. Czy zrobiłam co złego?... Niech matuchna powie, bo inaczej zepsuje mi całą podróż... Moja złota... najdroższa...

– Ależ nic nie zrobiłaś – odparła pani Latter całując ją.

– Ja wprawdzie nie poczuwam się do niczego, ale może mateczka coś dostrzegła, co wydaje się jej niewłaściwym?... Niech mi matuchna powie wręcz...

– Czy nie rozumiesz, że sam twój wyjazd może mi... może mnie rozstrajać...

– Wyjazd?... – zapytała Helenka. – Alboż to na długo czy tak daleko?...

– Na długo! – powtórzyła pani Latter ze smutnym uśmiechem. – Pół roku, czy nie długo? A ile rzeczy może się stać przez ten czas...

– Boże! – roześmiała się panna Helena – mateczka zaczyna miewać przecucia?...

– Nie, kochanko, życie moje jest zanadto ujęte w karby, ażebym znalazła w nim miejsce na przecucia. Ale jest miejsce na tęsknotę...

– Za mną?... – zawołała Helenka. – Mama tak ciągle zajęta, że widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasami i tego nie...

Pani Latter cofnęła się od niej, zamyśliła się i odpowiedziała, smutnie chwiejąc głową:

– Masz słuszność, widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasem i tego nie!... Pracuję, wiesz przecie. Ale nawet nie widząc was jestem pewna, że jesteście blisko mnie i że was zobaczę, gdy znajdzie się wolna godzina... Ach, ile ja wycierpiałam, kiedy pierwszy raz przyszło mi żegnać Kazia, choć wiedziałam, że co kilka miesięcy mieć będę go w domu... Z tobą było mi jeszcze gorzej: ile razy wyszłaś na ulicę, myślałam z trwogą, czy ci się co nie stało, a każda minuta spóźnienia...

– Boże, jak matuchna musi być rozstrojona! – zawołała ze śmiechem Helenka całując matkę. – Czy mogłabym przypuszczać coś podobnego...

– Bo nigdy nie mówiłam o tym, bo zamiast pieścić moje dzieci jak inne szczęśliwsze matki, mogłam tylko pracować dla nich. Ale sama zobaczysz mając własne, jaka to wielka ofiara trzymać się z dala od dziecka, choćby dla jego dobra...

Na korytarzu rozległy się kroki, a Helenka nagle zawołała:

– Ada już wychodzi!...

Pani Latter odsunęła się od córki.

– Jeszcze nie – rzekła sucho.

Potem usiadła na fotelu i spuściwszy oczy mówiła zwykłym tonem:

– Dam ci jeszcze dwadzieścia pięć rubli wyłącznie na marki, ale... pisuj do mnie co dzień.

– Co dzień, matuchno?... Przecież mogą być dni, kiedy wcale nie wyjdę z domu... O czymże wtedy pisać?

– Mnie nie chodzi o opisy miejscowości, które mniej więcej znam, ale o ciebie... Zresztą pisuj, kiedy chcesz i jak chcesz.

– W każdym razie, dwadzieścia pięć rubli nie zmarnują się!... – rzekła z przymileniem panna Helena. – Ach, te pieniądze... Dlaczego ja nie jestem wielką panią?...

– Masz kredyt u Ady, prosiłam ją... Ale, Helenko, bądź oszczędna... bądź oszczędna... Wiem, że potrafisz być rozsądną, więc w imię rozsądku jeszcze raz proszę cię: bądź oszczędna!...

– Matuchna przypuszcza, że ja będę garściami rozrzucać pieniądze?... – zapytała panna Helena robiąc grymasik.

– O tym nie myślę, bo na to nie masz. Ale obawiam się, ażeby ci nie zabrakło... Nasze położenie, widzisz... nasze położenie majątkowe nie pozwala na zbytki...

Panna Helena zbladła i pochyliła się na oparcie kanapy chwytając ręką za poręcz.

– Więc może ja... więc może lepiej nie jechać?... – spytała zdławionym głosem.

– Jechać możesz... Owszem, jedź i rozerwij się; ale pamiętaj, że podróż powinna być oszczędna. Mówię o naszym położeniu dlatego, ażeby cię uchronić od omyłek...

Panna Helena rzuciła się matce na szyję mówiąc ze śmiechem:

– A, rozumiem! Mateczka straszy mnie dlatego, ażebym była rozsądna i myślała o jutrze. Kto jednak zaręczy, że ja już dziś o tym nie myślę i że moja podróż nie opłaci mi się lepiej aniżeli wszystkie projekta Kazia?... Ja także mam rozum – dodała figlarnie – i kto wie, czy nie przywiozę mamie stamtąd bogatego zięcia... Przecież chyba warta jestem milionera...

Twarz pani Latter rozjaśniła się, oczy błysnęły; lecz wnet powrócił surowy spokój.

– Moje dziecko – rzekła – nie myślę ukrywać przed tobą, że jesteś piękna i masz prawo do najlepszych partyj, tak samo jak Kazio. Ale muszę cię ostrzec. Ja także byłam podobna do ludzi, miałam szczęście...

Podniosła się z fotelu i zaczęła chodzić po gabinecie.

– O, tak, miałam szczęście! – mówiła ironicznym tonem. – No, i wszystko mnie zawiodło, wyjąwszy pracy i zgryzot... Miłość stygnie, piękność mija, tylko praca i zgryzota zostają. Na nie możesz rachować, więcej na nic... W każdym razie – dodała zatrzymując się przed panną Heleną i patrząc jej w oczy – nic nie rób, nawet nic nie planuj, bez porozumienia się ze mną. Mam przeszłość tak bogatą w doświadczenie, że ono – przynajmniej dzieciom moim powinno by oszczędzić zawodów. A ty masz tyle rozsądku, że powinnaś mi ufać.

Panna Helena objęła matkę za szyję i oparłszy głowę na jej ramieniu rzekła cicho:

– Więc między nami, mateczko, nie ma nieporozumień?... Mama nie gniewa się na mnie?...

– Skąd ci znowu przyszło do głowy... Będzie mi smutno, bardzo smutno... Ale jeżeli ty znajdziesz szczęście...

Do gabinetu zapukano. Wszedł służący i zawiadomił, że przyjechały karety.

– A czy kamerdyner pana Solskiego już jest? – zapytała pani Latter.

– Ten, co z panienkami ma jechać za granicę? Właśnie czeka.

– A Ludwika gotowa?

– Żegna się ze służbą, ale jej rzeczy już odeszły na kolej.

– Więc poproś pannę Adę, ażeby siadła z panną Magdaleną i z kamerdynerem, a my zaraz przyjedziemy z Ludwiką.

Służący wyszedł, pani Latter pociągnęła córkę do swojej sypialni, gdzie nad klęcznikiem wisiał ukrzyżowany Pan Jezus z kości słoniowej.

– Dziecko moje – mówiła pani Latter zmienionym głosem – Ada jest szlachetną dziewczyną, jej miłość wiele znaczy dla ciebie, ale... nie zastąpi oka matki... Więc w chwili, kiedy wyrывasz się spod mojej opieki, polecam cię Bogu... Pocałuj ten krzyż...

Helenka dotknęła krzyż ustami.

– Klękaj tu, dziecko...

Uklękła, trochę ociągając się i patrząc na matkę ze zdziwieniem.

– O co ja się mam modlić, mamo?... Czy to tak daleko, czy na tak długo wyjeżdżam?...

– Módl się o wszystko: ażeby Bóg cię nie opuścił, chronił cię od przygód i... ażeby dla mnie zesał ukojenie... Módl się, Helu, za siebie i za mnie... Może Bóg chętniej wysłucha modlitwy dziecka.

Zdziwienie panny Heleny rośło. Klęczała na jednym kolanie i oparta o klęcznik, z niepokojem patrzyła na matkę.

– Czy zawsze jest się usposobionym do modlitwy?... – zapytała nieśmiało. – Po co to, matuchno?... Przecie Bóg i bez pacierza zrozumie nasze intencje, jeżeli... jeżeli je słyszy.

I z wolna podniosła się z klęcznika.

– Boże miłosierny... Boże sprawiedliwy!... – szeptała pani Latter chwytając się za głowę.

– Co mateczce jest?... Matuchno!...

– Nieszczęśliwa jestem – mówiła cicho – najnieszczęśliwsza z matek, bo nawet nie nauczyłam was modlić się... Tamten nie wierzy w nic, drwi... ty wątpisz, czy Bóg usłyszy modlitwę, a ja... nawet nie umiem cię przekonać... Zaczyna się dla mnie dzień sądu z wami i ze wszystkim...

Pochwyciła córkę w objęcia i całowała ją płacząc.

– Ja chyba zostanę... – rzekła Helenka z rozpaczą w głosie.

Pani Latter odsunęła ją i otarła oczy.

– Ani mi się ważyć myśleć o tym!... Jedź, rozerwij się i wracaj doświadczeńsza... O, gdybyście wy znaleźli dla siebie odpowiednie stanowiska, byłabym szczęśliwa, choćby mi przyszło zostać gospodynią na jakiej pensji... Jedźmy... jestem rozdrażniona i mówię, sama nie wiem co.

– Ależ naturalnie, że matuchna jest rozdrażniona... Ja się tak zlekłam!... A mamie chyba przypomniły się te dawne czasy, kiedy ludzie jadąc z Warszawy do Częstochowy albo nawet do Pruszkowa kupowali nabożeństwo za szczęśliwą podróż. Dziś nie ma ani takich niebezpieczeństw, ani naiwnej wiary... Matuchna sama czuje to doskonale...

Matka słuchała jej ze spuszczonej oczyma.

Wyszły do gabinetu i pani Latter dotknęła dzwonka. W chwilę ukazała się pokojówka Ludwika gotowa do drogi i zapłakana.

– Pomóż panience ubrać się – rzekła pani Latter. – Czego płaczesz?

– Bo strasznie jechać tak daleko, proszę pani – odpowiedziała szlochając. – Jeszcze panienki mówiły, że tam gdzieś ziemia się zakrzywia... Gdybym pierwiej wiedziała, nie ważyłabym się na taki kraj świata... Tyle się tylko uspakajam, że już jest paszport i że zobaczę Ojca Świętego...

W kilka minut obie panie i Ludwika siadły do karety, pożegnane przez pensjonarki, które Helence ofiarowały bukiet z porady panny Żanety i kilkadziesiąt łez z własnego popędu, choć bez dostatecznej przyczyny.

W drodze pani Latter była milcząca, Helenka upojona. Przejeżdżając przez ulice oświetlone dwoma szeregami latarni i okien sklepowych, patrząc na ruch powozów, dorożek i omnibusów, na gęste łańcuchy przechodniów, których twarze ani ubiorów nie można było dojrzeć w pomroce,

Helenka wyobrażała sobie, że już jest w Wiedniu albo w Paryżu, że już spełniło się jej marzenie tylu lat!...

W pobliżu dworca kolei i na dworcu tłok powozów był tak wielki, że karetę parę razy stawała. Nareszcie stanęła u podjazdu i panie wysiadły, a raczej utonęły w ciemnej fali tłumy, który kipiał u drzwi przysionka. Pani Latter była zakłopotana jak osoba, która rzadko widuje ciżbę; ale zachwyt Helenki wzrastał. Wszystko jej się podobało: zmarznięci dorożkarze, spoceni tragarze, obładowani futrami podróżni. Przypatrywała im się z ciekawością, odróżniając między nimi tych, co rwali się naprzód, i tych, którzy oglądali się za siebie, i nareszcie takich, którym było wszystko jedno, gdzie są: na dworcu czy w domu.

Jakże ją bawił zgiełk, tłok, potracanie – po tej ciszy i porządku, wśród którego dotychczas upływało jej życie.

„Oto jest świat!... Tego mi potrzeba!” – myślała.

Kamerdynier Solskiego zabiegł im drogę i wprowadził do sali pierwszej klasy. Trafiły na moment, kiedy Ada i pan Solski sadowili na kanapie swoją ciotkę od stóp do głów zawiniętą w aksamity i futra, spod których prawie nie było widać osoby, tylko słychać urywane francuskie zdania wyrażające obawę, czy noc nie będzie zanadto zimna, czy można spać w wagonie i wiele innych w tym rodzaju.

Pani Latter usiadła obok starej damy, a Helenka ledwie miała czas przywitać się z nią, gdyż została otoczona przez gromadkę osób, które chciały ją pożegnać. Pierwszy przysunął się profesor Romanowicz, piękny brunet. Podał Helence bukiet róż i melancholijnie patrząc w oczy rzekł półgłosem:

– I cóż, panno Heleno?...

– I już!... – odpowiedziała, śmiejąc się, zarumieniona Helenka.

– Jeżeli tak... – zaczął, ale musiał ustąpić panu Kazimierzowi Norskiemu, który wręczyszy bukiet Adzie podał siostrze pudełko cukierków mówiąc:

– Nie żegnam się z tobą, tylko do widzenia, najdalej za miesiąc.

– Do widzenia za miesiąc? – powtórzyła zdziwiona Helenka. – Przecie ty jedziesz do Berlina, nie do Rzymu...

– Berlin, Rzym, Paryż, to wszystko leży pod jednym dachem, kiedy się raz wyjedzie za granicę...

I cofnął się przed panną Solską, która po cichu spytała Helenkę, czy nie jest za lekko ubrana, i rumieniąc się szepnęła, że pan Kazimierz jej, Adzie, dał prześliczny bukiet.

Rozległ się pierwszy dzwonek, na peron zaczęli tłoczyć się pasażerowie drugiej klasy, a i w pierwszej otworzono drzwi. Helenka odciągnęła Madzię na bok.

– Wiesz – mówiła prędko – przed chwilą miałam scenę z mamą... istny wyjątek z dramatu! ... Kazała mi klęknąć i modlić się, słyszałaś?

– Przecież modlimy się co dzień nawet przed pójściem do łóżka, a nie dopiero przed taką podróżą – odparła Madzia.

– Ach, ty i pensjonarki, wielka rzecz!... Ale nie o to chodzi... Mama wydała mi się bardzo rozstrojona, więc proszę cię, uważaj na nią i napisz mi, gdyby...

– Helu! – zawołała pani Latter.

Wszyscy zaczęli się żegnać. Pan Solski, ubrany tym razem w palto, podał bukiet Helenie, na którą gniewnie i melancholijnie spoglądał pan Romanowicz gładząc czarne wąsy. Ada rzuciła się na szyję Madzi, pan Kazimierz zajął się odtransportowaniem do wagonu aksamitnej ciotki. Ścisk, ruch, zgiełk powiększył się i Madzia ocierając łzy za Adą znalazła się na szarym końcu obok pana Romanowicza.

– Już rozumiem – rzekł piękny profesor – dlaczego panna Helena bagatelizuje dawnych adoratorów. Ma Solskiego...

– Co też pan mówi! – oburzyła się Madzia.

– Czyliż nie widzi pani jego bukietu i jej spojrzeń?... *Sapristi!* takiego bukietu jeszcze nie było na naszej kolei...

– Zazdrość mówi przez pana.

– Nie zazdrość – odparł z gniewem – ale znajomość kobiet w ogóle, a panny Heleny w szczególności. To mnie tylko pociesza, że jak ja dziś zbladłem przy panu Solskim, tak on zbladnie przy jakim zagranicznym magnacie albo...

Pociąg ruszył. Do Madzi zbliżyła się pani Latter i ciężko oparła się na jej rękę. Solski pożegnał obie panie z wielkim szacunkiem, a w chwilę po nim pan Kazimierz.

– Nie odwieziesz mnie, Kaziu? – zapytała matka.

– Jeżeli mateczka każe... Choć umówiłem się z hrabią...

– Umówiłeś się, to idź – szepnęła, mocniej opierając się na ramieniu Madzi.

Pan Romanowicz, który patrzył na nią z boku, ukłonił się grzecznie, ale z daleka, i odchodząc westchnął. W duszy Madzi powstała wątpliwość, za czym on wzdycha: za Helenką czy za dziesięciozłotowymi lekcjami u pani Latter? Ale natychmiast powiedziała sobie, że posądzając pana Romanowicza jest głupia i przewrotna – i to ją uspokoiło.

Kiedy wsiadły do karety i wracały do domu, pani Latter spuściwszy okno wychyliła się parę razy, jakby jej brakło powietrza, a potem zaczęła mówić prędko i z ożywieniem:

– To nic, niech się dziewczyna rozerwie. Ty przecie wiesz, Madziu, że ona nigdzie nie wyjeżdżała, a dziś i kobieta musi poznać świat. W podróżach żyje się prędzej, obserwuje się ludzi i wartość życia. Jak to smakuje łóżko po nieprzespanej nocy w wagonie; a jak człowiek tęskni do domu po hotelach!... I prędzej chce wracać, aniżeli zdawało mu się przed wyjazdem...

Ostatnie zdania wypowiedziała ze śmiechem. Lecz ile razy w głąb karety padł blask mijanej latarni, Madzia spostrzegła na twarzy pani Latter przykry wyraz, który nie godził się ani z jej śmiechem, ani z wielomównością.

– Bardzo jestem kontenta – mówiła dalej pani Latter – że ty wracasz ze mną. Obecność dobrego człowieka przynosi ulgę, a ty jesteś dobre dziecko... Gdybym mogła mieć jeszcze jedną córkę, chciałabym ciebie...

Madzia milczała tuląc się w głąb karety i czując, że strasznie rumieni się. Ma też pani Latter za co chwalić ją, głupią i złą dziewczynę, która od koleżanek przyjmuje złote zegarki, a nie ma serca do Heleny!...

– Ty, Madziu, kochasz rodziców? – zagadnęła nagle pani Latter.

– Ach, pani!... – szepnęła Madzia nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– A przecie nie jesteś w domu już siedem lat...

– Ale jak bym chciała być!... – przerwała jej Madzia. – Teraz to nawet nie lubię jeździć na święta, bo kiedy przyjdzie wracać do Warszawy, zdaje mi się, że umrę z żalu... Choć mi tu bardzo dobrze.

– Płaczesz wyjeżdżając z domu?... – zapytała pani Latter niespokojnie.

Madzia zrozumiała, o co chodzi.

– To jest; ja płaczę – rzekła – bo jestem beksa... Ale gdybym miała rozum, to po cóż płakać? ... Teraz zapewne nie płakałabym...

– I nie mniej kochasz rodziców, choć tak rzadko widzisz ich?

– Ach, pani, jeszcze więcej ich kocham... Naprawdę zrozumiałam, co to są rodzice, dopiero wówczas, kiedy mnie odwieźli na pensję i nie mogłam widywać ich co dzień...

– Matka pieściła cię?

– Czy ja wiem?... Alboż dziecko tylko za pieszczoty kocha? Moja mama nawet nie pieści nas tak jak pani Helenkę – mówiła Madzia wysilając się na dyplomację. – I przecież mama tak nie pracuje jak pani. A swoją drogą, kiedy sobie przypomnę, jak mama zajmowała się obiadem dla nas, jak z rana dawała nam bratki z mlekiem, jak cały dzień szyła albo naprawiała nasze sukienki... Nie mogła nam dać nauczycieli i guwernantek, o, nie! ale my i za to ją kochamy, że sama nauczyła nas czytać.

Wieczorami siadaliśmy przy niej: Zdzisław na krześle, ja na stołeczku, a Zosia na dywanie. To był taki prosty dywanik, mama uszyła go z kawałków... Więc wieczorami opowiadała nam mama różne rzeczy, nawet uczyła nas w ten sposób Pisma świętego i historii. Taka mała nauka, nie profesorska, a przecież my jej tego nigdy nie zapomnimy. Nareszcie sama oglądała nasze łóżeczka, czy dobrze posłane, klękała z nami do pacierza, a potem otulając nas i całując mówiła: „Spijcie z Bogiem, urwisy! ...”. Bo ja, proszę pani, byłam taki urwis jak Zdziś, nawet łąziłam po drzewach. Raz spadłam... Ale Zosia jest zupełnie inna, ach, jaka to kochana dziewczynka!...

Nagle Madzia umilkła spojrzawszy na panią Latter, która zasłoniła twarz rękoma, szepcząc:

– Boże! Boże!...

„Czy ja co złego mówiłam? – myślała przerażona Madzia. – O, ja jestem strasznie...”.

Kareta zatrzymała się przed domem. Kiedy wchodząc na oświetlone schody Madzia spojrzała na panią Latter, zdawało jej się, że twarz przełożonej jest wyrzeźbiona z drewna, taka była zimna i obojętna. Tylko oczy były większe niż zwykle.

„Musiałam powiedzieć straszne głupstwo... O, ja jestem nikczemna!” – mówiła do siebie Madzia.

11. Znowu awantura

Na drugi dzień pani Latter wezwała do siebie Madzię i rzekła:

– Przyprowadź tu Zosię Wentzel, panno Magdaleno, i sama przyjdź.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała Madzia i serce zaczęło jej bić ze strachu. Oczywiście coś złego, kiedy pani Latter nazywa ją panną Magdaleną i ma w fizjonomii ostry wyraz, z jakim robi wymówki pensjonarkom.

„Naturalnie, że chodzi o Zosię” – pomyślała Madzia wiedząc, że przy upominaniu nauczycielki pani Latter ma inny wygląd. Niewiele przyjemniejszy, ale inny.

Kiedy Madzia zawiadomiła Zosię o rozkazie przełożonej, nie wspominając o swoich obawach, Zosia przyjęła to obojętnie.

– Domyślam się – rzekła wzruszając ramionami. – To on na mnie naskarżył.

– Kto?... pan Kazimierz?... – zawołała Madzia.

– Naturalnie. Odgadł, że nim pogardzam, i teraz mści się... Oni zawsze tacy; nieraz mówi mi to panna Howard...

Na schodach przeszła obok nich panna Joanna rzucając na Zosię jadowne spojrzenie.

– A co?... – zawołała Zosia klasnąwszy w ręce. – Czy nie mówiłam, że to robota tej piekielnicy?

...

– Zosiu, w tej chwili mówiłaś, że to pan Kazimierz...

– Mówiłam o nim, ale myślałam o niej.

Kiedy zapukano do pokoju pani Latter, na dole rozległ się hałas: niższe klasy powracały z Foksalu z panną Howard. Madzia mimochodem spostrzegła, że dotychczas obojętna Zosia poczyniła blednąc i żegna się ukradkiem.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze... – szepnęła Madzia czując, że sama jest w strachu.

Z dziesięć minut czekały w gabinecie przełożonej milcząc i nie patrząc jedna na drugą. Nareszcie weszła pani Latter. Starannie zamknęła drzwi za sobą, podała rękę Madzi, lecz ani spojrzała na piękne dygnięcie Zosi udając, że jej wcale nie spostrzega. Potem usiadła przed biurkiem, Madzi wskazała kanapkę i zaczęła szukać czegoś w szufladkach. Owego czegoś nie było jednak ani w szufladzie prawej, ani w środkowej, ani w lewej dolnej; pani Latter bowiem pozasuwałszy je podniosła z biurka kilka arkusików listowego papieru, przepełnionego drobnym pismem, i zapytała:

– Co to jest?

Dotychczas błada Zosia zrobiła się pąsową i znowu zbladła.

– Co to znaczy? – powtórzyła pani Latter, zimno patrząc na Zosię.

– To... to jest... o *Nieboskiej komedii* Krasińskiego.

– Widzę. Domyślam się, że ową „jedyną” i „najdroższą” jest *Nieboska komedia*: ale któż jest ten „dozgonny”?... Spodziewam się, że nie Krasiński, więc kto?...

Zosia sposepniała, lecz milczała.

– Chcę wiedzieć, jaką drogą otrzymujesz te kursa literatury?

– Nie mogę powiedzieć – szepnęła Zosia.

– A kto jest autorem?...

– Nie mogę powiedzieć – powtórzyła Zosia nieco śmieiej. – Ale przysięgam pani – dodała podnosząc oczy i kładąc rękę na piersiach – przysięgam... że nie pan Kazimierz...

I załała się łzami.

Pani Latter z zaciśniętymi pięściami zerwała się z fotelu, a Madzi pokój zaczął krążyć w oczach. Lecz w tej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem i stanęła w nich panna Howard, groźna, rozplamieniona, trzymając za rękę Łabęcką, która miała w fizjonomii wyraz smutku i zaciętości.

– Przepraszam, że w taki sposób wchodzę – rzekła panna Howard podniesionym głosem – dowiaduję się tu jednak pięknych rzeczy...

– Co pani każe? – zapytała pani Latter odzyskawszy zimną krew.

– Jedna z dam klasowych – mówiła panna Howard – niejaka panna Joanna, chwali się w tej chwili na górze, iż... jakby tu powiedzieć?... że – wyciągnęła – spod poduszki Zosi Wentzłównie pewne listy i że Zosia, którą tu widzę, ma być za to odpowiedzialną.

– Czy pani chce uwolnić ją od odpowiedzialności? – zapytała pani Latter.

– Uwolni ją sprawiedliwość pani – odpowiedziała zirytowana panna Klara. – Czy Zosia wyznała, czyje to są listy?...

– Nie! – wtrąciła energicznie Zosia.

– Jesteś szlachetną dziewczyną – mówiła z uniesieniem panna Howard nie uważając, że przełożona zaczyna tracić cierpliwość. – Te listy – ciągnęła – nie należą do Zosi, ale do Łabęckiej, która przychodzi tu ze mną przyznać się i uwolnić niewinną koleżankę...

Pani Latter zmieszała się. Iskry w jej oczach przygasły, głos stał się mniej twardym.

– Dlaczegoż Zosia sama nie powiedziała mi o tym? – rzekła.

– Bo czuła, że to należy do jej koleżanki, do Łabęckiej, która spełnia swój obowiązek, jak przystało na kobietę mającą poczucie ludzkiej godności! – deklamowała panna Howard. – Tam, gdzie nauczycielka sięga pod cudzą poduszkę...

– Panna Joanna jest protegowaną pani... ujmowała się pani za nią... – wtrąciła pani Latter.

– Ujmowałam się za istotą samodzielną; za kobietą, która walczy z przesądami... Ale taką, jaką dziś jest – pogardzam!... – zakończyła panna Howard.

Pomimo wybuchów Klary pani Latter uspokoiła się i rzekła do Łabęckiej wskazując na papiery:

– O ile widzę, jest to streszczenie *Komedii nieboskiej*. Ale kto ci je dał?

– Nie mogę powiedzieć... – szepnęła Łabęcka.

Panna Howard patrzyła na Łabęcką z triumfem.

Zdawało się, że ktoś puka do drzwi.

– Proszę! – odezwała się pani Latter.

Weszła Mania Lewińska. Miała twarz bladą, oczy prawie czarne, wylęknione i pełne łez. Zatrzymała się na środku gabinetu, dygnęła przed panią Latter i rzekła cichutko:

– To... moje listy... ja pożyczyłam je Łabęckiej.

Z długich rzęsów zaczęły jej spadać duże łzy. Madzia myślała, że na ten widok serce jej pęknie.

Od kilku sekund bardzo pilnie przypatrywała się Mani panna Howard. Nareszcie zbliżyła się do niej i położywszy na jej ramieniu dużą i kościstą rękę zapytała:

– Te listy pisane są do ciebie?... Kto je pisał?...

Nie doczekawszy zaś odpowiedzi zbliżyła się do biurka i spoza fotelu pani Latter spojrzała na rękopis.

– Ach, tak!... zgadłam – zawołała ze spazmatycznym śmiechem. – To pismo pana Kotowskiego... Nie przypuszczałam, że na to was zapoznaję...

– Panno Klaro – wtrąciła pani Latter odsuwając papiery – podobno nie czyta się cudzych listów... To wreszcie nie jest list, ale jakieś wypracowanie...

– Ja też nie czytam – odpowiedziała panna Howard. – Robię więcej... Maniu – zwróciła się do Lewińskiej – zraniłaś mnie, ale ja ci... przebaczam!... Chodź ze mną, panno Magdaleno – dodała – czuję, że potrzebną mi będzie życzliwa ręka...

Na znak pani Latter Madzia podniosła się z kanapki i podawszy rękę pannie Klarze wyprowadziła ją z gabinetu, chwiejącą się jak kwiat podcięty.

– Idźcie na górę – rzekła pani Latter do pensjonarek dość łagodnie.

– Myślałam – szepnęła na korytarzu panna Klara – że jestem wyższa nad ludzi; ale dziś widzę, że tylko kobietą...

I pracowała powiekami usiłując wycisnąć z oczu parę łez, co Madzi wydało się bardzo zabawne.

Przy schodach zastąpił im drogę Stanisław mówiąc do panny Howard:

– Pan Kotowski już poszedł na górę.

Panna Klara wyprostowała się jak sprężyna. Zamiast opierać się na Madzi, szarpnęła ją za rękę i rzekła półgłosem:

– Chodź, pani, zobacz, jak zdepczę tego nędznika...

– Ależ, pani!... – zaprotestowała Madzia.

– O, nie, musisz pani być świadkiem, jak płaci zdrajcom kobieta samodzielna... Jeżeli po tym, co mu powiem, ten człowiek przeżyje do jutra, będę miała dowód, że jest łotrem, którego nie powinnam zaszczycać nawet moją pogardą.

Mimo oporu wciągnęła Madzię do pokoju, po którym szerokimi krokami spacerował bardziej niż kiedykolwiek rozczochrany student. Zobaczywszy pannę Klarę wyciągnął rękę z kieszeni i chciał przywitać się.

– Patrz pani – rzekła panna Howard głębokim tonem – ten człowiek wyciąga do mnie rękę!...

– A bo co?... – zapytał obrażony student, śmiało patrząc na pannę Klarę, która stała przed nim sztywna i blada.

– Korespondujesz pan z Manią poza moimi plecami i pytasz: co?... To ja powinnam zapytać: co robisz w mieszkaniu kobiety, którą oszukałeś?...

– Ja panią?... W imię Ojca i Syna...

– Nie usidlałeś pan mnie? Nie starałeś się...

– Jak Boga kocham, anim myślał!... – zawołał student bijąc się w piersi.

– Więc jakież cel miały pańskie wizyty?... – zapytała panna Klara już rozgniewana.

– Jaki cel, słyszy pani?... – zwrócił się do Madzi rozkładając ręce. – Taki sam cel jak dziś... jak zawsze... Przyniosłem pani korektę, ale...

– Korektę?... Mego artykułu o nieprawych dzieciach?... – zawołała panna Howard.

Madzia zdumiała się nad nagłą przemianą. Chwilę temu panna Klara była podobna do Judyty ścinającej Holofernesa, a teraz przypominała pensjonarkę.

– Ale jeżeli mają mnie spotykać takie awantury – mówił student – to dziękuję!... Do niczego nie chcę się mieszać...

Panna Howard znowu odzyskała uroczysty nastrój i głęboki ton głosu.

– Panie Władysławie – rzekła – raniłeś mnie pan śmiertelnie... Lecz gotowa jestem przebaczyć, jeżeli przysięgniesz, że... nigdy... nie ożenisz się z Manią...

– No, to ja pani przysięgam, że tylko z nią się ożenię – odparł student machając rękami i nogami w sposób nie licujący z powagą sytuacji.

– Więc pan zdradzasz postęp... sprzeniewierzasz się naszemu sztandarowi...

– Co mi tam postęp... sztandar!... – mruknął wichrząc już powichrzoną czuprynę.

– Oto ma pani dowód męskiej logiki! – rzekła wyniośle panna Howard zwracając się do Madzi.

– Męska logika... męska logika!... – powtarzał pan Kotowski. – W każdym razie nie układały jej kobiety...

– Widzę, panie Kotowski, że z panem nigdy nie można rozmawiać poważnie – przerwała mu panna Klara tonem tak swobodnym, jakby w tej chwili spotkało ją coś bardzo wesołego. – Ale mniejsza – dodała. Czy pomimo to, co pomiędzy nami zaszło, pomożesz mi pan do zrobienia korekty?

– Taka pani samodzielna, a nawet korekty zrobić nie umie... – odparł student, ciągle obrażony i posępny.

– Ja państwa pożegnam – szepnęła Madzia.

Pan Kotowski chmurnie podał jej rękę wyciągając drugą z wyszarzanego munduru plik papierów i oglądając się za krzesłem.

12. Nudne święta

Nie było jeszcze dla Madzi tak przykrych świąt Bożego Narodzenia jak w tym roku.

Smutno było i pusto. Pusto w gabinecie Heli i w mieszkaniu Ady, którego nikt nie zajmował, pusto w sypialniach, jadalniach i salach wykładowych, pusto w mieszkaniach nauczycielek. Panna Howard całe dnie spędzała u znajomych, panna Żaneta u starej kuzynki, Joasia wyjechała na kilka dni, pani Méline zwichnęła rękę i leżała w lazarecie, a pani Fantoche w sam dzień Nowego Roku podała się do dymisji i przeszła na inną pensję.

Niekiedy Madzia słysząc na salach i korytarzach rozgłosne echa własnych kroków przerażała się. Zdawało jej się, że żadna pensjonarka już tu nie wróci, że stoły i ławki zawsze będą pokryte pyłem, a łóżka nagimi materacami, że zamiast gwaru dziewcząt będzie słyszała własne kroki, a zamiast nauczycieli i dam klasowych spotykać będzie tylko panią Latter, jak z zaciśniętymi ustami przemyka się po korytarzach albo zagląda do pustych sypialni.

Czy może i ona myśli, że już nikt nie wróci po świętach, i czy ten dziwny wyraz jej oczu nie wyraża obawy?

Z panią Latter nie było dobrze. Stanisław i panna Marta mówili, że nie sypia po nocach, a doktor zalecał kąpiele, dłuższy odpoczynek i kręcił głową. Nieraz Madzia znajdowała przełożoną siedzącą bez ruchu, z oczyma utkwionymi w ścianę, parę razy słyszała, jak pani Latter wybiega na korytarz i pyta Stanisława, czy nie przyjechał pan Kazimierz ze wsi albo czy nie ma listu.

Madzi zdawało się, że pani Latter jest bardzo nieszczęśliwa i – jako właścicielka pensji, i – jako matka. Wobec tej zgryzoty nie wypowiadającej się żadną skargą Madzia łatwiej przenosiła swoją samotność i nieszczęśliwe wieści od własnej rodziny. Jej matka wręcz narzekała na ciężkie czasy, ojciec wciąż łudził się nadziejami, brat pisał o wielkości filozofii pesymistycznej i pożytkach zbiorowego samobójstwa, a Zochna zapytywała: kiedy może przenieść się do Warszawy?

Ale około dziesiątego stycznia nastąpiła zmiana. Przyjechało kilkanaście pensjonarek, rodzice ich zaczęli mieszać z panią Latter konferencje, z których każda kończyła się wycięciem sznurowego kwitu; z poczty nadeszło kilkanaście piennych listów. Jeden bardzo zdziwił i ucieszył panią Latter, choć zawierał tylko sto pięćdziesiąt rubli; odesłała je z mnóstwem podziękowań dawna uczennica donosząc, że wyszła za mąż i spłaca dług zaciągnięty przez jej rodziców.

Ale radość trwała niedługo. Na drugi dzień bowiem, kiedy pensjonarki zajęte były w klasach wypracowaniami i powtarzaniem lekcji, do jednej sypialni weszła panna Marta ze służącymi i kazała wynieść dwa łóżka. Usłyszawszy chrzęst żelaza zaciekawiona Madzia wbiegła do sypialni i spotkała pannę Howard i Joasię stojące do siebie bokiem. Panna Marta zaś opowiadała półgłosem, że wyprowadzają się obie Korkowiczówny, których rodzice mają duży browar na prowincji.

– Pamięta pani tę tłustą Korkowiczową, co tu była w jesieni i chciała, ażeby jej córki uczyły się malować pastelami? – rzekła panna Howard do Madzi.

– Jest to pierwszy skutek tego, że niektóre uczennice korespondują ze studentami – wtrąciła panna Joanna.

Pannie Howard pozółkły włosy i poczerwieniała szyja.

– Jest to, widzi pani – rzekła do Magdaleny – skutek tego, że niektóre damy klasowe sięgają pod poduszki uczennic i wykradają cudze listy.

– Mówię ci, Madziu – odparła Joasia nie patrząc na pannę Howard – że stracimy jeszcze więcej pensjonarek i przychodnich, jeżeli zostanie tu Lewińska... No i te osoby, które z pensji roznoszą plotki po mieście...

Teraz panna Howard zwróciła się frontem do panny Joanny i patrząc na nią bladymi jak lód oczyma rzekła prawie basowym głosem:

– Masz pani słuszość... Osoby, które roznoszą plotki, powinny być wypędzone z pensji jak te, które nocami wałęsają się po restauracjach... Ja z tymi osobami kolegować nie myślę...

Madzia zasłoniła uszy i uciekła z sypialni, w której na szczęście nie było nikogo ze służby. Przypomniła sobie, że od paru dni coś nowego kluje się na pensji i że może być awantura. Mania Lewińska była już w Warszawie, lecz jeszcze mieszkała u znajomych z swym opiekunem, który dwa razy odwiedzał panią Latter. Widocznie pani Latter nie chciała przyjąć Mani, bo jednocześnie pan Władysław Kotowski onegdaj, wczoraj i dziś przybiegał do panny Howard, zapewne prosząc ją o poparcie.

Madzia miała proroczego ducha. W tej samej bowiem porze siedziała pani Latter w swoim gabinecie, otoczona księgami i notatkami, układając plan, do którego wchodziła Mania Lewińska i jej opiekun. Od kilku dni myśli przełożonej krążyły około jednej idei, która nie dawała jej zasnąć wieczorem, gorączkowała w nocy, budziła przed świtem i pochłaniała uwagę przez cały dzień.

Pani Latter przeglądając osobiste notatki mówiła do siebie po raz setny: „Popełniłam błąd pożyczając od Ady tylko sześć tysięcy rubli; powinnam była wziąć dziesięć tysięcy...”

Niepotrzebnie ceremoniowałam się; Ada jest tak bogata, że jej to różnicy nie robi... A dziś co?... Liczyłam, że zostanie mi dwa tysiące czterysta rubli, tymczasem zostało ledwie tysiąc trzysta, które muszę dać Kaziowi... Za mieszkanie muszę zapłacić tysiąc pięćset – skąd?... Korkowiczówny ubyły (niewielka szkoda; urwano by mi na nich sto rubli za półrocze...), a ile jeszcze ubędzie przychodzących?... I to wszystko dzięki Mani!... Jej opiekun ma kosztowną wychowanicę!...

A teraz – co dalej?... Od Solskich nic już wziąć nie mogę... Hela jest u nich, ma widoki na Solskiego (czy się tylko nie łudzi?... Ach, nieostrożna dziewczyna!... Tymi pożyczkami zaciągany u Ady (po kilku tygodniach!) mnie szkodzi i może popsuć własne zamiary... Tak prosiłam ją: Helenko, bądź oszczędna!... Zatem na Adę rachować nie mogę, więc na kogo?... Rozumie się, że mam prawo, a nawet obowiązek zwrócić się do Mielnickiego. Powiem mu wręcz: panie, wychowanicę twojej nie wydałam z pensji, bo mi jej żal; zwróć pan jednak uwagę, że przez nią poniosłam ciężkie straty. Nie mówię w tej chwili jako pani Latter, ale – jako kierowniczką instytucji społecznej, którą winniśmy wszyscy podtrzymywać... Potrzebuję na rok pożyczki czterech tysięcy rubli, dam sześć lub siedem procent, ale pan mi tej sumy dostarczy... Przemawiam śmiało, gdyż nie jest to sprawa moja, ale publiczna...”

Nagle wstała od biurka i schwyciła się za głowę.

„Ja chyba rozum tracę!... Co ja myślę?... Przecież byłoby to gorsze od żebraniny, żebranina z pogrozkami... On, człowiek szlachetny, przywiązany do mnie, co pomyśli?...”

Przeszła się po gabinecie z zarumienioną twarzą i wzruszając ramionami szepnęła:

„Co mnie obchodzi, co on sobie pomyśli?... Słuszność jest za mną, a on jest tyle delikatny, że mi nie odmówi... Za wiele prawil o gotowości poświęcenia się dla mnie” – dodała z uśmiechem.

W tej chwili zapukano i nie czekając na wezwanie weszła panna Howard.

„Znowu coś dramatycznego!” – pomyślała pani Latter patrząc na nauczycielkę.

– Przychodzę w ważnej sprawie i... drażliwej – rzekła panna Howard.

– Widzę to i słucham.

– Pozwoli pani, że przede wszystkim zapytam: czy prawda, że pani nie chce przyjąć na pensję Mani Lewińskiej?

Pani Latter zmarszczyła brwi, ale na jej twarzy nie było gniewu.

– Błagam panią – mówiła panna Klara – nie gub tego dziecka... Korespondencja z panem Kotowskim, jak pani wie, była całkiem niewinna i ogranicza się do dwu listów, a raczej... artykułów... Jeden o *Komedii nieboskiej*, drugi o *Irydionie*... Może tam są uboczne wzmianki, ale pamięta pani, jakim one tonem były pisane?... Gdyby pani wydała Manię, biedny chłopak odebrałby sobie życie. Taki zdolny... uczciwy... Czekaj u mnie na wyrok pani...

– Ach, pan Kotowski jest na gorze?... O trzeciej miał u mnie zobaczyć się z opiekunem Mani – rzekła pani Latter.

– Właśnie na to czeka w moim pokoju i o trzeciej tu będzie.

– Zapewne... Zobaczymy – odpowiedziała pani Latter. – Jeszcze waham się, ale... jeżeli pani zna tego młodzieńca i ręczy, że się to nie powtórzy...

Panna Klara spostrzegła jakiś szczególny rys w wyrazie twarzy pani Latter; nie zważając jednak na to podała przełożonej rękę i rzekła tonem stanowczym:

– Pani, w zamian za zatrzymanie Lewińskiej znajdzie pani we mnie najwierniejszą przyjaciółkę...

– Będę miała zupełną nagrodę – odparła pani Latter.

– Dam pani zaraz tego dowód, a nawet dwa. Naprzód Malinowska od wakacyj chce otworzyć własną pensję, ja zaś będę się starała skłonić ją do innej kombinacji...

Pani Latter pobladła i machinalnie uściśnęła rękę panny Howard.

– Po wtóre... po wtóre powiem to, czego w żadnym innym razie nie powiedziałabym... Idąc teraz do pani miałam zamiar postawić kwestię tak: niech pani wybiera pomiędzy mną a Joanną... Ale w tej chwili postawię ją inaczej...

Zbliżyła się do pani Latter i patrząc jej w oczy rzekła z wolna:

– Niech pani uwolni Joannę... Pobyt jej na tej pensji jest bardzo szkodliwy...

Pani Latter usiadła na kanapce.

– Czy... czy pani słyszała co? – rzekła półgłosem.

– Trudno nie słyszeć, jeżeli o czymś mówią w mieście i na pensji tak dobrze nauczycielki jak służba, a nawet uczennice...

Umilkła i patrzyła na przełożoną.

– Ach, głowa moja, głowa!... – szepnęła pani Latter ściskając rękoma skronie. – Czy pani, panno Klaro, miewa kiedy takie migreny, że zdaje się, iż samo myślenie sprawia ból fizyczny?...

Zamknęła oczy i siedziała myśląc, że chyba za długo ciągnie się wizyta panny Howard. Dlaczego kto nie dzwoni, nie przychodzi i nie mówi o innych interesach, choćby o swoich własnych?

– Pani nie jest zdrowa – odezwała się panna Klara.

– Już zapomniałam, jak wygląda zdrowie...

13. Stary i młody tego samego gatunku

Do przedpokoju zadzwoniono i panna Klara opuściła gabinet. Pani Latter głęboko odetchnęła zobaczywszy, jak rozplywa się między portierami wysoka figura nauczycielki.

„Mielnicki!” – pomyślała słysząc ciężkie tupanie i zdejmowanie dużego futra w przedpokoju.

Jakoż wszedł jegomość otyły i rumiany, w jasnych spodniach i rozpiętym surducie, z grubą dewizką na kamizelce i grubą fałdą na karku.

– A cha, cha!... – zaczął jegomość obcierając siwe wąsy z mrozu. – Rączki całuję ubóstwianej pani... cha, cha!... O, cóż to znaczy?... Mizernie moja pani wygląda... Niezdrowiśmy, co?... Do licha, trzy dni patrzę na panią i co dzień widzę zmianę... Gdybym to ja mizerniał, byłoby, mościa dobrodziejko, zrozumiałe: zwyczajnie zakochany. Ale pani...

Pani Latter uśmiechnęła się i patrząc na niego z kokieterią, rzekła:

– Mizernieję, bo nie sypiam... Nie mogę spać...

– O, to niedobrze. Gdybym ja nie sypiał... A radziła się też pani kogo?

– Nie wierzę w lekarstwa.

– Jeszcze jedna cnota! – zawołał jegomość, gwałtownie całując ją po rękach. – A ja myślałem, że w takim skarbie, jakim bez zaprzeczenia jesteś pani dobrodziejka, że w takiej skarbnicy zalet nie dopatrzę już nic nowego, chyba – po ślubie.

– Znowu nedorzecznosc! – przerwała pani Latter przeszywając go spojrzeniami, pod którymi jegomość wił się jak w ogniu.

– Nie mogę być dorzecznym, kiedy mi serce, mościa dobrodziejko, wysycha... Ale mniejsza o mnie... Otóż, skoro pani nie zażywasz doktorów, ja pani zapiszę lekarstwo na bezsenność. Ale ręka i słowo, że pani spełnisz zalecenia.

– Zobaczę, jeżeli nie będą bardzo złe.

– Będą wyborne! Bo to moje lekarstwo, mościa dobrodziejko, składa się z dwóch doz, jak pigułki Morissona.

– A więc?...

– A więc radykalnym lekarstwem na bezsenność będzie dla pani – wyjście za mąż... To radykalne... Bo pani, mościa dobrodziejko, przeszkadzają spać jej własne oczy, przy których, jakem uczciwy, mógłbym czytać gazety po ciemku. Tak świecą i palą...

– A to drugie lekarstwo?

– To drugie, tymczasowo, pozwoli pani, że przyszlę dziś... Mam kilka butelek wina tak doskonałego, że nie znajdziesz pani nawet u Fukiera... Jeden kieliszek do poduszki i bywaj zdrow! ... Armatami nie zbudzą pani do rana...

Rada ta zrobiła na pani Latter mocne wrażenie.

– Tylko, proszę, niech pani prezenciku nie odrzuca, bo będę uważał za chęć zerwania stosunku...

– Ależ nie odrzucam, przyjmuję i dziś jeszcze spróbuję – odpowiedziała ze śmiechem pani Latter podając mu rękę, którą znowu ucałował.

„Gdybyś w tak natarczywy sposób zmusił mnie do przyjęcia pożyczki, o, to byłbyś wielbiciel! ... droższy od Romea...” – pomyślała pani Latter dodając głośno:

– Zdaje się, że wszedł do przedpokoju ten młody człowiek...

Jegomość nagle zasępił się.

– A, więc przyszedł?... Phy, widzę, chwat chłopak. Bo ja, kiedy tu szedłem, byłem tak wściekły, że mówię pani dobrodziejce, bałem się samego siebie... Dopiero jej słodki obraz...

– Zostawię panów – rzekła pani Latter wyrwijąc rękę z uścisków jegomościa. Potem zadzwoniła, a gdy ukazał się Stanisław, zapytała:

– Czy jest ten młody pan?

– Pan Kotowski, jest.

– Poproś.

Pani Latter znikła w dalszych pokojach, a po chwili do gabinetu wszedł student. Był blady, miał obficie wypomadowaną głowę, na której mimo to podnosiło się kilka wicherków gęstej czupryny... Miętosząc w rękę czapkę kłaniał się i chrząkał.

Otyły jegomość, którego rumieńce miały teraz barwę popielatą, podniósł się z kanapy, wsadził obie ręce w kieszenie spodni i przypatrywał się figurze studenta oglądając po kolei jego wytarty mundurek, mizerną twarz i wypomadowane włosy. Nareszcie odezwał się grzmiącym głosem:

– No, i co mi pan powiesz?

– Pan mnie wezwał...

– Ja go wezwałem, paradny sobie!... Pan wiesz, przed kim stoisz?... Jestem Mielnicki, Izidor Mielnicki, opiekun i wuj Mani... panny Marii Lewińskiej... Cóż pan na to?...

Student pochylił głowę i machnął ręką, ale milczał.

– Widzę, że pan wymowny jesteś tylko w listach do pensjonarek.

– Niekoniecznie... – odparł student, ale pomiarkowawszy się milczał dalej.

– Zgubiłeś acan dziewczynę...

Teraz młody człowiek nagle podniósł głowę i kłaniając się niezręcznie, rzekł:

– Proszę pana... o rękę panny Marii...

Znowu uklonił się i przejechał palcami po upomadowanej czuprynie, na której utworzyło się kilka połyskujących smug i jeszcze jeden wicherek.

– Czyś pan oszalał?... – wykrzyknął jegomość. – A cóżeś to za jeden?

Młody człowiek podniósł głowę.

– Jestem Kotowski, nie gorszy od Mielnickich... A w jesieni już będę lekarzem.

– Głupia profesja!

– Ha, proszę pana, bywają rozmaite... Nie każdy ma folwark.

– Ale bardzo wielu reflektuje na cudzy.

Teraz student zhardział.

– Proszę pana, nie ja reflektuję na folwarki, a tym mniej na pańskie. Wiem, że panna Maria jest uboga, i z nią się żenię, nie z folwarkiem.

– A jak ja nie pozwolę?

– Przecież ja się ożenię z panną Marią...

Stary szlachcic kręcił głową.

– Proszę pana – rzekł – jak pan możesz bałamucić dziewczynę, sam utrzymania nie mając?

– Ale będę miał. Pojadę na jakiś czas za granicę...

– Fiu!... a skąd pieniądze?

– Z tej samej kasy, która utrzymywała mnie w gimnazjum i w uniwersytecie... – odparł zirytowany student.

Stary jegomość zaczął chodzić po gabinecie śpiewając: ta, ta, ta!...

– Pojedzie za granicę... pieniędzy nie ma... ta, ta, ta!... – mruczał szlachcic. – No – rzekł nagle – a jak nie pozwolę wyjść Mani za pana?

– Mamy czas.

– Ale... jeżeli ja wypędzę ją z domu na cztery wiatry?...

– Musi dać sobie radę. Zresztą ja od wakacyj mogę zacząć praktykę.

– I truć chorych...

– Dlatego wybieram się za granicę, ażeby ich nie truć.

– I ażeby potem zabrać mi dziecko, które ja wychowałem, nie pan, panie... panie... – wybuchnął szlachcic.

– Kto wie, co jeszcze będzie. Może ja i panna Maria wywdzięczymy się za to, co pan dla niej zrobił.

Jegomość zamyślił się.

– Ile pan masz lat? – spytał po chwili.

– Dwadzieścia pięć.

– Dwa lata za granicą!... całe szczęście, że przez ten czas zapomnisz pan o dziewczynie, a ona o tobie.

– Nie.

– Co to jest nie?... A jak nie skończysz tam kursów?

– Skończę.

– Wariat pan jesteś!... Możesz przecie umrzeć.

– Nie umrę.

– *Kyrie eleison!* – zawołał szlachcic podnosząc ręce do góry.

– Gadasz tak, jakbyś z Panem Bogiem zrobił kontrakt. Każdy może umrzeć...

– Ale ja nie umrę, dopóki nie ożenię się z panną Marią – odpowiedział student z pewnością, która zastanowiła Mielnickiego.

Stary chodził po gabinecie i parskał jak koń. Lecz nie mógł znaleźć argumentu przeciw człowiekowi, który z niezachwianą wiarą twierdził, że pojedzie kończyć edukację za granicę, nie umrze i ożeni się z panną Marią.

– Z czego się pan utrzymujesz?

– Daję lekcje... Trochę piszę...

– Piękne teraz rzeczy piszecie!... A ile masz z tych lekcyj?

– Mam dwadzieścia pięć rubli miesięcznie.

– I z tego żyjesz, płacisz komorne?... Cha, cha, cha!...

– Nawet bywam w teatrze, jeżeli mi się podoba.

Stary szlachcic precz chodził, ruszał ramionami i złościł się. Wreszcie znowu zapytał:

– Gdzie pan jadasz?

– Rozmaicie. U „Honoratki”, „Pod Papugą”, w taniej kuchni, jak można.

– I wyjedziesz za granicę.

– Wyjadę.

– Apopleksja mnie zabije przez tego półgłówka! – zawołał jegomość. I nagle zatrzymawszy się przed studentem rzekł:

– Ja z panem skończę w dwóch słowach... Przyjdź acan jutro na obiad do Europejskiego Hotelu o dwunastą...

– Nie będę mógł o dwunastą, mam klinikę.

– Więc o której?

– Po pierwszej.

– No, to... przyjdź trochę po pierwszej do Europejskiego Hotelu, rozumiesz acan?... Ja panu muszę wybić te brednie z głowy... Nie ma całych portek i wyjeżdża za granicę... cha, cha, cha!... Chce się żenić i nie umrze!... No, wiecie państwo, jak żyję, nic podobnego nie słyszałem. Bądź acan zdrow, a nie zapomnij zaraz po pierwszej, bo nikt dla twojej przyjemności głodem morzyć się nie będzie... Bądź zdrow.

Z tymi słowy nie patrząc na studenta podał mu dwa tłuste palce, a trzecim z lekka uściśnął go za rękę.

Gdy Kotowski opuścił gabinet, weszła uśmiechnięta pani Latter i obrzucając szlachcica powłóczytym spojrzeniem rzekła:

– Dobrze pan jednak musiał powiedzieć kazanie temu młodzikowi, bo aż do mego pokoju dolatywały pojedyncze wyrazy...

– Gdzie tam, mościa dobrodziejko! Owszem, teraz zrozumiałem, że taka bestia, taki dziki zwierz mógł dziewczynie zawrócić głowę. Imaginuj sobie, pani dobrodziejka, że on gada o przyszłości, jakby miał umowę z Panem Bogiem! Pojadę, mówi, za granicę, nie umrę, mówi –

słyszała pani?... i jeszcze, mówi, ożenię się z panną Marią. Gadajże z takim!... Słuchając tego doznawałem, powiadam pani dobrodziejce, obawy, po prostu lękałem się... Bo jedno z dwojga: albo ten człowiek bluźni i na nas wszystkich sprowadzi pomstę bożą, albo... albo on ma taką wiarę, która góry przenosi. A jeżeli, proszę pani, on ma taką wiarę, i on ją ma, ja to czułem słuchając, więc... co my jemu możemy zrobić?... Wobec takich ręce opadają, bo człowiek widzi, że on robi, co zechce, i jeszcze innych pociągnie za sobą.

Pani Latter rumieniec wystąpił na twarz i błysnęły oczy.

– O, tak – odpowiedziała – kto ma wiarę, temu nic się nie oprze...

Szlachcic strzelił z palców i nagle chwytając obie ręce pani Latter zawołał:

– Złapałaś się, mościa dobrodziejko! Otóż i ja, choć niezgrabny i... trochę starszy od tego smarkacza, mam wiarę... Musisz wyjść za mnie, a nie wyjdiesz dobrowolnie, to cię porwę jak Rzymianie Sabinki... Nie uśmiechaj się, pani... Palmerstonowi, choć był o dwadzieścia lat starszy ode mnie, wytoczyła jedna, mości dobrodziejku, proces o... tego... Więc jeszcze ze dwadzieścia lat mamy przed sobą i Bóg mi świadek, zrobilibyśmy głupstwo nie korzystając...

Pociągnął ją na kanapkę i pomimo lekkiego oporu objął w pól.

– Nie traćmy czasu, mościa dobrodziejko, bo to grzech. Ja marnuję się, wreszcie i gospodarstwo nie tak idzie, jak powinno; a pani tracisz zdrowie, wdzięki, nawet sen borykając się z tą pensją, która ci nic dobrego nie przyniesie. Wierzaj mi, nic dobrego... Wiem, co gadają na mieście...

Pani Latter zbladła i zachwiała się. Stary szlachcic oparł jej głowę na swoim ramieniu i mówił:

– Rzuć pensję od wakacyj!... Córkę wydamy za mąż; wynajdziemy jej takiego jak Kotowski, co to pcha się, bestia, naprzód, nie pytając... Syn weźmie się do roboty, to mu zaraz wywietrzeje z głowy elegancja... A więc raz, dwa, trzy... i – zgoda!...

– Nie mogę... – szepnęła pani Latter.

– Co to jest, nie mogę? – oburzył się szlachcic. – Kobieta tak zbudowana jak pani... Cóż to, masz obowiązki, męża?...

Pani Latter wstrząsnęła się i podniósłszy na niego oczy pełne łez szepnęła:

– A gdyby... a gdyby?...

– Gdybyś miała męża?... – odparł nieco zdziwiony. – No, to pal go sześć!... Mąż, który przez całe wieki nie pokazuje się, nie jest mężem... Wreszcie cóż to, nie ma rozwodów?... A jak będzie trzeba, to potrafię strzelić w łeb... Tylko powiedz szczerze, co jest?

Pani Latter płacząc schwyciła go nagle za rękę i serdecznie ucałowała.

– Nie dziś – rzekła – nie dziś... Opowiem kiedy indziej... Dziś niech mnie pan już o nic nie pyta – mówiła drżąc i szlochając. – Nikt by nie przypuścił, nikt by nie uwierzył, jaka jestem nieszczęśliwa i opuszczona... Krąży około mnie, bo ja wiem, chyba ze sto osób; a nie mam żywej duszy, której mogłabym powiedzieć: patrz, ile ciężarów i cierpień dźwigać musi jedna kobieta...

Szlachcicowi poczerwieniały oczy.

– Widzi pan – mówiła patrząc na niego z obawą – ledwie pan do mnie serdeczniej przemówił, a już płacę za to niepokojem... Nie mnie myśleć o małżeństwie!... Ach, ale gdyby pan wiedział, jak potrzebuję człowieka, przed którym mogłabym się poskarżyć choć... czasami... Widzi pan, ucieknę pan ode mnie i już na schodach powie sobie: po co ja się wdałem z tą nieszczęśliwą?...

Mielnickiemu łzy spływały na siwe wąsy. Odsunął się od pani Latter, wziął ją za ręce i rzekł:

– Przysięgam na Boga, że nic nie rozumiem; ale tak mówisz pani do mnie, że wolałbym, ażeby mi nóż w serce wbili i jeszcze świdrowali nim... Do licha, przecie zbrodni nie popełniłaś?... Mówże, pani!...

– Zbrodni?... – powtórzyła pani Latter. – Skąd podobne myśli? Jeżeli nieszczęście i praca jest zbrodnią, no to tak, ale nic innego.

– At! – machnął szlachcic ręką – naczytał się człowiek romansów i coś mu się snuje po głowie. Wybacz, mościa dobrodziejko... ale jeżeli sumienie masz czyste...

– Mam, niech mnie Bóg sędzi! – odparła kładąc rękę na sercu.

– Cha, cha, cha!... – zaśmiał się stary jegomość. – No, więc po co te łzy i trwoga?... Nie pytam się o nic, bo mi pani sama kiedyś opowiesz, co cię boli, ale... Wstydź się, kobieto małej wiary!... To pani myślisz, że tylko takie smyki, jak Kotowski, mają odwagę?... Tylko oni mogą powiedzieć: nie umrę, dopóki nie zrobię tego a tego?... A toż chyba Opatrzności Boskiej nie byłoby na świecie, gdyby kobieta nieszczęśliwa, i jeszcze taka jak pani, nie miała komu zaufać!... Pluń na zgryzoty, mościa dobrodziejko; dopóki ja żyję, włos nie spadnie ci z głowy... Wyjdiesz za mnie czy nie wyjdiesz, zależy od ciebie... Ale od czasu, kiedyś zapłakała w mojej obecności, nie powiesz, że jesteś sama... Ja z tobą!... serce moje, ręka, majątek... wszystko należy do ciebie... Potrzeba ci czego, mów... Zrobię, jak zbawienia pragnę. No?...

Pani Latter siedziała ze spuszczoneymi oczyma. Wstyd ogarnął ją na myśl, że nie dawniej jak przed godziną miała zamiar pożyczyć od tego człowieka cztery tysiące rubli w zamian za utrzymanie na pensji jego wychowanicy. Skąd jej przyszedł taki szalony projekt!...

– Może pani potrzebujesz pieniędzy – badał jegomość – bo nieraz pieniądź jest źródłem najcięższych kłopotów?... Rozkaż tylko: ile chcesz... Dwieście, pięćset rubli, a w razie wielkiej potrzeby, to i tysiąc znajdę na usługi...

Silny rumieniec wystąpił na twarzy pani Latter. Dla tego człowieka tysiąc rubli stanowi poważną sumę, a ona chciała wydobyć cztery tysiące...

– Więc ile? – nalegał szlachcic – bo czuję, że na dnie zgryzot leżą pieniądze niewarte jednej łzy pani, a nie dopiero bezsennych nocy.

Pani Latter podniosła głowę.

– Pieniądze mam – rzekła – ale często brak mi rady, a choćby tylko widoku życzliwego człowieka. Są to rzeczy gorsze aniżeli niedostatek...

– Żartuj pani z tego i wiedz, że masz we mnie sługę, który w ogień i wodę pójdzie za tobą. Nie nalegam dziś, bo pani sobie nie życzysz, ale proszę o jedno: gdy będziesz w potrzebie, choćby nawet chodziło... no, już nie wiem o co, odwołasz się do mnie. Dom mój wystarczy dla nas dwojga, tylko porzuć tę pensję, która ci życie zatruwa. Im prędzej ciśniesz ją, choćby ci nie zostało na owinięcie palca, tym lepiej zrobisz.

Podniósł się z kanapy, chcąc już iść.

– A gdybym kiedy – rzekła smutno pani Latter – gdybym kiedy naprawdę zapukała do drzwi pańskich?... Bo przecież mogę wszystko stracić...

– Trać, aby prędzej, i przyjeżdżaj – odparł. – Kiedykolwiek zajedziesz: w dzień czy w nocy, zastaniesz gotowe mieszkanie... Nie chcesz być moją żoną, możesz jednak być panią mego domu i gospodarstwa, które potrzebuje kobiecej ręki. Na pensję pluń... dość tych borykań się, przy których tracisz sen, a zapewne i apetyt!

Ucałował jej ręce i biorąc za klamkę drzwi dodał:

– Pamiętaj pani: masz swój własny dom! Ciężką krzywdę zrobiłabyś staremu nie rachując na mnie jak na Zawiszę. Nie tylko tacy smarkacze, jak pan Kotowski, mają wiarę... To bestia chwat!... Zabierz mi Manię, jak amen w pacierzu... A wino zaraz przyszlę i proszę pić co dzień...

– Do widzenia – rzekła pani Latter ściskając go za rękę.

– Upadam do nóg i... proszę pamiętać... To, com powiedział, warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż.

Mielnicki opuścił gabinet po czwartej. Słońce zaszło i tylko różowy blask odbity od śniegów praskich nieco oświetlał pokój, a w nim panią Latter. Stała na środku, ręką podparłszy brodę, i widać było zdziwienie w jej pięknych oczach, na których jeszcze łzy nie obeschły.

Czuła, że przed chwilą coś zaszło, ale jej myśl zmęczona nie umiała tego sformułować. Zdawało jej się, że ona dotychczas nie żyła dla siebie, tylko dla innych, zawsze dla innych, i oto dziś przyszedł stary człowiek, prawie komiczny ze swymi oświadczeniami, który wyraźnie powiedział, że – chce żyć dla niej.

Czy podobna, ażeby ktoś mógł się nią interesować?... Czy możliwe, ażeby znalazł się człowiek, który nie tylko nie wymagał usług od niej, ale jeszcze chciał sam jej służyć?... Przecież to ona służyła wszystkim: pierwszemu mężowi, drugiemu, uczniom, nauczycielom, służbie, a nade wszystko synowi i córce.

I oto dziś, kiedy już dawno skończyła lat czterdzieści i minęły jej wdzięki, kiedy ją wszyscy opuszczają albo wyzyskują i dręczą, zjawia się człowiek, który jej mówi... Co on jej mówił?...

Panią Latter zawiodła pamięć, może skutkiem wzruszenia. Nie przypomina sobie, co mówił stary szlachcic, ale było to coś takiego, jak gdyby człowiekowi, osaczonemu ze wszystkich stron przez niebezpieczeństwa, otworzono wyjście.

Pani Latter rozejrzała się po gabinecie. Jest tylko troje drzwi, a przecie gotowa była przysiąc, że przed chwilą były tu czwarte drzwi. Ależ naturalnie, że były, tylko zamknęły się teraz, po odejściu Mielnickiego.

Chwyciła się za głowę (od pewnego czasu był to u niej ruch nałogowy) i usiłowała coś sobie przypomnieć, ale na próżno.

„Aha! już wiem – pomyślała. – Miałam od Mielnickiego pożyczyć cztery tysiące rubli...”.

– Wołałabym umrzeć!... – szepnęła po chwili.

Jedna cyfra pociągnęła za sobą cały szereg innych cyfr. Pani Latter usiadła przy biurku i po tysięczny raz pukając ołówkiem w papier, bo już nie można było pisać, rachowała:

„Do wakacyj potrzebuję na samą pensję dwadzieścia jeden tysięcy rubli... Dług w banku tysiąc rubli... A Hela?... A Zgierski?... Od uczennic nie zbiorę nawet dwadzieścia tysięcy rubli, więc gdzie reszta?...”.

Zapalono światło. Od piątej zaczęli schodzić się interesanci: rodzice pensjonarek i przychodnich, jakieś dwie damy po składkę na odnowienie kościoła, nauczyciel, Angielka na miejsce pani Fantoche i znowu dwie damy z biletami na bal dobroczynny.

O siódmej wizyty skończyły się, a pani Latter była tak zmęczona, że z trudnością powstrzymywała się od łez.

Wszedł Stanisław i przyniósł drewnianą paczkę.

– Od pana Mielnickiego – rzekł.

– Aha!... dobrze...

Porwała paczkę i wyniosła do sypialni. Nożyczkami przecięła sznur i podważyła deskę, pod którą ukazały się butelki okryte pleśnią grubą jak kozuch. Z gorączkową niecierpliwością zawadziła nożyczkami o jeden korek. Wyszedł i pani Latter uczuła przyjemny zapach.

„Musi być dobre wino” – szepnęła.

Wzięła szklankę z umywalni, nalała blisko trzecią część i chciwie wypila.

„Mam po tym spać?... – rzekła. – Ależ to zupełnie lekkie wino...”.

Wnet jednak spostrzegła, że opuszcza ją zmęczenie; owszem, uczuła pełność myśli, które rozwijały się szybko i logicznie. Przypomniała sobie, że Mielnicki z naciskiem radził rzucić pensję i wyjechać na wieś, do niego.

„Za mąż wyjść nie mogę – myślała – chybaby... Ale kto mi o tym doniesie, gdyby nawet tak się stało!... Za mąż wyjść nie mogę, ale służyć mogę; przecież to starzec i ja niemłoda... Ach, czuję w sobie sto lat i śmiech mnie bierze, kiedy pomyślę, że miałam dwu mężów...”.

O, ta pensja... Czy może być na świecie większa niewola i przekleństwo jak pensja!... A Hela?... a Kazio?... No, Hela wyjdzie za mąż, Kazio ożeni się...

A ze mną co będzie?... Jeżeli on i ona dziś obchodzą się bez mego widoku, to czy wówczas będą za mną tęsknili?... Tak naiwną nie jestem! Dzieci rosną dla świata, nie dla rodziców; wszakże i ja obchodziłam się bez matki.

Tak, dzieci dopóty są dobre, dopóki małe; gdy podrosną i uwiją sobie własne gniazda, zajmują się swymi pisklętami, nie starymi... A w takim razie na pewno będę musiała szukać przytułku

u Mielnickiego i zdaje się, że tylko on mnie nie zawiedzie. Bez rodziców można się obejść, ale bez rumianku, bez kawy z kożuskiem, świeżych bułek i masła – trudno” – zakończyła z uśmiechem.

W kilka godzin później panią Latter znowu ogarnęło znużenie i troska. Przed wakacjami, a nawet wcześniej, musi dopożyczyć ze cztery tysiące rubli. To darmo! Łudzić się nie można, bo ciągle przypominają o tym rachunkiienne, tygodniowe i miesięczne. Pannie Marcie trzeba co wieczór dawać pieniądze, piekarzom i rzeźnikom co poniedziałek, nauczycielom i służbie co pierwszego, gospodarzowi i wierzycielom co termin. Cóż by to więc była za okropna chwila nie mieć pod ręką paru tysięcy rubli!...

Około jedenastej pani Latter znowu napiła się wina i położyła się. Sen istotnie zaczął ją opanowywać, a jednocześnie znalazł się tak dawno poszukiwany środek ratunku.

„Wezmę pieniądze od Zgierskiego – myślała. – Będzie się krzywił, ale jeżeli obiecuję piętnaście procent, ustąpi... Przecież kiedyś moje kłopoty muszą się skończyć... Pensję podźwignę, przybędzie mi uczennic, Hela wyjdzie za Solskiego... Wówczas ona zajmie się Kaziem, a ja cały dochód obrócę na spłacenie długów... Spłacę w ciągu paru lat, a wtedy... Ach, jaka będę szczęśliwa!...”

„Błogosławiony człowiek z Mielnickiego!” – myślała pani Latter czując, że zasypia... Pościel, która przez tyle bezsennych nocy była dla niej narzędziem męczarni, teraz wydawała się dziwnie miękką. Już nie tylko ugina się pod ciężarem jej ciała, ale zapada i leci w głębinę ruchem niewypowiedzianie przyjemnym.

„Gdzie ja tak lecę? – mówi uśmiechając się pani Latter. – Aha, lecę w prze... w przyszłość” – poprawia i czuje, że ten wyraz nie ma sensu. Potem widzi, że z wyrazu „przyszłość” robi się jakieś bajeczne zwierzę, które unosi ją do krainy, gdzie rodzą się i dojrzewają rzeczy przyszłe. Pani Latter rozumie, że jest to senne marzenie, lecz nie mogąc mu się oprzeć godzi się na oglądanie przyszłości.

I otóż widzi się kobietą zupełnie swobodną. Jest na ulicy sama, bez grosza, w jednej sukni; lecz zarazem czuje bezdenną i bezbrzeżną rozkosz, bo już nie ma pensji!... Już nie troszczy się, że był zły obiad, że któraś uczennica zachorowała, że damy klasowe posprzeczały się, że jeden z nauczycieli miał niezadowoloną fizjognomię... Już nie lęka się, że ta a ta pensjonarka może nie zapłacić, nie blednie na widok gospodarza domu, nie wstrząsa się usłyszawszy panną Martę mówiącą: „proszę pani, jutro czeka nas duży wydatek...”. Nic z tego wszystkiego; nic już jej nie gniewa, nie trwoży, nie paraliżuje władzy myślenia...

Teraz dopiero widzi: czym była pensja? Była to okropna machina, która co dzień i co godzinę przez kilkanaście lat wbijała jej w ciało szpilki, gwoździe, noże... I za co? Za to, że podjęła się uczyć cudze dzieci, ażeby wychować własne!

Wielki Boże, czy podobna, ażeby człowiek nazywający się matką i przełożoną pensji cierpieć katusze, jakich nie doświadcza żaden zbrodniarz?... A przecie tak było i działało się w sposób bardzo prosty: wszyscy ją obchodzili, więc cierpiała za wszystkich. Cierpiała za swoje dzieci, za cudze dzieci, za damy klasowe, za nauczycieli, za służbę – za wszystkich... Oni byli obowiązani tylko pracować przez pewną liczbę godzin na dzień, a ona musiała troszczyć się o ich żywność, mieszkanie, zdrowie, zapłatę, naukę i znośne stosunki między nimi. Oni wiedzieli, że w oznaczonym terminie każdy musi otrzymać, co mu się należy, ale ona – nie wiedziała: skąd na to weźmie? Uczennice potrzebowały jadać regularnie, ale ich opiekunowie nie troszczyli się o regularne płacenie należności. Służba ociagała się z robotą, ale spieszyła po odebraniu pensji. Nauczyciele i damy klasowe surowo krytykowali najmniejszy nieporządek w zakładzie, ale sami ani myśleli o pracy nad porządkiem.

I to wszystko było, naprawdę było?... Tego istotnie żądano od kobiety obciążonej dwojgiem dzieci?... Tak było i tego od niej żądano. I ja to wytrzymałam przez jeden tydzień?... Wytrzymałam przez kilkanaście lat. I nikt się nade mną nie ulitował, nawet nikt nie wiedział, jak pracuję i cierpię?... Nikt nie domyślał się, nawet nie próbował odgadnąć, co cierpisz; owszem – zazdroszczono ci szczęścia i sądzono niemiłosierniej aniżeli zbrodniarzy. Bo tamci popełnili występki, gdy ty nie masz żadnej winy, tamci bronią się i są bronieni, gdy tobie nawet poskarżyć się nie wolno.

No, ale dziś już jest swobodna. Ma prawo żebrać, upaść na ulicy, pójść do szpitala, nawet – umrzeć gdzieś pod bramą, lecz z tym słodkim uczuciem, że jest swobodna, że oderwały się nieprawdopodobne ciężary miażdżące ją przez kilkanaście lat!... Jestże to powtórne urodzenie czy zmartwychwstanie?

I kiedy tak nasycą się swobodą, kiedy tak tonie w niej razem z miękką pościelą, nagle – widzi, że ktoś zabiega jej drogę i w brutalny sposób chce zawrócić ją na pensję... Na pensję?... Tak. I to robią jej własne dzieci: Kazimierz i Helena! Milczą, lecz ich twarze są surowe, a spojrzenia pełne wymówek...

„Dzieci moje... dzieciny moje... wy chyba nie wiecie, ile ja wycierpiałam na pensji?...”.

„Nam potrzeba pieniędzy... dużo pieniędzy...”.

„Ale bo wy nie wiecie... ja wszystko przed wami ukrywałam... Wy przecie nie mielibyście serca skazywać matkę drugi raz na powolne konanie... Życie wam oddam, ale oszczędźcie mąk, na jakie nie skazałby mnie najokrutniejszy tyran...”.

„Pieniądzy... nam potrzeba pieniędzy...”.

Pani Latter budzi się i siada na łóżku szlochając.

– Dzieci – mówi – to niepodobna!...

Przypomina je sobie, kiedy były małymi, słyszy ich cienkie głosiki i widzi łzy, które wylewały nad martwym kanarkiem.

– Dzieci moje?... – powtarza już trzeźwa ocierając oczy.

Zapala świecę. Jest dopiero pierwsza po północy.

– Ach, to wino! – szepcze. – Jakież ono okropne sny sprowadza.

Gasi świecę i kładzie się znowu, a stroskana myśl jej waży się między dwoma pytaniami:

„Co jest lepsze: czy wcale nie spać, czy mieć takie straszne sny?...”.

I w tej samej chwili doznaje nieprawdopodobnego uczucia, w jej sercu budzi się coś, jakby niechęć czy żal do dzieci... Czego nie zrobiło kilkanaście lat na jawie, zrobił sen...

– Czy to podobna? – szepcze.

A przecie tak jest: senne marzenie powiedziało, że mogłaby być nawet dzisiaj swobodną, gdyby nie dzieci i – na jej duszę upadł jakiś chłód i cień, w którym na dzieci spojrzała z nowego punktu.

Nie były to już „dzieci”. Przestały nimi być w rzeczywistości i od dawna, a w jej sercu przed chwilą, w czasie snu. Były to Jeszcze osoby ukochane, bardzo ukochane, ale już dorosłe, które nastawały na jej swobodę i spokój i przeciw którym... kto wie, czy nie należałoby się bronić?...

Na drugi dzień pani Latter zbudziła się około ósmej rano, rzeźwa i spokojna. Ale pamiętała swój sen i czuła w sercu jakby krople lodu. Zdawało jej się, że wylała nad sobą o jedną łzę za wiele, że ta łza upadła na dno jej duszy i zlodowaciała.

Toteż na jej twarzy nie było widać nerwowego niepokoju, który dręczył ją od kilku tygodni, ale – chłód i jakby zawziętość.

W ciągu następnych paru dni uczennice wróciły, z wyjątkiem czterech przychodnich, i rozpoczęły się lekcje. Na pensji było spokojnie, tylko pewnego razu panna Howard wciągnąwszy Madzię do swego pokoiku rzekła z zarumienioną twarzą:

– Panno Magdaleno... Przysięgnijmy sobie, że uratujemy panią Latter!...

Madzia spojrzała na nią zdziwiona.

– Pani Latter – ciągnęła uroczyście panna Klara wznosząc palec do góry – pani Latter to szlachetna kobieta. Wprawdzie dawne przesady walczą w niej z nowymi ideami, ale postęp zwycięży...

Madzia była coraz mocniej zdziwiona.

– Nie rozumiesz mnie, pani?... Nie będę wykladała mego poglądu na ewolucję, jaka dokonywała się w mózgu pani Latter, bo zaraz muszę iść do klasy, ale zacytuję dwa fakta, które powinny rzucić przed panią światło...

Panna Howard przez chwilę zawiesiła głęboki kontralt, a widząc, że jej słowa wywołują dostateczny efekt, mówiła dalej:

– Wiesz pani, że Mania Lewińska została przyjęta na pensję...

– Jest tu przecie od onegdaj...

– Tak, ale – mnie zawdzięcza, że jej nie wydalono. Prosiłam za nią pani Latter, usłuchała i – należy jej się moja wdzięczność. A ja umiem być wdzięczna, panno Magdaleno...

Teraz Madzi przyszło na myśl, że podobny głos już gdzieś słyszała... Ach, tak!... podobnym głosem przemawia na scenie jeden z aktorów komicznych i może dlatego wydało się Madzi, że panna Klara jest w tej chwili bardzo tragiczna.

– A czy wiesz pani o tej... tej... Joannie?... – ciągnęła dalej panna Howard.

– Wiem, że wczoraj nie chciała ze mną mówić, a dziś nie przywitała się, co mnie zresztą mało obchodzi – odpowiedziała Madzia.

– Wczoraj pani Latter zawiadomiła tę... damę klasową, tę... naszą koleżankę... (ach, wstrząsa się cała moja istota!...), że od pierwszego lutego nie będzie mieć miejsca na pensji... Naturalnie, zapłaci jej za cały kwartał...

– Więc to nieprawda o panu Kazimierzu?... – zawołała Madzia rumieniąc się. – Na niego zawsze robią jakieś plotki...

Panna Howard spojrzała majestatycznie i rzekła:

– Idźmy już, bo spieszę się na lekcję... Zdumiewa mnie naiwność pani, panno Magdaleno!...

Ani słówka więcej. I Madzia nie dowiedziała się, o ile niesłusznymi są plotki rozsiewane na pana Kazimierza.

15. Pan Zgierski rozmarzony

Piątego dnia po odwiedzinach Mielnickiego, na kilka minut przed pierwszą, w jadalnym pokoju pani Latter i pod jej osobistym dozorem Stanisław i panna Marta przygotowywali stół do wykwintnego śniadania.

– Śledzie i kawior – mówiła pani Latter – niech panna Marta postawi z tej strony, przy wódce.

– Ostrygi na kredensie? – zapytała gospodyni.

– Ależ gdzież tam. Ostrygi otworzy Stanisław, gdy wejdzie pan Zgierski... Otóż, zapewne i on!

... – dodała pani Latter usłyszawszy dzwonek. – Czy Michał jest w przedpokoju?

Wyszła do gabinetu, a Stanisław spojrzał na pannę Martę, która spuściła oczy.

– Takiemu to dobrze – mruknął lokaj.

– Tu się nikt nie pyta Stanisława, komu dobrze, a komu źle – odburknęła gospodyni. – Najgorsza rzecz, kiedy służba rozpusza język, bo z tego rodzą się plotki jak pchły z trocin... Stanisław powinien mieć tyle rozumu, ażeby nie wsadzać nosa do cudzego prosa...

– Oj! oj! oj!... – zawołał stary lokaj chwytając się oburącz za głowę i wybiegł z pokoju.

Tymczasem do gabinetu pani Latter wszedł oczekiwany gość, pan Zgierski. Był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, niewysoki, nieco otyły, na którego głowie duża łysina coraz wyraźniej spychała resztkę szpakowatych włosów. Jego ubiór odznaczał się skromną elegancją, a ładna niegdyś twarz wyrazem dobroduszości, której jednak szkodziły niewielkie a ruchliwe czarne oczy.

– Wszak jestem co do minuty? – zawołał gość trzymając zegarek w ręku. Po czym serdecznie uścisnął rękę pani Latter.

– Nie powinna bym się z panem witać – odparła obrzucając go ognistym spojrzeniem. – Trzy miesiące!... Czy pan słyszy: trzy miesiące...

– Czy tylko trzy?... Mnie wydawały się wiekiem!...

– Obłudniku!...

– Więc bądźmy szczerzy – mówił gość z uśmiechem. – Kiedy pani nie widzę, mówię sobie: dobrze tak jest; ale kiedy panią zobaczę, myślę: a przecież tak jest lepiej. Oto powód, dla którego do tej pory nie byłem... Dodajmy, że wyjeżdżałem na święta, na wieś... Nie wybiera się pani na wieś?... – spytał z akcentem.

– Gdzie?... kiedy?...

– A, pani, to szkoda. Gdy jestem na wsi w lecie, mówię sobie: wieś nigdy nie może być piękniejsza; ale teraz przekonałem się, że wieś jest najpiękniejsza – w zimie. To są czary... Pani, to są istne czary!... Ziemia podobna jest do śpiącej królowej z bajki...

Kiedy to mówił Zgierski, na twarzy malowało się tak szczere przekonanie, że prawie można mu było wierzyć, gdyby nie biegające czarne oczki, które wiecznie czegoś szukały i wiecznie pragnęły się z czymś ukryć. Kiedy zaś pani Latter słuchała, można było przypuszczać, że rozpływa się w słuchaniu, gdyby od czasu do czasu w jej marzących oczach nie błysnęła iskierka oznaczająca podejrziwość.

Dla optymisty Zgierski wyglądał na gościa, który przychodzi na śniadanie, a przynosi trochę zdawkowej poezji; pesymiście mógł przedstawić się jako czarny charakter, który rozsnuwa tajemnicze sieci intryg. Pierwszy posądziłby panią Latter o przyjaźń, która lęka się zostać miłością; drugi podejrzewałby ją o brak zaufania, a nawet obawę wobec Zgierskiego.

Lecz kto by mógł chwytać głosy odzywające się w duszach tych ludzi, zdziwiłby się usłyszawszy ich monologi.

„Jestem pewny, że pod pozorami sympatii, lęka się mnie i coś podejrzewa... No, ale to elegancka kobieta...” – mówił do siebie zadowolony Zgierski.

„On myśli, że ja wierzę w jego spryt i chytryść... No, ale potrzebuję pieniędzy...” – mówiła pani Latter.

– Jeżeli będzie pani miała sposobność wyjechać na wieś, a mam przecucie, że tak, niech pani wyjedzie choćby na cały rok, byle zobaczyć wieś w zimie – rzekł Zgierski akcentując pewne wyrazy tonem i spojrzeniami.

– Ja, na wieś?... pan żartuje... A pensja?

– Rozumiem – mówił Zgierski tklawie patrząc jej w oczy – że ma pani wielki obowiązek społeczny. Jak zaś ja to rozumiem, nie potrzebuję tłumaczyć... No, ale mój Boże, każdy człowiek ma trochę praw do osobistego szczęścia, a pani ma więcej aniżeli ktokolwiek inny...

W oczach pani Latter w pierwszej chwili odmalowało się zdziwienie, nawet niepokój. Lecz wnet błysnęło słówko: „rozumiem!...” – a potem wydarł się z piersi krótki wykrzyknik:

– A!...

I pani Latter spojrzała na niego nie ukrywając zdumienia.

– Więc rozumiemy się?... – spytał Zgierski patrząc na nią głęboko. A w duchu dodał:

„Złapała się!...”.

– Jesteś pan straszny człowiek – szepnęła pani Latter dodając w myśli:

„Już go mam!...”.

I spuściła oczy, ażeby ukryć błyskawicę triumfu.

Zgierski patrzył wzrokiem, w którym malowała się chłodna czułość dla niej i niezachwiana wiara w dokładność własnych informacji. Nagle rzekł:

– Zatem mogę zapytać...

Pani Latter zatrzepotała rękoma.

– O nic nie wolno pytać!... Wolno podać mi rękę i zaprowadzić do jadalnego pokoju...

Zgierski stanął z lewej strony, wziął ją za rękę jak w polonezie i patrząc w oczy zaprowadził do jadalnego pokoju...

– Będę milczał – rzekł – w zamian jednak musi mi pani przyrzec...

– Sądzi pan, że kobieta może cokolwiek przyrzekać? – zapytała pani Latter spuszczać oczy.

„Jak ona się łapie!... jak ona się łapie!...” – myślał Zgierski, a głośno dodał:

– Jedno może pani przyrzec, że gdyby zdarzyło się coś przyjemnego dla pani, ja będę pierwszym, który jej powinszuję – *za każdym razem*...

Jednym z większych triumfów, jakie pani Latter odnosiła nad sobą w życiu, był ten, że nie drgnęła, nie zbladła i w ogóle żadnym znakiem nie zdradziła niepokoju, jaki opanował ją w tej chwili. Na szczęście Zgierski tak był pewny siebie, że nie zwracał na nią uwagi, ale myślał tylko o tym, ażeby pokazać, jak dalece jest wszytkowiedzącym.

– Za każdym razem – mówił z naciskiem – gdziekolwiek spotka panią przyjemność, tu czy we Włoszech, ja będę tym pierwszym, który pani powinszuję...

Byli w pokoju jadalnym. Pani Latter delikatnie usunęła się i rzekła wskazując na stół:

– Pańska ulubiona starka. Proszę pić za gospodarza i za gościa.

Teraz Zgierski spojrzawszy na butelkę zaczął się naprawdę dziwić.

– Ależ to moja starka, którą udało mi się nabyć od księcia...

– Właśnie od księcia Kazio dostał kilka butelek i mnie dał jedną. A ja nie mogłam z niej zrobić lepszego użytku, jak...

Słowom tym towarzyszyło melancholijne spojrzenie.

Zgierski wypił kieliszek milcząc i pragnąc zaznaczyć milczeniem, że chwila jest bardzo uroczystą. Pierwszy jednak kieliszek nasunął mu szereg nowych myśli.

„Jeżeli ona – mówił sobie – wychodzi za Mielnickiego, który jest majątnym człowiekiem, więc – nie ma do mnie żadnego interesu. A jeżeli nie ma interesu, więc... co?... Więc – chyba kocha się we mnie?...”.

I w tej chwili w jego duszy, która była mieszaniną najniezgodniejszych pierwiastków, obudziła się potrzeba szczerości.

– Śledzie są wyborne!... – mówił. – Kawior... kawior jest wyższym nad sam podziw! Czy może być coś wyższego nad podziw? – zapytał badając spojrzeniem, czy pani Latter zrozumiała jego słówko. I poznał, że zrozumiała.

– Panie Stefanie – rzekła pani Latter – nie widziałam, ażeby pan pił za gościa...

– Więc ja ten kieliszek tej wybornej starki piłem w imieniu?...

– Chyba... w imieniu gospodarza – wtrąciła pani Latter patrząc na obrus.

– Pani!... – odparł spoglądając na nią z wyrazem przyjaźni, która mocno zahaczała o miłość i – nalewając drugi kieliszek. – Pani – mówił zniżonym głosem – teraz piję jako gość... Jako gość, który umie milczeć nawet wówczas, gdy jego serce chciałoby... Powiedziałbym: zapłakać, lecz powiem: zawołać... Pani, jeżeli jest to potrzebne do twego szczęścia i spokoju, pozwól mi, ażebym taki sam kielich wypił... za jakieś wspólne zdrowie... choćby nad brzegami Buga... Skończyłem.

Postawił wypity kieliszek i usiadł opierając głowę na rękę.

W tej chwili wszedł Stanisław z tacą pełną ostryg na lodzie.

– Co?... – zawołał Zgierski. – Ostrygi?

Zasłonił ręką oczy jak człowiek głęboko wzruszony i myślał: „Więc ona, wychodząc za mąż, daje mi do zrozumienia, że kocha się we mnie... Jest to bardzo przyjemne, ale i bardzo... Nie niebezpieczne, tylko... trudne... Wolałbym, ażeby miała o dwadzieścia lat mniej...”.

Rzucił się do ostryg i jadł szybko, w milczeniu, wciskając dramatycznymi ruchami dużo cytryny, jak człowiek, który cierpi, lecz chce pokazać, że mu wszystko jedno.

– Panie Stefanie – odezwała się pani Latter omdlewającym głosem – mamy wprowadzić chablis...

– Spostrzegłem to – odparł Zgierski, który po drugim kieliszku starki czuł potrzebę dowiedzenia, że odznacza się piekielną przenikliwością.

– Ale może by pan spróbował tego wina...

Nalała mu kieliszek. Skosztował i spojrzał na nią prawie surowo.

– Pani – rzekł – tak niezwykle omszoną butelkę musiałem spostrzec od razu... Pani pojmuje... Lecz w tej chwili przekonywam się, że takiego wina nie mogła wybrać kobieta...

– Jest to prezent pana... pana Mielnickiego, wuja i opiekuna jednej z moich uczennic – odpowiedziała pani Latter spuszczać oczy.

– Pani życzy sobie, ażebym pił to wino? – uroczyście zapytał Zgierski.

– Ależ proszę pana.

– Ażebym pił z kielicha pana Mielnickiego, który zresztą może być człowiekiem najgodniejszym szacunku...

Milczenie. Lecz w tej chwili Zgierski uczuł, że jego nogę dotyka inna noga.

„Mógłbym sądzić, że ma do mnie jakiś ważny interes – pomyślał wypijając dwa kieliszki wina jeden po drugim. – Ale jeżeli wychodzi za tak majątnego człowieka, jak Mielnicki...”.

Zgierski zamienił się w posąg; nie przysuwał ani też odsuwał swojej nogi, tylko wypił trzeci kieliszek wina, zjadł jakąś rybę, wypił czwarty kieliszek, zaczął jeść jakieś mięso i całkiem zapomniawszy o pani Latter cofnął się pamięcią w odległą przeszłość.

Marzył, że kiedy z górą przed trzydziestoma laty ktoś trącił go w nogę pod stołem, zdawało mu się, że uderzył piorun i – zupełnie stracił przytomność, a nawet bodaj czy nie upuścił widelca. Gdy ten sam wypadek powtórzył się przed dwudziestoma laty, Zgierski był wprowadzić mniej wstrząśnięty, ale czuł, że otwiera się nad nim niebo. Gdy spotkało go to przed dziesięcioma laty, nie widział już ani piorunów, ani nieba otwierającego się nad głową, ale jeszcze napełniły go najpiękniejsze ziemskie nadzieje.

Dzisiaj zaś pomyślał, że jednak – znajduje się w kłopotliwej i pozycji. Bo jak tu nie być w kłopotcie w jego wieku wobec namiętnej kobiety?...

Spuścił oczy, jadł za trzech, a pił za czterech, przy czym jego wielka łysina okryła się kroplistym potem.

„Ten Mielnicki ma chyba ze sześćdziesiąt lat – myślał – i porywa się... Nie ma to, jak mieszkać na wsi!...”.

Śniadanie skończyło się, Zgierski był rozmarzony, zakłopotany, nawet zawstydzony; pani Latter zupełnie spokojna.

– Upiłem się – rzekł przy czarnej kawie i doskonałym koniaku.

– Pan?... – uśmiechnęła się pani Latter. – Mam lepsze wyobrażenie o sile pańskiej głowy.

– No, tak... Nie wiem, ażebym kiedykolwiek stracił przytomność, ale trunki były rzeczywiście mocne... Mogły rozmarzyć...

– Na nieszczęście pan nawet w marzeniach nie zapominasz się – odparła z odcieniem goryczy pani Latter. – Okropni są ludzie zawsze logiczni...

Zgierski smutnie kiwnął głową jak człowiek, który choćby nie chciał, musi dźwigać brzemie żelaznej logiczności i – podał gospodyni rękę. Przeszli do gabinetu, gdzie pani Latter wskazała mu pudełko cygar, a sama zapaliła świecę.

– Pyszne cygara! – westchnął Zgierski. – Czy... czy wolno prosić jeszcze o filiżankę kawy?...

W tej chwili wszedł Stanisław niosąc na tacy srebrny maszynkę, butelkę koniaku i filiżanki.

– Pan myśli, że po trzechmiesięcznym niewidzeniu zapomniałam o jego upodobaniach? – rzekła z uśmiechem pani Latter nalewając kawę.

Potem podsunęła koniak.

Czarne oczki Zgierskiego już nie biegały niespokojnie: jedno bowiem usiłowało pójść na prawo, drugie na lewo, a ich właściciel zadawał sobie niemałą fatywę, ażeby utrzymać je w linii prostej. Pani Latter spostrzegła to, sama wypiła jednym tchem kieliszek koniaku i nagle odezwała się:

– A propos... Chociaż to jeszcze nie luty, pozwoli pan, że uregulujemy nasz rachunek...

Zgierski cofnął się, jakby mu na głowę wylano strumień wody.

– Przepraszam panią, ale... jaki rachunek?...

– Trzysta rubli za następne półrocze.

Oślupiał i błysnęła mu myśl, że to on, on z całym swoim sprytem i piekielną zręcznością, pada ofiarą intrygi osnutej przez kobietę!... Potem przypomniał sobie dawny aforyzm, że najprzebieglejszego mężczyznę może wyprowadzić w pole najzwyczajniejsza kobieta, i nareszcie – zmieszał się.

– Zdaje mi się... – mówił – zdaje mi się...

Ale wyrazy więzły mu w gardle, a myśli w głowie.

Czuł, że wpada w pułapkę, którą zna doskonale, lecz która w tej chwili nie przedstawia mu się dosyć jasno.

„Anemia mózgowa!...” – rzekł do siebie i dla odegnania jej wypił nowy kieliszek koniaku.

16. Pan Zgierski praktyczny

Lekarstwo było skuteczne. Zgierski bowiem nie tylko odzyskał energię w myślach, ale poczuł chęć do stoczenia utarczki z panią Latter. Ona chciała go czymś zaskoczyć?... Doskonale! Teraz on pokaże, że zaskoczyć się nie da, gdyż zawsze i wszędzie panuje nad sytuacją.

– Ponieważ – zaczął z uśmiechem – pragnie pani mówić o interesach (ja sądziłem, że między nami nie ma nic pilnego!...), więc mówmy systematycznie. Nie dlatego, broń Boże, abym kładł jakiś nacisk, gdyż między nami... Ale oboje przywykliśmy do zwięzłości..

– Naturalnie – wtrąciła pani Latter – o pieniądzach musimy mówić jak finansiści.

– Pojmuję panią i pani mnie... Otóż mam u pani drobny depozyt, o którym między nami wspominać by nie warto, gdyby nie obustronne zamiłowanie porządku w rachunkach i zwięzłości w umowach... Depozyt ten, pięć tysięcy rubli, zostaje u pani z roku na rok... no, tak... Ale w połowie sierpnia roku zeszłego wspomniałem, owszem, nawet wyraźnie sformułowałem zamiar podniesienia tej sumki w lutym roku bieżącego... Nie mogę zatem przyjmować procentu za następne półrocze.

– A jeżeli ja uprę się i nie oddam panu w lutym, co mi pan zrobi? – zapytała pani Latter śmiejąc się.

– Naturalnie że zostawię pani sumkę do połowy lipca – odparł z ukłonem Zgierski. – Za to w lipcu stanowczo mieć ją muszę, gdyż inaczej grozi mi nieprzyjemność, na którą pani, o ile ją znam, nigdy by nie zezwoliła.

– Ależ rozumie się...

– Jestem tego pewny i nawet przypominam sobie (co obudziło we mnie najwyższą cześć i podziw) słowa pani: „Choćbym miała sprzedać wszystkie meble własne i szkolne, zwrócę panu pięć tysięcy rubli na termin...”.

– Nawet według naszej umowy wszystkie one już należą do pana – dodała pani Latter.

Zgierski machnął ręką.

– Czysta formalność, oparta na wyraźnym żądaniu pani... której dopełniłbym tylko w wypadku, gdyby ta kombinacja była dla pani korzystną.

– Więc pięć tysięcy rubli zostawia mi pan do połowy lipca? – rzekła pani Latter.

– Tak jest. Dopiero w tym terminie zawiśnie mi nad głową miecz Damoklesa... Czy pani da wiarę, iż mogą mi zlicytować meble?...

Pani Latter nalała mu nowy kieliszek.

– Proszę pana – zaczęła po chwili – a gdybym w ciągu tego lub przyszłego miesiąca zapotrzebowała jeszcze... – czterech tysięcy rubli także do połowy lipca?...

– Gdzież znowu... Nieprawdopodobne... – odparł Zgierski wzruszając ramionami.

– Owszem, jest to możliwe, gdyż bardzo wiele uczennic zapłaci mi dopiero w końcu czerwca. Zgierski zamyślił się.

– A to ma pani kłopot... – rzekł. – Żałuję, że umieściłem wszystkie moje fundusze w akcjach cukrowni... No, żałuję!... tak się mówi... Pani wie, że teraz cukrownie dają osiemnaście i dwadzieścia procent dywidendy?... Gdyby nie to, musiałbym się dobrze kurczyć... Więc naturalnie nie tego żałuję, że mam akcje, ale... że nie mogę służyć pani na tak krótki termin...

Pani Latter zarumieniła się.

– Szkoda – rzekła.

Zgierski dokończył kieliszka i uczuł niepokonaną chęć zaimponowania swymi informacjami.

– Jestem pewny – zaczął – że nie posadza mnie pani o brak chęci służenia jej. Bo pomijam głęboką życzliwość, o której nie mówi się przy rachunkach, a której posiadaniem dla pani słusznie się szczycę... Pomijam to, gdyż choćbym był najbardziej interesownym człowiekiem, to przecież wiem, że pani, mówiąc językiem finansowym, stanowi dobrą hipotekę... Proszę pani, mówmy szczerze... Już sam Mielnicki daje duże gwarancje, a taki Solski... mój Boże!...

Zgierski westchnął, pani Latter spuściła oczy.

– Nie rozumiem pana... i nie chcę rozumieć... – dodała zniżonym głosem. – Nawet proszę pana, ażeby tych kwestyj nie poruszał...

– Pojmuję i uwielbiam delikatność pani, ale... Cóżemy winni, że Mielnicki na prawo i na lewo skarży się, iż dostał odkosza, opowiadając przy tym o swej miłości dla pani. Czemu zresztą nikt się nie dziwi, a ja najmniej... – dodał z westchnieniem.

– Mielnicki jest oryginał – uśmiechnęła się pani Latter. – Ale pan Solski niczym, ale to niczym nie upoważniał... i przyznam się panu, że ta wieść obraża mnie...

– A jednak ta wieść przysła z Rzymu, gdzie mieszka kilka polskich rodzin, które już dostrzegły, że pan Stefan zajął się panną Heleną.

– Nic, ale to nic o tym nie wiem – rzekła pani Latter. – Pokazuje się, że nasza pensja jest fortecą, do której wieści nie dochodzą.

– Hum! – mruknął Zgierski. – Musiały jednak dojść, i to z dobrego źródła, skoro zaniepokoiły pana Dębickiego...

– Dębickiego?... – powtórzyła zdumiona pani Latter.

– To jest tylko moje przypuszczenie – pośpieszył dodać pan Zgierski – lecz mówię o nim przez przyjaźń dla pani...

Pani Latter dziwiła się coraz więcej.

– Widzi pani, jak dobrze jest mieć przyjaciół, którzy umieją obserwować... Pan Dębicki, jak wiadomo, od dawna zna się z panem Solskim, a stosunki ich zacieśniają się jeszcze mocniej, ponieważ pan Dębicki obejmuje zarząd nad biblioteką Solskich...

– Nic o tym nie wiem... – wtrąciła pani Latter.

– Za to ja wiem i czuвам – odparł Zgierski z uśmiechem. – Wiem również, że pan Dębicki otrzymał kiedyś ostrą admonicję od panny Heleny.

– Ach, przy tej nieszczęsnej algebrze!...

– Otóż to. Mam więc prawo przypuszczać, że pan Dębicki nie żywi zbyt sympatycznych uczuć dla panny Heleny i może nierad by zostać jej oficjalistą... Widzi pani, z drobiazgów składają się duże wypadki...

– Jeszcze nic nie rozumiem.

– Zaraz pani zrozumie. Otóż w parę dni potem, kiedy mnie doszła wieść o zabiegach pana Solskiego około panny Heleny, jeden z moich przyjaciół wspominał mi, że pan Dębicki wypytywał go...

– O co?

– Ani mniej, ani więcej tylko o wysokość kwoty, jaką złożyłem u pani, a nawet... o wysokość procentu... Przyzna pani, że ta troskliwość byłaby dziwną ze strony pana Dębickiego, gdybyśmy nie mieli prawa zaliczać go do partii nam nieprzychylniej.

– Jaki niegodziwiec! – wybuchnęła pani Latter. – Ale cóż to znowu za partia nieprzychylna? ... Przestrasza mnie pan...

– Nie ma się czego lękać, gdyż są to rzeczy naturalne – mówił Zgierski. – Znamy przysłowie: zazdrość towarzyszy powodzeniu jak cień światłu... Więc jedni (przepraszam, ale mówimy otwarcie? ...), jedni czy jedne zazdroszczą pani – Mielnickiego... Innym – pensja pani może być solą w oku... Ale panny Malinowskiej nie zaliczam do nich...

– Pan zna Malinowską?... – zapytała pani Latter opuszczając ręce na fotel.

– Tak. Jest to dobra kobieta i jej niech pani nie zalicza do nieprzychylnych. Ale o tym kiedy indziej... Dalej, są tacy i takie, które zazdroszczą pannie Helenie Solskiego, a nareszcie i tacy, którzy patrzą przez mikroskop na drobne usterki pana Kazimierza.

– Cóż mają do niego? – szepnęła pani Latter przymykając oczy, bo czuła, że wobec ogromu informacji Zgierskiego zaczyna się jej w głowie kręcić.

– Nic wielkiego!... – odparł Zgierski chwiejąc się, jakby pragnął w równowadze utrzymać głowę. – Zarzucają panu Kazimierzowi... to jest nie tyle zarzucają, ile dziwią się, a właściwie...

– Panie Zgierski... panie Stefanie, mów pan po prostu!... – zawołała pani Latter składając ręce.

– Mam mówić krótko i węzłowato?... To mi się podoba... To jest w stylu pani...

– A więc?

– A więc?... Aha!... no tak... – powtarzał Zgierski usiłując skupić uwagę. – Dziwią się tedy, że syn pani... to jest – szanowny i utalentowany pan Kazimierz, nie ma dotychczas określonego zajęcia.

– Kazio wkrótce wyjeżdża za granicę – odparła pani Latter.

– Rozumiem, do pana Solskiego.

– Do uniwersytetu.

– Ach, tak! – potwierdził Zgierski. – Dalej, zarzucają panu Kazimierzowi miłostki... No, miłość, pojmuje pani... światło życia, kwiat duszy... Ja – dodał z głupowatym uśmiechem – najmniej powinien bym oburzać się na miłostki młodych ludzi... Pojmuje mnie pani... Na nieszczęście pan Kazimierz zaangażował trochę pensję...

– Tej panny już nie ma u nas – wtrąciła surowo pani Latter.

– Zawsze uwielbiałem takt pani – rzekł Zgierski i pocałował ją w rękę. – Co zaś do innych zarzutów...

– Jeszcze?...

Zgierski machnął ręką.

– Wspominać nie warto! – mówił. – Gorszą się tym, że pan Kazimierz trochę gra...

– Jak to?...

– No tak... – dodał pokazując rękoma tasowanie kart. – Ale, proszę pani, on gra tak szczęśliwie, że można być o niego spokojnym. Przed świętami pożyczył ode mnie pięćdziesiąt rubli na tydzień (mając do spłacenia jakiś dłużek honorowy), a oddał w trzy dni i jeszcze zaprosił mnie na śniadanie...

Pani Latter opadły ręce.

– Mój syn – rzekła – mój syn gra w karty?... To kłamstwo!...

– Sam widziałem... Ale gra rozsądnie i w tak wybornych towarzystwach...

Rysy pani Latter zmieniły się w sposób nieprzyjemny: była prawie brzydka.

– Zrobiłem pani przykrość? – zapytał Zgierski bolejącym tonem.

– O nie. Tylko... ponieważ wiem, co to jest gra w karty...

– Zapewne świętej pamięci drugi mąż pani?... – wtrącił pobożnie Zgierski.

Pani Latter zerwała się z kanapki.

– Nie pozwolę memu synowi grać!... – zawołała podnosząc zaciśniętą pięść. – Kocham go, jak tylko matka może kochać jedynaka, ale... wyrzekłabym się go...

Rozbiegnięte oczy Zgierskiego skoncentrowały się. Ujął panią Latter za obie ręce, posadził i rzekł innym tonem:

– Doskonale!... wygraliśmy!... Teraz możemy pogadać o interesach.

– O interesach?... – powtórzyła zdziwiona.

– Tak. Proszę o kilka minut cierpliwości... Akcje cukrowni, pojmuje pani, moje akcje można przecie zastawić, ponieważ (jak powiedziałem) pani stanowi doskonałą hipotekę... Pani i panna Helena... Taki Mielnicki jest człowiekiem majątnym, a taki Solski... O nim nie ma co mówić.

– Proszę nie wspominać tych nazwisk.

– Hum!... A jednak wołałbym o nich usłyszeć od samej pani... Pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do połowy lipca, rozumiem to i mogę zastawić moje akcje... Ale – muszę mieć pewność, *poza obrobem pensji*...

– Dlaczego? – zdziwiła się pani Latter.

– Mój Boże, dlatego że pensja z powodu różnych okoliczności, jakie się w niej wydarzyły, prawie nic nie jest warta. Wybacz pani szczerłość?... Czysty dochód z pensji już w zeszłym roku zmniejszył się, a dziś zapewne spadł do zera. Tymczasem pan Kazimierz ciągle potrzebuje pieniędzy,

zwyczajnie jak młody człowiek... Przed chwilą jednak poznałem, że z synem da sobie pani radę, co jest rzeczą bardzo ważną... No, ale choćby pan Kazimierz wziął się do jakiego zajęcia czy też w inny sposób miał być zabezpieczony, to jeszcze nie wszystko... Zmniejszą się wydatki, lecz dochody nie wzrosną...

– Nic, ale to nic nie rozumiem – wtrąciła zirytowana pani Latter.

– Szkoda! szkoda!... – szepnął.

Oparł głowę na rękę i zasłonił oczy. Zdawało mu się, że pokój krąży... To jest nie krąży, ale waha się w lewo i w prawo. Ale właśnie to odkrycie spotęgowało w nim odwagę i szczerość.

– Proszę pani – rzekł patrząc na nią – pojmuję delikatność pani... Rozumiem, że kobieta szlachetna nie może odpowiadać na pewne pytania, osobliwie, gdy są postawione w niewłaściwym czasie... Z drugiej zaś strony, pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do lipca, które ja mogę mieć, ale... ja potrzebuję pewności!... Już i tak pan Dębicki dowiaduje się: ile biorę od pani procentu od pięciu tysięcy, i gotów nazwać mnie lichwiarzem za to, że biorę dwanaście. Tymczasem mój kapitałik jest tak mały, a wydatki tak raz na zawsze określone, że przy mniejszym procencie nie mógłbym istnieć...

– Do czego to prowadzi, panie Zgierski?

– Proszę pani, do... pożyczania czterech tysięcy rubli, ale... z pewnymi gwarancjami. Rozumiem, że pani bardzo może potrzebować pieniędzy dzisiaj, a z całą łatwością zwrócić je w lipcu. Tylko...

– Niech pan mówi wyraźnie, panie Zgierski...

– A jeżeli wyda się to pani szorstkim?...

– W interesach nie chodzi o dobry ton.

– Podziwiam panią! – zawołał Zgierski całując jej rękę. – Więc mogę mówić zwięźle, tak jak gdybym stawiał ultimatum?...

– Ależ proszę.

– Wybornie. Zatem nie będę dotykał kwestii pana Kazimierza, chociaż... jakkolwiek jest to młodzieniec zdolny i sympatyczny, niemniej może bardzo wpłynąć na przyszłe stanowisko pani.

– Cóż to znaczy?...

– To znaczy, że o panu Kazimierzu, zdaje mi się, już coś słyszał pan Mielnicki i... podobno – zamyślił się... – Zapewne zachowanie się pana Kazimierza może oddziaływać i na projekta pana Solskiego... Pojmuje pani?

– Nie, panie.

– Więc będę jeszcze zwięźlejszym – odparł trochę obrażony Zgierski.

– Na to czekam od godziny.

– Cudownie! – uśmiechnął się. – A zatem... będę pani służył czterema tysiącami rubli do lipca, a choćby i do grudnia, jeżeli...

– Znowu waha się pan?

– Już nie. Jeżeli otrzymam od pani bilecik donoszący mi, że albo pani przyjęła pana Mielnickiego, albo pan Solski oświadczył się pannie Helenie.

Pani Latter zacisnęła rękę.

– Bardzo pan ufa mojej przyjaźni dla siebie – rzekła uśmiechając się.

– Bo też tylko przyjacielom mogę służyć w podobnych okolicznościach.

– Wymaga pan, abym powierzała mu tajemnice rodzinne?...

– Ja powierzam pani połowę majątku...

Pani Latter wyciągnęła rękę, którą Zgierski znowu ucałował, i śmiejąc się mówiła:

– Dziwak z pana, ale wybaczam to... Więc jakaż jest konkluzja naszej rozmowy?

– Są dwie – odparł Zgierski. – Zostawiam pani pięć tysięcy rubli do połowy lipca i... mogę dostarczyć jeszcze cztery tysiące rubli, ale...

– Ale?...

– Ale tylko albo przyszłej pani Mielnickiej, albo przyszłej teściowej pana Solskiego.

– Jakąż rolę chce pan odegrać wobec mnie? – zawołała prawie z gniewem pani Latter.
– Sądziłam, że będziemy mówili o bezpieczeństwie pańskich sum, o... procentach, ale nie o małżeństwach, do których pan ciągle powraca.

„Musi być bardzo pewna siebie...” – pomyślał Zgierski. I zrobiwszy minę życzliwą a strapioną odpowiedział:

– Pani!... bo nie śmiem powiedzieć: droga pani... Jaką ja rolę chcę wobec niej odegrać?... Pani, to będzie śmiała, co powiem, ale powiem. Chcę odegrać rolę przyjaciela, który wyprowadza na świat więźnia z jego celi, choć ten opiera się i gniewa...

Pani – dodał całując ją w rękę – nie myśl o mnie źle... W tych czasach przechodzi pani ważną epokę życia, waha się pani, a nie ma doradcy... Otóż – ja będę tym doradcą, nawet egzekutorem, bo jestem pewny, że za pół roku będzie mi pani wdzięczna. Chociaż wdzięczność!... – westchnął.

Nastąpiło milczenie, potem zaczęto mówić o rzeczach obojętnych, ale rozmowa rwała się. Pani Latter była rozdrażniona, Zgierski czuł, że za dużo powiedział i za długo siedzi.

Więc pożegnał gospodynię domu i wyszedł niekontent z siebie. Miał pasję imponować ludziom przebiegłością i rozległymi informacjami, a dziś pragnął wywołać zdumienie w pani Latter i skłonić ją do poufnych zwierzeń. Tymczasem nie!... Milczała jak kamień, a zamiast podziwiać go, wciąż powracała do pieniędzy i procentów, co gniewało Zgierskiego, który wolałby uchodzić za najchytrzejszego demona aniżeli za małego procentowicza.

„Ach, te kobiety... te kobiety!... przewrotne istoty...” – myślał czując, że zrobił krok fałszywy.

Lecz gdy znalazł się na ulicy i owionęło go po wybornych trunkach świeże powietrze, wstąpiła mu w serce otucha.

– Zaraz!... – mówił – o co ja mam do siebie pretensję?... Zastrzegłem zwrot pięciu tysięcy rubli w sposób stanowczy... Cztery tysiące rubli tylko obiecałem... Mam prawo liczyć kiedyś na stosunki z Mielnickim, z Solskim, z Malinowską, a przecie każdy nowy stosunek to jak bilet na loterię; szansa choćby małej wygranej jest... Mój Boże, ja się kontentuję małymi wygranymi, byle było ich dużo! ... A tylko niepotrzebnie wspomniałem o Rzymie, o Dębickim i o kochanym Kaziu... No, ale mam stracić na nim dwieście rubli?... Przecież nie powiedziałem nic, tylko nadmieniłem, że troszeczkę gra i że potrzeba go wysłać za granicę. On mi sam za to podziękuje... Po co ja mówiłem o Rzymie? Najlepsza metoda: dać poznać, że się wie o fakcie, a nie cytować źródła. O, tu zrobiłem błąd...

Jeżeli Zgierski był grzesznikiem, to w każdym razie krążył blisko drogi zbawienia, ponieważ ciągle rachował się ze sobą.

Tymczasem do gabinetu pani Latter, która spacerowała rozgorączkowana, wsunęła się gospodyni, panna Marta.

– Cóż, proszę pani – rzekła z uśmiechem – dobre było śniadanie?

– Tak... dobre... Oto łotr!

– Ten Zgierski? – pochwyciła zawsze ciekawa gospodyni.

– Ach, co tam Zgierski... Ten kochany Dębicki intrygant!...

Panna Marta klasnęła w rękę.

– A co, nie mówiłam?... – zawołała. – Nigdy nie mam zaufania do takich ścichapeków. Niby łagodniutki, spokojniutki, a to nurek!... On nawet, proszę pani, wygląda na intryganta i nie dałabym grosza, że gotów popełnić zbrodnię...

Potok wymowy panny Marty nieco otrzeźwił panią Latter, więc szybko przerwała jej:

– Tylko... proszę tego nie powtarzać nikomu...

– Ach, pani, ach, paniuńciu, za kogo mnie pani bierze?... Jezus Maria, wolałabym język stracić aniżeli powtórzyć to, co mi pani mówi pod sekretem. Cóż to ja?... Ale może by, proszę paniusi, zrobić jakiś ład z tym niegodzijaszem, bo i zakała pensji, i pani życie zatruwa... Gałgan!...

– Proszę cię, panno Marto, żadnych uwag. Idź do siebie i nic nie mów, a najlepiej mi usłużysz.

– Idę i nic nie mówię. Ale nie może mi pani zabronić modlitwy, ażeby taki skonał; bo modlitwa to rozmowa uciśnionej duszy z Bogiem...

Pani Latter znowu została sama – wzburzona.

„Co ja teraz pocznę?... – myślała, szybko chodząc. – Więc pensja nic niewarta i Zgierski już stręczy nabywczyńnię. Przysięgłabym, że ułożył się z nią o swoją sumę! Naturalnie między Solskim i Helenką coś musi być... Dałby Bóg, bo w niej ostatnia nadzieja... Ale jakież niegodziwy ten Dębicki! Teraz rozumiem, dlaczego nie targował się, kiedy mu przeznaczyłam rubla za lekcję... Nędzarz musiał przyjąć, ale mi tego nie zapomniał... Tak, cała nadzieja w Helenie”.

Nad wieczorem panna Howard wciągnęła Madzię do swego pokoju i zatrzasnąwszy drzwi zawołała z triumfem:

– A co, nie mówiłam, że Dębicki jest hultaj?...

– Co znowu?...

– Tak!... Uspokoić się nie mogę po tym, co mi opowiadała Marta. Ale, panno Magdaleno, przyrzeknijmy sobie, że go tu nie będzie...

– Co on zrobił? – zapytała zdziwiona Madzia.

– Wszystko, do czego taki człowiek jest zdolny... O, ja nigdy nie mylę się, panno Magdaleno... Romanowicz zupełnie co innego, to profesor nauk przyrodniczych: energiczny, postępowy, no i elegancki... Widziałam go niedawno u Malinowskiej i powiem pani, że przedstawił mi się zupełnie w nowym świetle. On rozumie, czego potrzeba kobietom. O, my musimy dużo zmienić na pensji, a nade wszystko – uratować panią Latter.

– Czy tylko nie myli się pani? – rzekła Madzia, błagalnie patrząc na pannę Howard.

– Co do tego, że interesa pani Latter idą źle? – odparła z uśmiechem panna Howard.

– Nie, ale co do Dębickiego?... – mówiła Madzia z żalem.

– Pani zawsze będzie nieuleczoną idealistką... Pani gotowa by wątpić o winie zbrodniarza schwytanego na gorącym uczynku...

– Ależ, co on zrobił, proszę pani?

Panna Howard zastanowiła się.

„Co on zrobił?... co zrobił?...” – powtarzała w duchu, nie mogąc pojąć, że ktoś nie potępia człowieka, do którego ona ma wstręt. Potem dodała głośno:

– Przyznam się pani, że bliższych szczegółów nie wiem. Ale panna Marta mówiła mi, że pani Latter jest tak oburzona na Dębickiego, tak... rozżalona, tak... pogardza nim, iż trudno przypuścić, ażeby i jej ten człowiek nie dokuczył.

– Proszę pani, komuż on dokucza?... – nalegała Madzia hamując łzy.

„Komu on dokucza?” – pomyślała panna Klara. A nie mogąc znaleźć odpowiedzi wpadła w gniew.

– Można by myśleć, że masz pani do niego słabość, panno Magdaleno!... – zawołała. – Jak to, więc nie budzi w pani odrazy ta nalana twarz, te baranie oczy, ten zagadkowy uśmieszek, z jakim przemawia choćby do mnie?... Wierz mi, pani, że jest to impertynent... i niedołęga!...

Odwróciła się od Madzi, zmieszana i rozdrażniona. Właściwie nic złego nie wiedziała o Dębickim i to gniewało ją najwięcej.

Madzia posmutniała i zabierała się do odejścia.

– Ale... ale... panno Magdaleno, pani nie zna Malinowskiej?... Musimy jednak u niej być i koniecznie skłonić, ażeby weszła do spółki z panią Latter. Muszę ocalić panią Latter, przysięgam sobie, szczególnie za to, że wydalila Joannę... Nieznośna dziewczyna!...

– Ja także chciałabym dopomóc pani Latter, jeżeli potrafię, ale cóż mogę zrobić u panny Malinowskiej?

– Ja zrobię. Już ją przygotowuję, ale ona jeszcze opiera się. Jeżeli więc pani pójdzie do niej ze mną, przekonamy ją, że cała pensja życzy sobie zatrzymać panią Latter, no i Malinowska ustąpi.

Madzia opuściła mieszkanie panny Howard, pełna przykrych myśli: zaczęła wątpić o jej wielkim rozumie i sprawiedliwości.

„Co jej się zdaje? – mówiła w duchu – co ja mogę znaczyć wobec panny Malinowskiej, ja, biedna dama klasowa? A choćbyśmy wszystkie tam poszły, czyliż potrafimy skłonić ją do zawarcia spółki z panią Latter?... Nie wiem zresztą, czy sama pani Latter życzyłaby sobie tego.

A znowu z Dębickim nieszczęście!... Co one chcą od niego?... Przecież gdyby to był zły człowiek, nie kochałby go tak pan Solski ani Ada...”.

Po kolacji wszystkie damy klasowe szeptały między sobą o Dębickim, postanawiając albo nie rozmawiać z nim, albo witać go zimno. Madzię tak rozdrażnił ich bezprzyczynowy gniew na niewinnego człowieka, że pod pozorem pisania listów usunęła się za swój parawanik, niechętnie odpowiadając uczennicom, które zasypywały ją pytaniami. Czuła coraz silniej, że na pensji dzieje się coś niedobrego, ale nie mogła sformułować, w czym leży zło i co grozi.

17. Pierwszy uścisk

W następną sobotę przypadał koniec stycznia. Dzień ten głęboko zapisał się w pamięci Magdaleny.

Około jedenastej z rana, kiedy uczennice siedziały w klasach, z jednej sypialni usunięto rzeczy panny Joanny i wyniesiono tylnymi schodami na wóz, który czekał pod oficyną kryjąc się przed spojrzeniami ciekawych. Panna Joanna, blada, ale z podniesioną głową, sama spakowała się i sama dyrgowała tragarzami.

Kiedy wszystko wyniesiono i panna Joanna włożyła kapelusz i okrycie, weszła do sypialni Madzia z listem od pani Latter. Joanna wyrwała z jej ręki list patrząc w oczy z zuchwałym uśmiechem.

– Nie żegnasz się z nikim, Joasiu? – zapytała Madzia.

– Z kim? – odparła szorstko. – Czy z panią Latter, która mi przysłała pieniądze przez... przez moje eks-koleżanki, czy z tą wariatką Howardówną?...

– I nikogo ci nie żal?

– Wszystkie jesteście głupie! – zawołała Joanna – a najgłupsza Howardówna... Apostołka samodzielności kobiet, cha! cha!... Ta kobieta ma chorągiewkę w głowie: niedawno mnie uwielbiała, potem zaczęła kopać dołki pode mną, a teraz udaje, że mnie nie zna...

– Bo po co wydobyłaś ten nieszczęśliwy list! – szepnęła Madzia.

– Tak mi się podobało!... Nie pozwolę, ażeby ktokolwiek mnie krzywdził!... A nie mszczę się nad Howardówną, bo wiem, że ta wariatka dokuczy wszystkim i sama się zgubi... Zgubi pensję i Latterową.

To powiedziawszy panna Joanna wyszła z gniewem na korytarz, ostentacyjnie usuwając się od Madzi.

– I ze mną nie żegnasz się? – spytała Madzia.

– Bo wszystkie jesteście głupie! – zawołała wybuchając płaczem.

Prędko przebiegła przez korytarz i znikła na bocznych schodach, skąd jeszcze parę razy doleciało jej spazmatyczne szlochanie.

O piątej po południu w kancelarii na drugim piętrze miała odbyć się sesja miesięczna. Ponieważ profesorowie czekali, a pani Latter jeszcze nie przyszła, więc panna Howard szepnęła Madzi, ażeby przypomniiała o tym przełożonej.

Madzia zbiegłszy na pierwsze piętro weszła do gabinetu, lecz pani Latter nie było. Zajrzała do dalszych pokoi i spotkała – pana Kazimierza. Był wzburzony, ale piękny.

– Pani Latter nie ma?... – zapytała zmieszana Madzia.

– Poszła mama na sesję – odparł. A widząc, że zarumieniona Madzia chce odejść, chwycił ją za rękę i rzekł:

– Proszę o chwilkę rozmowy, panno Magdaleno. Przecież pani nie należy do sesji.

Madzia tak zlekła się, że nie mogła wydobyć głosu. Bała się pana Kazimierza, ale nie miała siły opierać się jego życzeniu.

– Chcę z panią pogadać o mojej matce, panno Magdaleno...

– Ach, tak!... – i Madzia odetchnęła.

– Niech pani siądzie, panno Magdaleno.

Usiadła, bojaźliwie patrząc mu w oczy.

– Mam do pani dwie prośby. Czy zechce pani je spełnić?... Niech się pani nie lęka: obie dotyczą mojej matki.

– Wszystko jestem gotowa zrobić dla pani Latter – szepnęła Madzia.

– Ale nic dla jej syna – wtrącił Kazimierz z gorzkim uśmiechem. – Mniejsza o mnie – dodał.

– Czy pani nie spostrzegła, że moja matka od pewnego czasu jest bardzo... rozdrażniona?...

– Uważamy to wszyscy – odparła po chwili wahania.

– Oczywiście jedno z dwojga: albo matka ma kłopoty, o których nie wiem, albo... grozi jej ciężka choroba – dokończył ciszej, zasłaniając twarz ręką. – Cóż pani o tym sądzi?... – zapytał nagle.

– Ja sądzę, że... może kłopoty...

– Ale jakie?... Przecie ubytek kilku uczennic nic nie znaczy dla pensji... Więc co?... Helenka wyjechała za granicę i o nią chyba matka nie potrzebuje się troszczyć... Ona da sobie radę!... – zawołał z uśmiechem. – Cóż więc pozostaje?... Chyba ja?... No, ale ja także jestem gotów wyjechać i nie wiem, dlaczego mama ociąga się...

Madzia spuściła oczy.

– Doprawdy, że niepokoję się matką – ciągnął pan Kazimierz tonem raczej gniewnym aniżeli zmartwionym. – Jest zdenerwowana, nawet w stosunkach ze mną, a o kuracji nie pozwala sobie mówić... Przy tym zachodzi w niej jakaś zmiana. O ile sięgam pamięcią, zawsze zachęcała mnie do zrobienia wyższej kariery, no i ja robię ją, mam znajomości... Tymczasem dziś, kiedy powinien bym jechać, mama wypaliła mi takie kazanie o pracy i zarobkach, że przestraszyłem się... A co mnie najwięcej niepokoi, że wszystkie morały prawila mi tonem szyderczym... jakaś podniecona... śmiejąc się...

– Czy pani nie dostrzegła zmiany w zwyczajach mojej matki?... Czy... na przykład... nie uważa pani, ażeby matka... ażeby matka... zażywała eter?... Eterem posługują się niekiedy do uśmierzania bólów newralgicznych... Zresztą – ja nic nie rozumiem...

Rozpaczliwym ruchem objął się rękoma za głowę, ale na jego twarzy widać było tylko rozdrażnienie.

– Proszę, niech pani nikomu nie wspomina, że mówiłem o eterze, bo mogę się mylić... Ale proszę... niech pani daje baczność na mamę, panno Magdaleno – dodał ujmując jej rękę i błagalnie patrząc w oczy. – Doprawdy, że uważam panią za osobę najbliższą nam, jakby drugą córkę mojej matki... I gdyby pani coś dostrzegła, niech zawiadomi mnie o tym, gdziekolwiek będę: tu czy za granicą... Zrobi to pani?... – pytał tonem smutnym i pieśczośliwym.

– Tak... – odpowiedziała cicho Madzia, którą przebiegały dreszcze na dźwięk głosu pana Kazimierza.

– A teraz druga prośba. Niech pani napisze list do Helenki w tym guście, że mama jest rozdrażniona, że na pensji wszystko idzie źle... I niech pani jeszcze doda tonem żartobliwym, że Warszawa dużo mówi o jej zabawach i kokieterii. Szczególna dziewczyna, powiadam pani... Chce podobać się Solskiemu, a bałamuci innych! Dobra to metoda, ale nie z każdym... Solski jest partią zbyt poważną, ażeby godziło się zrażać go lekkomyślnym postępowaniem.

Madzia z niepokojem spojrzała na pana Kazimierza. Przyszły jej na myśl obawy Ady.

– Więc robi pani, o co prosiłem?... – To dla mojej matki, panno Magdaleno... – mówił.

– Tak... Chociaż ja nie mogę pisać do Heli o panu Solskim...

Wyraz niecierpliwości przebiegł po pięknym obliczu pana Kazimierza, lecz w jednej chwili zniknął.

– Dobrze, więc mniejsza o Solskiego – rzekł. – Ale za to będzie pani pisywać do mnie za granicę o zdrowiu matki?...

– Napiszę, gdyby zaszło coś ważnego.

– Tylko w takim razie?... Ha, cóż robić, dziękuję i za to...

Znowu ujął rękę Madzi i złożył na niej długi pocałunek spoglądając w oczy.

Madzia zaczęła drżeć, lecz nie była w stanie cofnąć ręki. Pan Kazimierz pocałował ją drugi i trzeci raz, coraz przeciąglej i coraz namiętniej. Lecz gdy wziął za drugą rękę, wyrwała mu obie.

– To niepotrzebne – rzekła wzburzona. – Kiedy chodzi o zdrowie pani Latter, mogę pisać nawet do pana...

– Nawet... do mnie!... – powtórzył pan Kazimierz zrywając się z krzesła. – Ach, jakaż pani nielitościwa!... Jednak musi pani przyznać – dodał z uśmiechem – że wygrałem zakład: pocałowałem panią w rączkę, choć dopiero w kilka miesięcy później, aniżeli zapowiedziałem...

Teraz Madzia przypomniła sobie spór, jaki przeprowadzili w październiku wobec Helenki.

– Ach! – zawołała zmienionym głosem – więc dlatego rozmawiał pan ze mną o swojej matce? ... Jest to dowcipne, ale... nie wiem, czy szlachetne...

Nie mogła się pohamować i lzy stoczyły się po jej twarzy.

Chciała wyjść, ale pan Kazimierz zastąpił jej drogę mówiąc z uśmiechem:

– Panno Magdaleno, na miłość boską, niech się pani na mnie nie obraża!... Czyli nie czuje pani w moim postępowaniu tego szubienicznego humoru, który napada ludzi zrozpaczonych?... Nie umiem pani opowiedzieć, co się ze mną dzieje... Lękam się jakiejś katastrofy z matką czy Helą... nie wiem... i jestem tak nieszczęśliwy, że już drwię z samego siebie... Pani mi przebacza, prawda? ... Bo ja panią uważam za drugą siostrę, lepszą i rozumniejszą od tamtej... A pani chyba wie, że bracia niekiedy lubią dokuczać siostronom... No, nie gniewa się pani?... Ma pani trochę litości nade mną?... Zapomni pani o moim szaleństwie?... Wszakże tak?...

– Tak... – szepnęła Madzia.

Schwycił ją znowu za rękę, ale Madzia wyrwała mu się i uciekła.

Pan Kazimierz został sam na środku pokoju i położywszy palec na ustach myślał:

„Ma dziewczyna temperament.... Jakie dziwne te kobiety... każda bestyjka inna!... Szkoda, że wyjeżdżam... No, ale przecież nie na wieki...”.

Madzia pobiegła do sypialni, ukryła się za parawanem i cały wieczór przeleżała z głową wciśniętą w poduszki. Gdy przyszły pensjonarki zapytując, co jej jest, miała twarz rozpaloną, błyszczące oczy i narzekała na silny ból głowy. Nie rozumiała, co się z nią dzieje; była obrażona, zawstydzona, lecz szczęśliwa.

Nazajutrz w niedzielę o pierwszej panna Howard zaproponowała Madzi spacer na wystawę. Lecz gdy wyszły na ulicę, rzekła:

– Pani myśli, że naprawdę idziemy na wystawę?

– Więc gdzie?... – zapytała z przestrachem Madzia lękając się usłyszeć nazwisko pana Kazimierza.

– Idziemy do Malinowskiej – odparła panna Howard. – Trzeba to raz skończyć... Wczoraj na sesji ostatecznie przekonałam się, że pani Latter nie ma już ani pomysłów, ani energii... Robi wrażenie osoby rozbitej... Muszę ją ratować...

Panna Malinowska mieszkała z matką w okolicach ulicy Marszałkowskiej i zajmowała trzy pokoje na trzecim piętrze. Matka gospodarowała, ona po całych dniach odbywała lekcje z przychodzącymi panienkami.

Kiedy panna Howard i Madzia weszły do jej pokoju, zastały ją nad wypracowaniami uczennic. Przerwała robotę i przywitała się z Madzią bez wstępów, mocno ściskając ją za rękę.

Panna Malinowska była to szczupła trzydziestoletnia blondynka z ładnymi oczyma, uczesana gładko, ubrana gładko i bez wielkiego gustu. Miała głos łagodny, spokojną twarz, a na niej taki sam wyraz zaciętości, jaki niekiedy cechował panią Latter. Madzia na poczekaniu stworzyła sobie teorię, że każda przełożona pensji musi być trochę zacięta i mieć imponujące spojrzenie. A ponieważ ona sama nie była ani imponującą, ani zaciętą, więc nie mogła marzyć o otworzeniu pensji...

Kiedy panna Malinowska poprosiła panie, ażeby usiadły, panna Howard odezwała się głosem mniej niż zwykle stanowczym:

– Przychodzimy do pani jako deputatki...

Panna Malinowska milcząc skinęła głową.

– I chcemy prosić, ażeby pani ostatecznie zdecydowała się...

– Wejść w spółkę z panią Latter?... – wtrąciła panna Malinowska. – Już zdecydowałam się. Nie wejść.

Panna Howard była w przykry sposób zdziwiona.

– Czy może nam pani objaśnić powody?... Do czego zresztą nie mamy prawa... – rzekła coraz mniej stanowczym tonem panna Howard.

– Owszem, chociaż jest to trochę dziwne, że z podobną propozycją nie zgłasza się do mnie sama pani Latter.

– My chcieliśmy przygotować grunt do porozumienia – wtrąciła panna Howard.

– Grunt już jest – odparła panna Malinowska. – Pół roku temu, jak pani zresztą wiadomo, byłam gotowa połączyć się z panią Latter. Ona nie chciała. Dziś dla mnie spółka z nią nie przedstawia interesu.

– Pani Latter jest osobą bardzo doświadczoną – rzekła rumieniąc się panna Howard.

– Ach, jaka ona dobra!... – dodała Madzia.

– Posiada ustaloną renomę – uzupełniła panna Howard zapalając się.

Panna Malinowska nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Widzę – rzekła – że muszę wypowiedzieć paniom to, o czym powinna bym milczeć. Otóż pomimo zapewnień, że pani Latter jest osobą dobrą, doświadczoną i renomowaną, ja zaś jestem prawie nowicjuską na tym polu, jednakże... nie mogę wchodzić z nią w żadne spółki. Rola pani Latter skończyła się, to nie jest kobieta dzisiejszej epoki.

Madzia drgnęła na krześle i z błyszczącymi oczyma odparła:

– Pani Latter od kilkunastu lat pracuje...

Panna Malinowska spojrzała na nią chłodno.

– A pani nie pracuje?... – zapytała. – I ile pani zarabia?

Madzia tak się stropiła pytaniem, że podniósłszy się z krzesła wyrecytowała głosem pensjonarki wydającą lekcję:

– Mam piętnaście rubli miesięcznie, życie, mieszkanie i wychodne trzy razy tygodniowo...

Panna Howard wzruszyła ramionami.

– Otóż, widzi pani – mówiła panna Malinowska – tak wynagradza się praca kobiet w naszej epoce. Mamy za nią ledwo skromny byt, nie wolno nam marzyć o robieniu majątku, a pod żadnym pozorem nie możemy mieć dzieci, bo... któż je wykarmi i kto je wychowa?...

– Społeczeństwo!... – wtrąciła panna Howard.

– Tymczasem – ciągnęła dalej panna Malinowska – pani Latter ma zupełnie inne pojęcia. Prowadzi dom jak wielka dama, to jest pracując za jedną wydaje za pięć, a może i dziesięć zwyczajnych pracownic. Nie dość tego: pani Latter ma dzieci wychowane na wielkich panów...

– Na to pracuje... – szepnęła Madzia.

– Myli się pani – przerwała panna Malinowska – ona już nie pracuje, bo pracować nie może... Ona co najwyżej zagryza się na śmierć myśląc o jutrze, bo czuje, że jutro – nie dla niej. Ona widzi, że kapitał, który włożyła w wychowanie dzieci, jest zmarnowany. Bo dzieci nie tylko jej nie pomagają, nie tylko trwonią jej pieniądze, nie tylko rujną jej przyszłość ale w dodatku same sobie nie dadzą rady...

– To okrutne, co pani mówi – wtrąciła Madzia.

Panna Malinowska zdziwiła się i spoglądając na pannę Howard rzekła:

– Ależ, to nie ja mówię, tylko całe miasto... Świadkiem panna Howard. Ja zaś dodaję od siebie, że ponieważ za moją pracę mieć będę najwyżej pięćset lub sześćset rubli rocznie, więc nie mogę brać na współniczkę kobiety, która potrzebuje kilku tysięcy rubli... Mam wprawdzie jakiś kapitał, ale procent od niego, jeżeli pensja da procent, należy do mojej matki.

– Nie śmiałybyśmy pani stawić podobnych żądań – odezwała się zakłopotana panna Howard.

– Ja też nie odpowiadam na żądania, tylko tłumaczę się, ażeby nie być źle zrozumianą, a potem... zbyt surowo sądzoną – mówiła panna Malinowska. – Położenie moje jest trudne, bo pani Latter może wszystko stracić, a ja jestem do pewnego stopnia zaangażowaną w jej interesa i pensję nabyć muszę. W dodatku pensja jest rozprzężona, trzeba wiele rzeczy zmienić nie wyłączając personelu...

Madzia była wzburzona, panna Howard bladła i rumieniła się, o ile to dla jej wiecznie różowej cery było możliwe.

Po chwili kłopotliwego milczenia panna Howard wstała i zaczęła żegnać gospodynię domu.

– W takim razie – rzekła na zakończenie – musimy szukać innych środków ratunku...

– Sądzę – odparła panna Malinowska – że przynajmniej dla pani, panno Klaro, to, co powiedziałam, nie jest niespodzianką? Wszakże od kilku miesięcy rozmawiałyśmy o tych sprawach.

– Tak... ale moje poglądy uległy pewnej modyfikacji... – odpowiedziała chłodno panna Howard.

Madzia była tak zmieszana, że o mało nie zapomniała pożegnać panny Malinowskiej.

Gdy obie damy opuściwszy mieszkanie przyszłej przełożonej znalazły się na ulicy, panna Howard zaczęła rozdrażnionym głosem:

– Oho, moja Malinosiu, widzę, że z ciebie ziółko!... Jakim ona tonem dziś przemawia... Personel!... słyszała pani? Ona mnie i panią zalicza do personelu?... Pokażę ja jej personel... Chociaż swoją drogą w tym, co mówi o pani Latter, ma słuszość. Pracująca kobieta nie może tyle wydawać na siebie i na dzieci, które zresztą powinny być obdarzone nazwiskami i wychowane przez społeczeństwo...

– Ależ dzieci pani Latter mają nazwisko swego ojca – zauważyła Madzia.

– Tak, ale gdyby nie miały?...

– Boże, Boże... – szeptała Madzia. – To będzie coś strasznego... Więc już nie ma ratunku dla pani Latter?...

– Owszem jest – odparła energicznie panna Howard. – Pójdziemy do pani Latter i powiemy jej: pani, jakkolwiek z zasady jesteśmy przeciwne małżeństwu, lecz w tak wyjątkowych warunkach radzimy pani wyjść za wuja Mani Lewińskiej... On da pieniędzy, a my poprowadzimy pensję bez Malinowskiej...

– Panno Klaro?... – zawołała zdumiona Madzia zatrzymując się na ulicy.

– Dla niej nie ma innego wyjścia, tylko małżeństwo z tym dziadem – upierała się panna Howard.

– Ależ, co pani mówi... Skąd znowu małżeństwo z wujem Mani?...

Teraz panna Klara wybuchnęła zdziwieniem.

– Jak to – rzekła – więc pani nawet o tym nie wie, o czym wszyscy mówią?... Doprawdy, pani dziczeje na pensji!

I zanim doszły do domu, opowiedziała Madzi plotki krążące w rozmaitych kołach towarzyskich na rachunek pani Latter. Dodała, że sfery konserwatywne są bezwarunkowo za małżeństwem pani Latter z Mielnickim, że radykalna młodzież drwi sobie z małżeństw, które w przyszłej ludzkości muszą być zniesione, lecz że umiarkowany odłam stronnictwa emancypacji kobiet radzi tymczasem zachować małżeństwa jako formę przejściową.

Zakończyła wreszcie, że lubo sama jest radykalistką, jednak potrafi uszanować zdania uczciwych konserwatystów i nawet byłaby gotowa poddać się decyzji umiarkowanego odłamu emancypacji kobiet, gdyby na drodze życia spotkała nadzwyczajnego mężczyznę. Dla zwyczajnych bowiem mężczyzn nie poświęciłaby się, ponieważ są to nikczemnicy i głupcy, z których żaden nie potrafi ocenić kobiety wyższej ani jej potrzeb.

Nigdy panna Howard nie była tak wymowną i nigdy Madzia nie czuła takiego rozbicia myśli jak po tym spacerze. Niby zygzaki błyskawic latały jej po głowie wspomnienia – to grubego Mielnickiego, to panny Malinowskiej, to pracujących kobiet, którym nie wolno mieć dzieci, to znowu rozmaitych kół towarzyskich: konserwatywnych, radykalnych i umiarkowanie emancypacyjnych. Wszystko to paliło się, trzaskało, brzęczało tworząc chaos, poza którym w sercu Madzi kryła się troska o panią Latter.

„Boże, co będzie z nią i jej dziećmi?...” – myślała.

Gdy zaś położyła się wieczorem do łóżka, opanował ją gniew na pannę Malinowską.

„Dlaczego ona mówi, że kobieta pracująca nie powinna mieć dzieci?... Cóż to, czy kobiety wiejskie nie pracują, a jednak są matkami... Dzieci to takie miłe, takie kochane stworzenia... Wolałabym umrzeć...”.

Zamknęła oczy i – przyśnił się jej pan Kazimierz.

18. Kara za niedołęstwo

Zajęta myślami o przyszłości pani Latter, Madzia nazajutrz i następnych dni nie zauważyła, że coś knuje się na pensji. Widziała rozdrażnienie panny Howard, słyszała szepty dam klasowych, nieraz obito się o jej uszy słówko tej lub owej pensjonarki: „intrygant!”, „niedołęga!” – ale nie przywiązywała do tego znaczenia.

Dusza jej była przesycona niepokojem o panią Latter, o Helenkę, nawet... o pana Kazimierza, którym, według przepowiedni panny Malinowskiej, groziła ruina... Cóż więc mogło ją obchodzić, że kogoś nazywają intrygantem i niedołągą, że cała pensja o czymś szepcze?... Alboż ona sama nie była pełna jakichś tajemniczych szepców, nad którymi górowały dwa zdania:

„Rola pani Latter skończyła się nieodwołalnie”.

„Kobiety pracujące nie powinny mieć dzieci”.

Słowa te wydawały się Madzi okrutnymi; tym okrutniejszymi, że kochała panią Latter jak drugą matkę, a najwięcej kochała ją za to, że ma dzieci.

„Jak można – myślała sobie – z taką straszną obojętnością odmawiać praw do życia istotom malutkim i niewinnym, których dusze, być może, krążą nad nami upominając się o przyjsie na świat, o chrzest i wiekuiste zbawienie?... Jak można przed nie urodzonymi zamykać wieczność tylko dlatego, ażeby nam było dobrze?...”.

Wspomnienie panny Malinowskiej, która tak spokojnie rzucała wyrok zagłady na nie urodzonych, napełniało Madzię trwogą. Zdawało jej się, że łagodna i zacięta blondynka wypowiada wojnę samemu Bogu.

„Wolałabym umrzeć anizeli coś podobnego pomyśleć” – mówiła w duchu.

A tymczasem około niej szepetano o jakimś intrygancie i niedołądze. Lecz gdy Madzia zbliżyła się do grupy pensjonarek, dziewczynki milkły, choć w ich oczach można było wyczytać, że mówią o czymś ważnym.

Raz doleciał Madzię frazes:

– Jej panna Howard nie kazała... Ona jest tak łagodna, że może wszystko zepsuć...

Madzia machinalnie spojrzała na dowodzącą pensjonarkę, która uciekła. Lecz i te zdania odbiły się od jej uwagi jak piłka od ściany.

W następną sobotę dyżurowała Madzia w czwartej klasie, gdzie od godziny dziesiątej do jedenastej Dębicki miał wykładać botanikę. Siedziała na krześle haftując coś, pogrążona w myślach, gdyż klasa była spokojna.

Po dzwonku nauczyciel języka niemieckiego opuścił salę, a w parę minut wszedł Dębicki. Był jak zwykle zakłopotany, idąc podnosił kolana bardzo wysoko, okrążył katedrę, potknął się na stopniu, co rozśmieszyło pensjonarki, i zapisał się w dzienniku.

Potem rzekł cichym głosem:

– Panna Kolska...

– Nic nie mów!... Nie umiesz!... – zaszemrano w klasie.

Madzia spojrzała po sali. Większa część uczennic miała spuszczone głowy, lecz w ostatnich ławkach było widać rozognione twarze i błyszczące oczy.

Dębicki zamyślił się, przewracał kartki dziennika, bawił się piórem, lecz stopnia uczennicy nie zapisał.

– Panna Siewierska... – odezwał się po chwili.

– Nic nie mów!... Nieprzygotowana!... – odezwały się głosy panienek, tym razem liczniejsze i silniejsze niż poprzednio.

Dębicki podniósł się z fotelu i patrząc na rzędy pochylonych główek rzekł spokojnie:

– Moje panie, cóż to znaczy?...

– Nic nie rozumiemy... Nudne lekcje...

– Nie rozumiecie, panie, botaniki?...

– Nic, ale to nic nie rozumiemy!... – zawołał cienki głos. A po nim chór:

– Nie rozumiemy... Nie chcemy...

Dębickiemu twarz zrobiła się szarą, nos trochę posiniał. Zachwiał się, odetchnął parę razy, jakby mu zabrakło powietrza, a w jego oczach błysnęła trwoga. Lecz uspokoił się, zeszedł z katedry, stanął przed pierwszymi ławkami i pokiwawszy głową rzekł z uśmiechem:

– Dzieci!... dzieci!...

Potem opuścił salę, znowu podnosząc kolana bardzo wysoko i trzymając rękę za klapą surduta. Kiedy cicho zamknął drzwi za sobą, Madzia na pół nieprzytomna zapytała:

– Co to jest?...

Odpowiedziało szlochanie jednej z przychodnich uczennic. Była to siostrzenica Dębickiego.

– Co to znaczy?... – powtórzyła Madzia.

W klasie panowało głębokie milczenie, a po chwili rozległ się płacz innej dziewczynki, która była w przyjaźni z siostrzenicą nauczyciela.

A potem w różnych punktach sali zaczęły płakać jeszcze inne dziewczynki i odzywać się głosy

– To przez Bandurską!...

– Nieprawda, bo to Lange!...

– Mnie panna Howard kazała...

– Trzeba przeprosić pana profesora...

– Prosić... Przeprosić!... Niech pani prosi!...

Madzia rzuciła swój haft na ziemię i wybiegła na korytarz.

Dębicki w futrze i czapce stał na połowie schodów trzymając się poręczy i ciężko dysząc. Madzia schwyciła go za ręce i łkając zapytała:

– Co panu jest?... Dlaczego pan wychodzi?...

– Nic. Przypomniano mi, że powinienem wziąć się do spokojniejszego zajęcia – odparł ze smutnym uśmiechem.

– Ależ, panie... niech pan wróci... – błagała Madzia, coraz mocniej ściskając go za ręce. – One tak proszą... bardzo proszą!...

– Dzieci są zawsze dobre – odparł – ale ja jestem chory, i już nie mogę być nauczycielem.

W tej chwili przebiegła przez korytarz i schody mała siostrzenica Dębickiego i z płaczem rzuciwszy mu się na szyję rzekła:

– Wujciu... ja z wujciem pójdę... nie chcę tu być...

– Dobrze, dziecko. Tylko weź salopkę...

– Wezmę, wujciu... ale wujcio zaczeka na mnie... sam nie odejdzie... – szlochała dziewczynka całując jego ręce.

– Panie... – rzekła Madzia – chciałabym panu do nóg...

Potem zasłoniła twarz chustką i uciekła na górę.

W innych klasach zwrócono uwagę na szmer w korytarzu. Parę nauczycielek wyszło zapytując Madzię, co to znaczy...

– Nic... – odparła. – Dębicki zachorował...

Wybiegła i panna Howard ze swego pokoiku, niespokojna, rozgorączkowana.

– Więc już?... – spytała Madzi.

Teraz Madzia wciągnęła ją do pokoju i zamknawszy drzwi zawołała:

– A pani jest zła kobieta!...

– Co pani mówi?... – zapytała raczej z trwogą aniżeli z gniewem panna Howard.

– A pani co zrobiła?... Zgubiła niewinnego człowieka, chorego na serce... Niech pani zejdzie na dół... niech spojrzy, a do śmierci nie zapomni pani swego czynu... Bo komu on szkodził... komu zawadzał ten biedak?...

– Chory na serce?... – powtórzyła panna Howard. – On naprawdę chory?... Ależ ja o tym nie wiedziałam...

– Ale co on pani winien?... Komu on co winien?... Litości nie macie... nie boicie się Boga! ... – mówiła Madzia zdławionym głosem.

– Więc jeżeli on naprawdę taki nieszczęśliwy, to ja mogę do niego napisać... niech wróci na pensję... Ja przecież nie wiedziałam, że on chory na serce... Ja myślałam, że to zwyczajny niedołęga... – tłumaczyła się zawstydzona panna Howard.

„Ona jest naprawdę wariatką!” – pomyślała Madzia. Otarła oczy, opuściła zgnębioną pannę Klarę i wróciła do klasy.

W kwadrans po awanturze, kiedy Dębicki ze swoją siostrzeniczką byli na ulicy, do pani Latter weszła tylnymi drzwiami jedna z dam klasowych i opowiedziała o zajściu w czwartej klasie.

Pani Latter słuchała podniecona, zarumieniona, a na pytanie damy, czy pójdzie na górę, odparła z nienaturalnym uśmiechem:

– Wszystko jedno!... Jest to wprawdzie nieporządek... ale...

Machnęła ręką i ciężko usiadła na kanapie.

Dama nie mogąc się niczego dowiedzieć wyszła zdziwiona, a w tej chwili Stanisław przyniósł pani Latter korespondencję z poczty.

Pani Latter wciąż uśmiechając się zaczęła przeglądać listy. Jeden upadł na ziemię, więc podniosła go z wysiłkiem.

– Od Mielnickiego – rzekła. – A ten z Neapolu. Od kogóż by to?

Otworzyła i przeczytała króciutki anonim napisany po francusku:

„Jesteś pani kobietą rozumną, jak głosi opinia, więc powinna być ostrzec swoją córkę, ażeby gdy już znalazła konkurenta dla siebie, nie odciągała konkurentów innym pannom, które jej nie przeszkadzały w polowaniu na bogatego męża.
Życzliwa”.

Pani Latter zmięła list i oparłszy głowę na poręcz kanapy rzekła do siebie półgłosem, wciąż uśmiechając się:

– Ach, ta Hela... Nawet z zagranicy przychodzą na nią skargi...

19. Pierwszy smutek

W połowie marca około siódmej wieczór panna Howard powróciwszy z miasta wywołała Madzię z klasy i zaprowadziła do swego pokoju.

Panna Howard była rozgorączkowana. Drżącymi rękoma zapaliła lampę i nie zdejmując okrycia ani kapelusza rzuciła się na krzesło. Zwykle różowa jej twarz miała w tej chwili płową barwę włosów i tylko skutkiem marcowych podmuchów nos był trochę zaczerwieniony.

– Co się pani stało?... – zapytała wylękłona Madzia. – Czy może panią zaczepił kto na ulicy?

Panna Howard wzruszyła ramionami i spojrzała na Madzię z pogardą. Przede wszystkim jej nikt i nigdy nie zaczepiał, a choćby zaczepił, więc cóż?... Taka drobnostka nie zdenerwowałaby panny Howard.

Więc milczała przez pewien czas jak biegły deklamator, który chce wywołać efekt. A potem – zaczęła z wolna, niekiedy przerywając dla nabrania tchu.

– Wie pani, u kogo w tej chwili byłam i dlaczego? Jestem pewna, że nigdy pani nie zgadnie. Byłam... u Joasi...

– Pani u Joasi?... – zawołała Madzia. – I cóż ona?...

– Przyjęła mnie bardzo dobrze, zgadując, że przyszłam do niej jako przyjaciółka.

– Pani jako przyjaciółka Joasi?... Przecież...

– Chcesz pani powiedzieć, że przeze mnie straciła miejsce?... Ależ ta biedaczka prędzej czy później musiałaby stracić każde miejsce... Stan jej zdrowia...

– Ona jest chora?... Co jej?...

Panna Howard podniosła oczy do góry i mówiła dalej, nie zważając na pytania Madzi:

– Spotkałam dziś panią Fantoche, która ciągle utrzymuje stosunki z tą nieszczęśliwą ofiarą...

– Pani mówi o Joasi?... – wtrąciła Madzia.

– Właśnie i ja, gdy zapytałam panią Fantoche, skąd wraca, i usłyszałam, że od tej nieszczęśliwej, byłam zdumiona. Wtedy zacna Fantoche powiedziała parę słów, które mnie rozbroiły.

W tym miejscu panna Howard podniosła się z krzesła, zbliżyła usta do ucha Madzi i szepnęła:

– Joasia jest...

A potem zaczęła zdejmować kapelusz i okrywkę, jak osoba już nie mająca nic do powiedzenia, ponieważ wypowiedziała taką prawdę, która jest syntezą wszystkich prawd, jakie istniały, istnieją i kiedykolwiek mogą objawić się ludzkości.

– Joasia?... Co pani mówi?... – zawołała Magdalena zbudziwszy się z chwilowego osłupienia.

– Przecież ona nie jest mężatką...

Z panny Howard spadła okrywka i zatrzymała się na lewym rękawie, który jeszcze nie był zdjęty. Płowowłosa dama spojrzała na Madzię bledszymi niż zwykle oczyma i odparła z lodowatym spokojem:

– Wie pani, panno Magdaleno, że powinna być wrócić do pierwszej klasy!... Jak to, więc kobieta w wieku pani, kobieta samodzielna, może zadawać podobne pytania?... Ależ pani jesteś po prostu śmieszna.

Madzia zaczerwieniła się jak najczerwieńsza wiśnia.

– Ja przecie rozumiem...

– Pani nic nie rozumiesz! – zawołała panna Howard tupiąc nogą.

– Właśnie że rozumiem! – upierała się Madzia na pół z płaczem. – Ale przecież wiem...

– Co pani wie?...

– Wiem, że tak szkaradnego czynu nie dopuściła się sama – odpowiedziała Madzia mrugając oczyma pełnymi łez.

– Ach, o to pani chodzi?... Naturalnie, że musi być współnik, i właśnie o nim pogadam dziś z panią Latter.

– O kim?...

– Rzecz prosta, że o panu Kazimierzu Norskim.

Madzia spojrzała na nią z wyrazem takiej trwogi, że panna Howard zdziwiła się.

– Co to znaczy?... – rzekła.

– Na miłość boską – zawołała Madzia łamiąc ręce – niech pani tego nie robi... Pan Kazimierz? ... ależ to plotki...

– Wiem to od Joasi.

– Joasia kłamie!... – odparła Madzia.

– Joasia mogłaby kłamać, ależ chyba nie kłamią nasze oczy. Pan Kazimierz bałamucił biedną dziewczynę od wakacyj...

– Bałamucił?... – szepnęła Madzia zataczając się. Błada usiadła na krześle i nie spuszczała oczu z panny Howard zdumionej i rozgniewanej.

– Rozumie się, że bałamucił, aż nareszcie skłonił ją do schadzek. Przecie chyba pamiętasz pani, kiedy Joasia wróciła na pensję o drugiej w nocy... Bohater!... Don Juan!.. – zawołała panna Klara. – Mówił jej, że jest najpiękniejsza, że dopiero ją pokochał prawdziwie, groził, że odbierze sobie życie w jej oczach... A dziś drwi z niej i ucieka. O, podły rodzie męski!... I ja nie mam rozmówić się o tej nieszczęśliwej z jego matką?

Madzia splótła ręce i opuszczała głowę tak, że cień padł na jej drobną twarzyczkę. Ale panna Howard nie patrzyła na nią, tylko chodząc po pokoju mówiła:

– Jak to, więc biedna dziewczyna ma zostać sama jedna, bez opieki, bez grosza, odepchnięta przez krewnych i znajomych, w takiej chwili, kiedy najbardziej i najstuszej należy jej się pomoc od całego społeczeństwa?... Więc kiedy uwodziciel rzuca się w objęcia coraz nowych kochanek, ona nie ma nawet lekarza i służącej?... Kiedy on trwoni setki rubli przez miesiąc, ona nie ma talerza rosołu i szklanki herbaty?... Zdaje mi się, panno Magdaleno, że w pani nie tylko nie rozbudziła się znajomość świata, ale nawet śpi uczucie sprawiedliwości...

– A jeżeli to nieprawda?... – szepnęła Madzia.

– Co nieprawda?... Że kobiety są nieszczęśliwe, nawet pełniąc najwznioślejsze obowiązki, a mężczyźni mają przywileje nawet w zbrodni?...

– A jeżeli to nie pan Kazimierz?... – nalegała Madzia. – Niech pani sobie przypomni omyłkę co do Dębickiego. Ten człowiek nie był winien, a jednak...

– Także porównanie! – odparła panna Howard coraz prędzej chodząc po pokoju. – Dębicki jest człowiek chory, więc na wszystkich robi wrażenie niedołęgi, ale pan Noriski jest znany bałamut... Przecież on mnie chciał uwieść, mnie!... I potrzeba było całej potęgi mego rozumu i charakteru, ażeby się oprzeć jego spojrzeniom, półsłówkom, uściskom ręki... „Bądź pani moją przyjaciółką... moją siostrą...” – mówił. Cha, cha!... pięknie wyglądałabym wśród zacofanego społeczeństwa.

Korzystając z przerwy Madzia w milczeniu pożegnała pannę Howard i tłumiąc łzy pobiegła do sypialni za swój szafirowy parawanik.

Znalazłszy się tam Madzia upadła na łóżko, ukryła twarz w poduszce i płakała, gorzko płakała... W uszach jej szumiały wyrazy: „Kazimierz bałamucił Joasię od wakacyj – rzuca się w objęcia coraz nowym kochankom – prosił pannę Howard, ażeby została jego przyjaciółką i siostrą!...”. On przecież i ją, Madzię, nazywał drugą siostrą!... Może być, że jest to bałamut i kłamca, ale w chwili kiedy ją całował po rękach, musiał to robić szczerze. Choćby cały świat, choćby on sam zapewniał, że nie był szczerym, Madzia nie uwierzyłaby. Takie rzeczy odczuwa się instynktownie, a Madzia odczuła je głęboko i pomimo gniewu i trwogi była szczęśliwa.

Zdawało się jej, że pan Kazimierz tym całowaniem rąk jakby zawezwał ją (choć nic nie mówił) do dalekiej wspólnej podróży. Co ją mogło spotkać, nie pytała; dość, że mieli być razem, zawsze razem, jak brat z ukochaną siostrą... I otóż, ledwie ją wyprowadził za granicę konwencjonalnych stosunków, już przekonała się, że ją porzuci. Bo on przecie miał więcej kobiet, które chciały być

z nim; on nigdy nie należał i nie należałby do niej jednej; a w takim razie – co jej po nim? Czyliż cała wartość podobnego przywiązania nie leży w tym, że się go z nikim nie dzieli?

Drżąc z płaczu na swoim łóżeczku Madzia czuła, że spotkał ją okropny zawód, może jeden z tych, które kobietom delikatnym łamią życie, niekiedy rozum, a niekiedy spychają je do grobu... Straszne to było cierpienie, lecz szczęściem trafiło – na nią, na nędzną i głupią istotę, która nie tylko nie miała prawa umierać z tego powodu, ale nawet nie powinna skarżyć się ani nawet myśleć o tym. Cóż nadzwyczajnego, że olbrzym jak pan Kazimierz mimochodem rozdeptał serce jakiejś mrówki mającej ludzkie kształty i będącej damą klasową?... To przecież ona winna, że nie usunęła się z drogi. A jaka bezwstydną Joasia, że ma pretensję do pana Kazimierza!... Gdyby ją, Madzię, spotkał podobny los i pan Kazimierz odsunął się od niej – nie powiedziała by ani słówka nikomu, nawet nie zdradziłaby się, że jest nieszczęśliwą. Śmiejąc się wyszłaby z pensji niby to na spacer, śmiejąc się poszłaby w stronę mostu i niby wypadkiem rzuciłaby się w Wisłę.

Ludzie powiedzieliby: coś strzeliło do głowy tej wariatce, a sam pan Kazimierz nie domyśliłby się niczego, bo nie wiedziałby przyczyny. Może nawet dla zatarcia w nim podejrzeń, może nawet opowiadałaby mu o swoich bliższych i dalszych projektach, wciąż wmawiając w niego, że jest szczęśliwą i nie martwi się niczym.

Tak zrobiłaby ona, Madzia. Bo przecież ona wie, że między tłumem tych doskonałych ludzi, którzy cenią siebie i są oceniani przez innych, ona jedna jest marnym pyłkiem, o który nie warto się troszczyć. Nikt nie powinien się o nią troszczyć, nawet ona sama.

Tak wytłumaczywszy sobie swoją rolę i stanowisko na świecie, Madzia spokojniejsza podniosła się z łóżka. Potem zmówiła pacierz do Matki Boskiej Bolesnej i uspokoiła się jeszcze bardziej. A potem umywszy zapłakane oczy wróciła do swoich uczennic i odrabiała z nimi lekcje, usiłując śmiać się, ażeby niewczesnym smutkiem nie zatruć ich dziecięcej wesołości...

Gdy zaś około dziesiątej wróciła znowu za swój szafirowy parawanik i zmówiła wieczorny pacierz – zasnęła tak spokojnie, jakby nigdy nie spotkał jej żaden zawód. Między nią i jej pierwszą w życiu boleścią stanął najpotężniejszy ze wszystkich – anioł pokory.

W tej porze, kiedy pensjonarki przechodziły do sal sypialnych, pani Latter skończyła gospodarskie rachunki z panną Martą. W kasie było jeszcze kilka tysięcy rubli, ale pani Latter, przywykła sięgać myślą w przyszłość, już dziś zaprowadzała możliwe redukcje w wydatkach, ażeby co dzień oszczędzić bodaj parę rubli. Paliło się za dużo światła w salach i na korytarzach, wychodziło zbyt wiele cukru i mydła, to trzeba zmniejszyć. Obiady były zanadto mięsne i tłuste, więc można ograniczyć ilość mięsa i masła, a nareszcie godziło się bieżący wielki post obchodzić nieco surowiej przez zaprowadzenie postnych obiadów w poniedziałki. Są ludzie, którzy przez cały wielki post nie biorą do ust nie tylko mięsa, ale nawet nabiału; dobrze więc choć cztery razy na tydzień przypomnieć dziewczynkom, że są chrześcijankami.

Postanowienie to zachwyciło pannę Martę, która do przesady posuwała troskliwość o przepisy religijne; odeszła więc zapewniając panią Latter, że teraz spłyną na jej pensjonat wszelkie błogosławieństwa. Ale pani Latter nie była zadowolona swoimi reformami. Ona wiedziała, że czwarty dzień postu zaprowadza się nie przez pobożność, lecz przez oszczędność. Bo co będzie, jeżeli jej przed wakacjami zabraknie pieniędzy?... Jak ona powie: dzieciom, nauczycielkom i służbie, że... jutro nie dostaną obiadu?

Już od pół roku – podobne myśli dręczyły panią Latter wypijając jej krew i mózg jak rój bezcielesnych upiorów. Długi, oszczędności, zmniejszone dochody i – jutro, niepewne jutro, już prawie przestały zadawać jej cierpień, a zaczęły nudzić swoją jednostajnością... Wielki Boże! cóż to za straszna była dla niej tortura codzienne obcinanie łutów masła i mięsa, naparstków mleka i – te rachunki, spoza których wciąż wyglądała bladożółtawozielonawa twarz deficytu!...

Zawsze to samo: rachunek – deficyt – oszczędność... Piekło mogłoby rozziwiać się na śmierć!

...

Kiedy tego rodzaju zajęcia ciągnące się do późnej nocy tak wyczerpały panią Latter, że prawie wpadała w rozpacz, wówczas pozostawał jej jeden ratunek: wypić kieliszek starego wina, które przysłał Mielnicki. Kieliszek nie mógł być nalany do brzegów, gdyż wywoływał senność; nie mógł być niepełny, bo mocniej rozdrażniał. Dopiero gdy pani Latter przy nalewaniu zachowała bardzo subtelną miarę i do ostatniej kropli wypila wino, dopiero wówczas powracał jej spokój i ta tęgość umysłu, dzięki której zdobyła stanowisko w świecie.

Dopiero wtedy złamana i zrozpaczona kobieta przemieniała się w dawną panią Latter, która jednym rzutem oka oceniała sytuację, w jednej chwili robiła plan odpowiedni okolicznościom i wykonywała go z nieugiętą konsekwencją.

Dziś użyła tego samego środka zachowując pewne ostrożności, jakby lękała się, ażeby jej kto nie podpatrzył. Cicho weszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, wydobyła z szafy omszałą butelkę i średniej miary kieliszek, nalała patrząc pod światło i lękliwie obejrzawszy się wypila wino jak lekarstwo.

– Ach!... – odetchnęła czując ulgę.

Potem wróciła do gabinetu i usiadłszy na kanapie zaczęła marzyć z przymkniętymi oczyma. W jej stroskanej duszy otwierały się źródła ukojenia.

Pierwszym była wiara, że cokolwiek zdarzy się, ona od wakacyj nie będzie miała pensji. Czy Helena wyjdzie za mąż, a ona przeniesie się do majątku Solskiego, czy sama zostanie gospodynią (a może żoną?...) Mielnickiego, czy trafi się jakiś inny wypadek, na wszelki sposób ona, pani Latter musi być wolną od dzisiejszych zajęć. I dziwna rzecz: ile razy przychodziła jej na myśl nowa przyszłość, tyle razy widziała siebie siedzącą w jakimś starym parku nad rzeką.

Widzenie było tak jasne, że pani Latter prawie mogła wymierzyć grubość drzew, odmalować kolor liści i formy cienia, jakie ich korony rzucały na ziemię. Widziała kosmatą lizkę z wolna sunącą po korze lipy, widziała pęknięcie, które biegło wzdłuż czarnej ławki ogrodowej, czuła świeży zapach ziemi, słyszała szelest rzeki, która płynęła o parę kroków od niej i której nurt skręcał w tym miejscu.

Dla pani Latter obraz ten, powtarzający się prawie co dzień, nie był halucynacją, ale jasnowidzeniem. Była przekonana, że widzi swoją przyszłość, taką szczęśliwą przyszłość, że warto było pracować na nią cierpieniami dotychczasowego życia. Nie było tu nic i nikogo oprócz ławki czarnej ze starości, gromady drzew i szeleszczącej rzeki. Ale w ubogim krajobrazie panował taki spokój, że pani Latter zgodziłaby się przesiedzieć całą wieczność na tej ławce i całą wieczność patrzeć na kosmatą lizkę leniwie pełznącą w górę drzewa.

Ona już tylko tego chciała dla siebie od życia: tylko spokoju.

Po fali marzeń przychodziła fala rozmyślań. Pani Latter otwierała oczy i patrząc na swoje biurko, na popiersie Sokratesa wychylające się spoza lampy mówiła do siebie:

„Z pensją koniec: rzucam ją od wakacyj, choćbym miała na drugi dzień stracić życie. Ale co to za park?... Czy to park Solskiego, czy Mielnickiego?... Ach... to był nasz park w Norowie... Taki majątek i tak go zmarnować!...”.

Wstrząsnęła się i machinalnie zatkała rękoma uszy, jakby lękając się szeptu wspomnień, które mogły powiedzieć jej, że to – ona strwoniła majątek męża, swój, a nade wszystko dzieci... I to z kim? ... Z jakimś eks-guwnerem. Majątek Norskich z Latterem! I to ona – tak oszalała?... Ona wyszła drugi raz za mąż? Ona była zazdrosną o tego drugiego?... Ona, która w parę lat później wypędziła go...

Ale nad tymi wspomnieniami pani Latter już umiała panować. Odsunęła więc je od siebie jak niepotrzebny skrawek papieru i zaczęła myśleć o córce.

Panna Helena, a właściwie – jej małżeństwo z Solskim było dla pani Latter drugim źródłem pociechy i fundamentem, na którym opierały się jej nadzieje. Po wielu wahaniach pani Latter powiedziała sobie, że Helenka musi wyjść za Solskiego. Dla nikogo już nie było tajemnicą w Warszawie, że Solski zbliżywszy się do panny Heleny we Włoszech po prostu oszalał dla niej; zaś pani Latter częścią wiedziała od córki, częścią odgadywała, że w tej chwili między Helenką a Solskim

toczy się prastara walka, która zwykle poprzedza kapitulację obu stron. Mianowicie – pan Solski udaje obojętnego, a panna Helena kokietuje innych mężczyzn.

„Prędej czy później, dziś czy jutro – myślała pani Latter – on wybuchnie i oświadczy się, a Helenka go przyjmie. A ja najpierw dowiem się o tym od Zgierskiego, który przybiegnie z powinszowaniami i z pieniędzmi...” – dodała z uśmiechem.

Przymknęła oczy i ujrzała drugi obraz. Widziała niby Helenkę, niby samą siebie, wchodzącą w białej jedwabnej sukni z długim trenem do salonu pełnego osób. Helenka wyglądała prześlicznie: jej suknia była haftowana perełkami, a piękna głowa zaszypana brylantami, z których jeden nad czołem rzucał światło purpurowe, drugi nad skronią był podobny do zielonawej gwiazdy. Pani Latter widziała każdą zmianę blasku brylantów, każdą fałdę bogatej sukni, widziała rozszerzone nozdrza i dumny wzrok córki, przed którą pochylały się wszystkie głowy z podziwem lub zazdrością.

Obok Helenki stał Solski, człowiek brzydki, z kałmuckimi rysami, ale z dziwną energią w twarzy. Pani Latter wpatrywała się w nich oboje z zachwytem, myśląc:

„Czy może być bardziej dobrana para?... Ona piękna jak marzenie, on szkaradny, ale dzielny... I taki wielki majątek!...”.

Potem – zdawało jej się, że mówi do córki:

„Jakaś ty szczęśliwa, Helu, mając męża brzydkiego i energicznego!... Moi dwaj byli bardzo piękni, ale za słabi dla mnie, a to jest przyczyną, że zmarnowałam życie... Twój mąż będzie szalał za tobą, ale nie pozwoli na żaden wybryk...”.

Pani Latter znowu otworzyła oczy i znowu zamiast bogatej sali, gdzie królowała jej córka, zobaczyła swój gabinet. Nagle przysła jej myśl:

„A jeżeli Helenka nie wyjdzie za Solskiego?”.

Twarz pani Latter skurczyła się, a w oczach błysnął gniew, prawie nienawiść.

– Wolałaby mnie zabić... – szepnęła.

Pani Latter już nie mogła pogodzić się z myślą, że jej córka nie wyjdzie za Solskiego, w dodatku – bardzo prędko. Helenka musi w tych czasach zrobić świetną karierę, bo – od tego zależała przyszłość Kazia.

Troska o pana Kazimierza była cierniem, którego nic nie mogło wyrwać z duszy matki. Pani Latter czuła, że dla jej zupełnego szczęścia potrzeba, ażeby syn zajął kiedyś stanowisko między najznakomitszymi świata i był równy jeżeli nie Napoleonowi, to przynajmniej Bismarckowi. Zwątpiłaby o boskiej sprawiedliwości, gdyby syn prędzej czy później nie posiadał nie tylko majątku, sławy i władzy, ale jeszcze tych przymiotów, które wybraną jednostkę wynoszą ponad zwykłych śmiertelników. To zaś ją truiło, to spędzało sen z powiek, że nie mogła wyobrazić sobie: jakim sposobem syn dojdzie do upragnionego stanowiska? Oczywiście powinien wyjechać za granicę, najlepiej do którego z niemieckich uniwersytetów, gdzie często w audytorium można spotkać się z książętami panujących domów. A niechby się tylko zetknął Kazio z takim młodym mocarzem, już tamten nie puści go od siebie – i kariera gotowa!... Na nieszczęście, na zagranicę trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, a pani Latter nie wątpiła, że sama już ich nie wypracuje.

Więc skąd pieniądze dla Kazia?... Oczywiście jest jeden tylko sposób: ażeby Helenka jak najprędzej wyszła za Solskiego. Krocie Solskiego, jego związki rodzinne i znajomości za granicą były szczeblami, po których miał wejść pan Kazimierz na przeznaczoną mu wyżynę.

Pani Latter znowu zaczęła marzyć. Nie jestże w tym oczywisty palec Opatrzności, że Ada wzięła do Włoch Helenkę, w której teraz zakochał się Solski?... A czy mógłby trafić się podobny wypadek, gdyby Ada wcześniej zostawszy sierotą nie weszła na jej pensję, gdyby pani Latter nie straciła majątku i nie zajęła się wychowywaniem obcych dzieci?...

Był to cudowny łańcuch wydarzeń, który ciągnął Kazimierza na jakiś szczyt już wówczas, kiedy o tym jeszcze nie myślała jego matka. Ten szereg cudów spełniał się w jej oczach; więc dlaczego nie miałby się spełnić jeszcze jeden cud... Do wakacyj jest przecie trzy miesiące: przez ten czas Helenka wyjdzie za mąż, a Kazio od wakacyj wyjdzie za granicę.

Dziś wyjechać nie może. Gdyby bowiem pani Latter dała synowi potrzebne pieniądze, groziłoby jej bankructwo przed końcem szkolnego roku.

– Cudu!... cudu!... – szeptała pani Latter wznosząc oczy do nieba i pobożnie składając ręce. Nagle wstąpiła w nią nadzieja: uczuła, że niebo musi wysłuchać prośb matki błagającej za synem.

21. Rzeczywistość

W tej chwili zapukano do drzwi gabinetu raz i drugi. Pani Latter ocknęła się z marzeń i spojrzała na zegar.

– Jedenasta wieczór – rzekła. – Cóż się stało? Proszę...

Weszła panna Howard. Miała tak nieśmiałe ruchy i tak skromnie spuszczone oczy, że pani Latter zaniepokoiła się.

– Cóż – odezwała się cierpko – czy znowu uczennice chcą wypędzić jakiego nauczyciela?

Panna Howard zarumieniła się po swojemu.

– Nie może pani zapomnieć wypadku z Dębickim – odparła cicho. – Przecież stało się to przez wzgląd na panią... Pani nie cierpiała tego człowieka...

– A, panno Klaro, mogłaby pani zostawić mi swobodę przynajmniej w nielubieniu kogoś! – wybuchnęła pani Latter. – Cóż pani znowu przynosi?

Nieśmiałość panny Howard znikła.

– Więc to jest podziękowanie za moją życzliwość? – zawołała. – Od tej chwili – mówiła szyderczym tonem – może pani być pewną, że do osobistych jej spraw mieszać się nie będę, choćby...

– Zatem obecnie przyszła pani nie w moim interesie? Chwała Bogu.

– Zgadła pani. Sprowadziła mnie tu niedola osoby trzeciej, będąca zarazem wielką sprawą czy wielką niesprawiedliwością społeczną.

– Sądzi pani, że mam odpowiednią władzę? – zapytała pani Latter.

– Władzę?... nie wiem. Prędzej obowiązek. Joasia znajduje się w stanie... – dokończyła cicho panna Howard.

Pani Latter drgnęły usta. Nie zmieniając jednakże tonu odparła:

– Czy tak?... Winszuję.

– Winszuje pani... swemu synowi...

Pani Latter położyła, usta i powieki zaczęły jej drżeć.

– Pani chyba ma gorączkę, panno Klaro – odparła stłumionym głosem. – Czy pani zastanowiła się, co pani mówi?... Gubi pani, prawda że szaloną, ale w gruncie niezłą dziewczynę, powtarzając jakieś plotki bezsensowne... Przecież Joanna ciągle bawi się, bywa między ludźmi... Jest nawet w przyszłym tygodniu gospodynią jakiegoś rautu...

– Nie może robić inaczej – rzekła panna Howard wzruszając ramionami. – Przyjdzie jednak czas...

Pani Latter chwilę patrzyła na nią drżąc z gniewu. Spokój panny Howard doprowadzał ją do szału.

– Co pani mówi?... Co to jest?... Co to wreszcie mnie obchodzi?... Na żądanie pani wydalіłam Joannę... już nie jest na mojej pensji, więc... co mnie po tych nowinach?...

– Ależ sprawa ta obchodzi syna pani...

– Mego syna?... – zawołała pani Latter. – Chcesz pani wmówić we mnie, że gdy jakiejś guwernantce podoba się mieć wypadek w życiu, to ja będę za to odpowiadała?... O Joasi jest kłamstwo, ale nawet choćby tak było, kto ma prawo zaczepiać mego syna?...

– Naturalnie, że jego ofiara.

– Cha... cha... cha! Joasia ofiarą mego syna... Ja zaś mam zostać protektorką młodej osoby, która od roku spacerowała po mieście bez mojej wiedzy... Powtarzam: nie wierzę w to, co pani mówi o Joasi; ale choćby tak... to ja chyba powinna bym najpóźniej dowiedzieć się o tym, jak mój syn był zapewne ostatnim w tej awanturze, jeżeli się naprawdę w nią zaplątał.

Panna Howard zmieszała się.

– Nie może pani mówić tak o Joasi – rzekła. – Ona przecież z panem Kazimierzem była na kolacji... wtedy...

– A z iloma była pierwiej?... Nie wierzę w to, co mi pani mówi o Joasi, lecz jeżeli byłoby to prawdą, mój syn nie miałby prawa jej wierzyć. Bo ta dziewczyna oszukiwała mnie mówiąc, że idzie do krewnych, kiedy szła na schadzke; któż więc zaręczy, że nie oszukiwała mego syna i wszystkich swoich kochanków, jeżeli on był jednym z nich?

– A jeżeli sama Joasia powie, że to pan Kazimierz?...

– Komu powie? – zapytała pani Latter

– Pani.

Pani Latter schwyciła lampę z biurka, zdjęła klosz i oświeciła ścianę nad kanapką, gdzie wisały dwa portrety dzieci.

– Patrz, pani! – zawołała do panny Howard. – Oto jest Kazio, gdy miał lat pięć, a oto Helenka, gdy miała trzy. Takie są rysy rodzinne Norskich. Kto chciałby przekonać mnie, że Kazio... ten musiałby pokazać dziecko podobne albo do niego, albo do Helenki. Rozumie pani?

– To znaczy, musiałby czekać trzy albo pięć lat – wtrąciła panna Howard. – A tymczasem?...

– Co tymczasem?...

– Co ma począć kobieta zdradzona?

– Nie narażać się... nie polować na to, ażeby ją zdradzano!... – odpowiedziała ze śmiechem pani Latter.

– Ona niewinna... nie wiedziała, co ją spotka.

– Panno Klaro – rzekła już spokojnie pani Latter. – Jesteś kobietą dojrzałą, mówisz do kobiety dojrzałej i mówisz jak pensjonarka... Wszakże całe nasze wychowanie jest skierowane tylko do tego, ażeby uchronić kobietę od zrad... Każą nam nie włóczyć się po nocach, nie kokietować mężczyzn, wystrzegać się ich... Pilnuje nas cały świat, grozi niesławą za każdy uśmiech, za każdy poufalszy ruch... Słowem – dwudziestoma płotami zabezpiecza się kobietę od pewnych rzeczy... Więc jeżeli ona dobrowolnie, a nawet wbrew upomnieniom, co dzień sama przeskakuje te płoty, czy może nazywać się zdradzoną?...

– Więc pani uznaje jakieś specjalne przepisy dla kobiet?... Więc kobiety nie są ludźmi?... – zawołała panna Howard.

– Przepraszam panią, ale ja tych przepisów nie stworzyłam. A jeżeli one stosują się tylko do kobiet, to zapewne z tej racji, że tylko kobiety zostają matkami.

– A więc według pani emancypacja, postęp, najwyższe zdobycze cywilizacji...

– Kochana panno Klaro – przerwała pani Latter kładąc jej na ramieniu rękę – zgódźmy się na jedno: pani wolno bronić postępu, a mnie – ciężko zapracowanych pieniędzy. Ja nie zmuszam pani do przyjmowania moich zacofanych poglądów, niechże więc pani nie zmusza mnie do przyjmowania na mój koszt zagadkowych dzieci, jeżeli te istotnie przyjdą na świat.

– Więc Joanna zwróci się do syna pani – odpowiedziała oburzona panna Klara.

– A on odpowie jej w ten sposób jak ja pani. Jeżeli Joanna uważała za stosowne narażać się na awantury, to nie powód, ażeby mój syn nie miał prawa usuwać się od awantur. Zresztą mój syn nie ma pieniędzy...

– Ach, prawda! – pochwyciła panna Howard z szyderczym uśmiechem – że syn pani jest jeszcze małoletni... To nie Kotowski, który umie dotrzymać słowa danego kobiecie...

– Panno Howard!

– Dobranoc pani! – odpowiedziała panna Klara. – A ponieważ nasze poglądy różnią się aż tak... więc... od Wielkiejnocy będę miała zaszczyt usunąć się z tej pensji.

– Ach! usuń się choćby ze świata!... – szepnęła pani Latter po odejściu nauczycielki. I nagle taki żal ścisnął ją za gardło, taka desperacja poczęła rozsadzać jej piersi, taki chaos zakotłował się w głowie, iż myślała, że padł na nią atak szaleństwa.

Wiadomość przyniesiona przez pannę Howard była wielkim nieszczęściem dla pani Latter; ale ostatnie słowa rozmowy były ciosem zadany jej macierzyńskiej dumie i nadziejom. Z jaką pogardą

ta stara panna nazwała jej syna „małoletnim”!... I jak ona śmiała, jak ona miała serce w tej chwili porównać go z Kotowskim?

Już od pewnego czasu w duszy pani Latter gromadziły się głuche uczucia, które można by nazwać pretensją do syna. Ile razy zapytał ją kto: „Co robi pan Kazimierz?...”, „Dokąd wyjeżdża?...” albo: „Ile ma lat?...”, matka doznawała jakby pchnięcia nożem. Po każdym takim pytaniu przychodziło jej na myśl, że ten syn już ma lat dwadzieścia kilka, że pomimo zdolności nic nie robi, co gorsze – ciągle pozostaje tym samym obiecującym młodzieńcem, jakim był mając lat szesnaście, siedemnaście, osiemnaście... A co najgorsze – zabiera mnóstwo pieniędzy jej, kobiecie zmęczonej pracą i zagrożonej bankructwem.

Nieraz przypominał jej się ów przykry sen, w którym po raz pierwszy w życiu uczuła chłód dla swych dzieci i powiedziała sobie, że – mogłaby być wolną, gdyby nie one. Ależ to był tylko sen, bo na jawie ona wciąż gorąco kochała Kazia i Helenkę, wierzyła w ich świetną przyszłość i gotowa była wszystko poświęcić dla nich.

Tymczasem dziś panna Howard w brutalny sposób zerwała zasłonę z jej sennych tajemnic i ośmieliła się powiedzieć, że ten Kazio ubóstwiany jest niedołęgą. „On jeszcze małoletni!... To nie Kotowski...”.

A ów Kotowski to przecie rówieśnik Kazia, z tą różnicą, że już kończył uniwersytet i szedł wytkniętą drogą, której Kazio jeszcze nawet nie znalazł, ów Kotowski utrzymuje sam siebie, a taką ma wiarę w przyszłość, że zaimponował Mielnickiemu. Oto jest młoda energia, jakiej pani Latter szukała w swoim synu i nie mogła... nie mogła znaleźć!...

A dziś co?... Jak ten ukochany syn, ten przyszły geniusz przedstawia się ludzkim oczom? ... Przychodzi tu, do jej mieszkania, marna guwernantka i z całym spokojem depcze syna wobec matki. Bo w przekonaniu Howardówny ten „małoletni” i niepodobny do Kotowskiego pan Kazimierz chyba... powinien by ożenić się z Joanną czy co?...

Myśląc o tym pani Latter schwyciła się oburącz za włosy i chciała bić głową w ścianę. Czy mogło być coś haniebniejszego jak jej syn skazany – na żenienie się!... Jej chluba, nadzieja, ziemskie bóstwo, które cały świat miał podziwiać, kończy wcale nie rozpoczynaną karierę w ten sposób, że – żeni się z wydaloną guwernantką i cieszy się przedwczesnym potomstwem!...

Co by na to powiedział Solski, Mielnicki i wszyscy jej znajomi, którzy tak ciekawie wypytawali się: „Co robi pan Kazimierz?...”, „Dokąd wyjeżdża?”, „Ile ma lat?...”. Dziś wszystkie kwestie rozwiązane jednym cięciem: pan Kazimierz ma tyle lat, że już może być ojcem, a co robi?...

Jest wciąż małoletnim, na chlebie u matki, jak powiedziała panna Howard.

Straszną noc spędziła pani Latter: w jej duszy coś się załamało.

22. Dlaczego synowie niekiedy wyjeżdżają za granicę

Gdy nazajutrz około czwartej po południu przyszedł pan Kazimierz, elegancki, uśmiechnięty, z bukietem fiołków w klapie żakieta, zmieszał się na widok matki. Miała prawie trupią twarz, ciemne doły w oczach i na skroniach posrebrzone włosy. Syn zrozumiał, że nie osiwiła nagle, lecz że uczesała się niedbale – i to go zaniepokoiło.

– Matuchna chora? – zapytał całując ją w rękę i siadając obok niej ze zgiętym kolaniem, jakby przyklęknął.

– Nie – odpowiedziała pani Latter.

– Mateczka wezwała mnie do siebie?...

– Trafia się to coraz częściej, bo sam nie przychodzisz.

Pan Kazimierz patrzył matce w oczy i znowu obudziło się w nim podejrzenie, że matka chyba używa jakich podniecających środków...

– Czy nie masz mi nic do powiedzenia, Kaziu? – zapytała pani Latter.

– Ja, matuchno?... Z jakiej racji?...

– Pytam się: czy nie masz w tych czasach... jakiego kłopotu, który należałoby powierzyć matce, w braku ojca?...

Pan Kazimierz zarumienił się.

– Mama pewnie myśli, że chory... Słowo honoru...

– Nie myślę, ja tylko pytam.

– Takim tonem, matuchno?... Założyłbym się, że ktoś narobił plotek, a mateczka zaraz uwierzyła... O, bo ja czuję, że matuchna od pewnego czasu jest inna dla mnie...

– Od ciebie zależy, ażebyś była taką jak dawniej...

– Jak dawniej?... A więc to prawda?... – zawołał pan Kazimierz chwytając matkę za rękę.

Ale pani Latter delikatnie cofnęła rękę i rzekła:

– Czy mógłbyś wyjechać za granicę?... Zaraz...

Twarcz pana Kazimierza ożywiła się.

– Za granicę?... Ależ ja na to czekam przeszło miesiąc.

– I nic nie zatrzymałoby cię w Warszawie?...

– Cóż by mnie mogło zatrzymać? – odparł zdziwiony pan Kazimierz. – Czy towarzystwo? ... Tam znajdę lepsze.

Zdziwienie jego było tak szczere, że pani Latter połowa ciężaru spadła z serca.

„Howardówna kłamie!” – pomyślała. Potem dodała głośno:

– A ile potrzebowałbyś pieniędzy na wyjazd?

Pan Kazimierz zdziwił się jeszcze bardziej.

– Wszakże matuchna – odpowiedział – przeznaczyła mi na wyjazd tysiąc trzysta rubli...

Pani Latter opadły ręce. Spojrzała na syna prawie z rozpaczą (co on przypisał działaniu narkotyków) i – milczała.

– Co matuchnie jest?... – zapytał słodkim głosem nie mogąc opędzić się przed podejrzeniami o owych narkotykach.

Tym razem matka nie cofnęła ręki; owszem, uściśnęła go.

– Co mnie jest, moje dziecko?... Ach, gdybyś ty wiedział... Tysiąc trzysta rubli... Na co tak dużo?...

– Matuchna sama oznaczyła tę sumę.

– Prawda, oznaczyłam... Ale gdyby tak wielka suma robiła mi różnicę?... Pomyśl tylko: jaki ja ogromny dom prowadzę...

Teraz pan Kazimierz cofnął rękę, zerwał się z kanapki i zaczął chodzić po gabinecie.

– Ach, Boże!... tyle wstępów... – mówił rozdrażnionym głosem – dlaczego mama nie powie wprost: nie możesz się dalej kształcić... A matuchna certuje się ze mną, jak gdybym robił jej łaskę wyjeżdżając za granicę... Nie, to nie!... Szkoda, że zerwałem stosunki z koleją... Bo gdyby nie to, zaraz dziś zrobiłbym podanie i zostałbym jakim urzędniczyzną. Potem ożeniłbym się bogato i... byłaby mama zadowolona.

– Bodajbyś nie ożenił się ubogo – cicho wtrąciła pani Latter.

– Jakim sposobem?

– A gdybyś... gdybyś zaciągnął zobowiązania – mówiła zmieszana.

– Zobowiązania?... Coraz lepiej!... – śmiał się pan Kazimierz. – Także mateczka zna mężczyzn! Gdyby chcieli żenić się z każdą, która ma do nich pretensję, trzeba by zaprowadzić mahometanizm w Europie...

Pani Latter doznawała dziwnych uczuć przysłuchując się zdaniom, które syn wypowiadał tonem prawie niegrzecznym. Uspokoila się wprawdzie co do Joasi, ale raził ją cynizm.

„Tak, to już zupełny mężczyzna” – myślała, a głośno rzekła:

– Kaziu... Kaziu... nie poznaję cię... Jeszcze przed pół rokiem nie mówiłbyś do matki w ten sposób. Aż boję się usłyszeć, jakie ty życie musisz prowadzić...

– Przypuśćmy, że nie najgorsze – odparł syn łagodniej – ale gdyby nawet... to cóżem winien? Jestem człowiek zatrzymany w połowie kariery... Lękam się, czy już nie jest zwichnięta... Tracę z oczu wyższe cele...

Pani Latter podniosła głowę.

– Robisz mi wymówki?... – spytała. – Ja temu winnam?...

Syn znowu usiadł obok niej i pochwycił jej rękę.

– To nie wymówki, mateczko! – zawołał. – Jesteś kobietą świętą i pełną poświęcenia dla nas, o tym wiem. Ale musi matuchna przyznać, że okoliczności nie były dla mnie sprawiedliwe. Twoje wychowanie, matuchno, rozwinęło we mnie popęd do celów wyższych i szlachetniejszych... chciałem być czymś... Nawet los sprzyjał mi z początku i postawił na właściwej drodze... Ale dziś...

Zasłonił oczy i westchnął:

– Ach, kto wie, czy już nie jestem zmarnowany!...

Pani Latter spojrzała na syna przerażona. W jego tonie było tyle fałszu czy może naśmiewania się, że odczuło to ucho matki.

– Co ty mówisz i w jaki sposób do mnie? – rzekła surowo. – Mówisz o zmarnowanej karierze ty, który dotychczas nie troszczyłeś się o siebie?... A przypomnij sobie kolegów, choćby... choćby tego Kotowskiego...

– Ach, ten od Lewińskiej?...

– Wstydź się... Ten chłopak prawie od dziecka sam się utrzymuje, a mimo to dziś jest pełen wiary w przyszłość...

– Ten osioł! – przerwał syn cierpko. – Stróże daleko wcześniej zaczynają pracować i nigdy nie wątpią, gdyż zawsze będą stróżami. Ale są kariery podobne do chodzenia na linie, gdy lada krok, lada wahnięcie się...

W twarzy pani Latter nie drgnął żaden mięsień, ale z oczu płynęły łzy.

– Matuchna płacze?... z mojej winy!... – zawołał klękając.

Odsunęła go.

– Płaczę nie z twojej winy i nie nad tobą, ale nad sobą... Rozmowa dzisiejsza robi takie wrażenie, jakbyś mi zdejmował kataraktę z oczu po to, ażeby zobaczyć smutną prawdę...

– Matuchna przesa... matuchna jest rozdrażniona czymś...

– Oto widzisz, każde twoje słowo, każde spojrzenie przypomina mi, że już nie jesteś dzieckiem, ale dorosłym młodzieńcem...

– To przecież naturalne – wtrącił.

– A przy tym jesteś moim wierzycielem, który daje mi poznać, że mu nie spłaciłam zaciągniętego długu. Tak! nie przerywaj mi. Wychowując was zaciągnęłam dług wobec waszej przyszości, a dziś nie mam... To jest, dziś muszę go spłacić...

Dostaniesz pieniądze... Jedź i kształć się... Rób karierę... Ale pamiętaj, że za rok mogę już nie mieć pieniędzy. A w takim razie dług mój względem ciebie umorzy się samą siłą rzeczy.

Pan Kazimierz zaczął biegać po gabinecie i ściskać oburącz głowę.

– Co ja zrobiłem, nieszczęśliwy!... Co się tu dzieje!... Mateczka jest dla mnie jakaś dziwna... Nigdy nic podobnego nie słyszałem!...

A potem stając przed matką dodał:

– Już nic nie chcę... Nie pojedę za granicę...

– Więc co będziesz robił? – zapytała spokojnie.

– Wezmę się do pracy... wstąpię do jakiego biura... Czy ja wiem?... To pewne, że mój uniwersytet przepadł.

I znowu biegał, i znowu targał sobie piękne blond włosy. Pani Latter w milczeniu przypatrywała się wybuchowi, a gdy syn, zmęczony, upadł na fotel obok biurka, rzekła chłodno:

– Posłuchaj! Widzę, że jeszcze jesteś dzieciakiem, a zachowujesz się jak histeryczka. Rozumiesz?...

Im bardziej stanowczo brzmiał głos pani Latter, tym na twarzy pana Kazimierza wyraźniej malowała się pokora.

– Ty nie umiesz sobą kierować, a więc ja jeszcze raz pokieruję tobą. Dostaniesz pieniądze i wyjedziesz za kilka dni. Jutro staraj się o paszport.

– Matuchna nie może już wydawać na mnie...

– Ja... mogę – wszystko, co chcę... Rozumiesz?... Dam ci pięćset rubli do wakacyj i jedź...

– Pięćset?... – powtórzył zdziwiony syn. – Matuchno – dodał – droga, jedyna matuchno... pozwól mi zostać... Z pięćmaset rublami nie mam po co jechać...

– Dlaczego? – zawołała pani Latter.

– Bo od razu znajdę się w takich stosunkach, które wymagają pieniędzy. Może za miesiąc już nie będę od matuchny potrzebował, może... czy ja wiem?... znajdę zajęcie... Ale na pierwszy raz... z tymi rekomendacjami, jakie stąd wywożę, muszę mieć trochę pieniędzy...

– Nie rozumiem cię.

– Widzi matuchna – mówił nieco śmielej – moje znajomości w Berlinie czy w Wiedniu nie będą studenckie, lecz salonowe... Rozumie się, że zyskam na tym więcej, ale... muszę zaprezentować się jak człowiek salonowy.

Pani Latter pilnie wpatrywała się w niego.

– Ty masz długi? – rzekła nagle.

– Żadnych – odparł zmieszany.

– Dajesz słowo?

– Daję słowo – zawołał bijąc się w piersi.

– Więc tylko dla zawiązania tam stosunków chcesz mieć tysiąc trzysta rubli?

– Tak... stosunków, które dadzą mi odpowiednie zajęcie...

Pani Latter wahała się przez chwilę.

– Ha! – rzekła – zwyciężyłeś!... Dam ci tysiąc trzysta rubli...

– O, matuchno!... – zawołał, znowu upadając na kolana. – To już ostatnia pomoc...

– Z pewnością ostatnia, bo... już nic nie będę miała dla ciebie.

– A Hela i Solski?... – spytał figlarnie, wciąż klęcząc.

– Ach, na Helę rachujesz?... Życzę ci, abyś się na tym nie zawiódł, a ja... na tobie.

Pan Kazimierz podniósł się, matka mówiła dalej tonem osoby, która ma władzę:

– Pamiętaj, Kaziu: oszczędzam ci wielu przykrych zwierzeń, bo mi nie pomożesz, a potrzebujesz mieć energię dla siebie. Ale powtarzam: pamiętaj, że gdybyś mnie teraz zawiódł,

zadałbyś mi straszne cierpienie i potargałbyś dużo serdecznych nici między nami. Pamiętaj, że przestałeś być dzieckiem nawet wobec matki, z którą musisz zacząć się rachować nieledwie jak z obcą... Bo ja... jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa...

Syn pochwycił ją w objęcia i pocałunkami starał się uspokoić. Siedział jeszcze z godzinę i pożegnał ją w lepszym nieco usposobieniu.

Jednak wychodząc myślał:

„Szczególna rzecz: matka chwilami wydaje mi się inną, naprawdę obcą... Jak te kobiety umieją się zmieniać!... Nawet matki... A wszystko z powodu pieniędzy!... Niechże już Hela raz wyjdzie za mąż albo jakiego diabła...”.

23. Znowu pożegnanie

W kilka dni później, w południe, pan Kazimierz, ubrany jak do podróży, był na pożegnaniu u matki. Czuli oboje, że między nimi istnieje przymus, są niezadane pytania i niewymówione zdania.

Było to naturalne, gdyż pan Kazimierz z niepokojem czekał na pieniądze, a pani Latter miała nieokreślone wątpliwości co do sposobu użycia ich przez syna. Już mu nie ufała.

– Więc dzisiaj jedziesz – zapytała nie patrząc ma w oczy.

– Za godzinę – odparł. – Dziś jedziemy z młodym Goldwaserem do niego na wieś, a stamtąd do Berlina. Ich folwark, Złote Wody, leży o parę wiorst od stacji.

Pani Latter przysłuchiwała się nie tyle temu, co syn mówił, ile – jak on mówił. W podobny sposób mechanik przysłuchuje się warczeniu maszyny, ażeby poznać, czy się w niej co nie zepsuło.

– Z Goldwaserem?... – powtórzyła budząc się z zamyślenia. – Miałeś przecie jechać z hrabią Tuczyńskim... Skąd znowu ten Goldwaser?...

Pana Kazimierza zirytowało pytanie, lecz hamował się.

– Mateczka bada mnie, jak gdyby mi nie dowierzała – mówił. – Z Tuczyńskim spotkamy się w Berlinie, a z Goldwaserem jadę, ponieważ zależy mi na nim. Przede wszystkim u jego ojca kupię przekaz, boć z taką gotówką bałbym się podróżować.

– Kupując przekaz robisz dobrze, ale po co te nowe stosunki?

Pan Kazimierz wesoło roześmiał się i zaczął całować panią Latter.

– Ach – zawołał – w matuchnie wciąż pokutuje szlachcianka!... Na hrabiów zgadza się mama, ale wobec stosunków z bankierami robi się na mateczce gęsia skórka. Tymczasem dla mnie – ci i tamci są tylko narzędziami. Arystokracja daje mi rozgłos, bankierzy dadzą dochody, ale właściwą pozycję dadzą mi dopiero masy, demokracja... Tam są moje ideały, tu – szczeble prowadzące do nich...

Pani Latter spojrzała na niego zdziwiona.

„Więc on – myślała – naprawdę do czegoś dąży?... On ma cel, plan, energię i bynajmniej nie jest niższy od Kotowskiego...”.

Serce w niej zadrżało. Pocałowała go w czoło i szepnęła:

– Mój synu... kochane dziecko!... Kiedy cię słucham, nie mogę nie wierzyć ci i nie kochać...

Ach, gdybyś ty mi jednak powiedział wszystko...

– Powiem. Cóż matuchna chce?

– Masz... czy masz jakie obowiązki względem Joanny?...

Pan Kazimierz podniósł ręce do góry i zaczął się śmiać.

– Cha... cha... cha!... Ja, względem Joasi?... Ależ ona w tej chwili kokietuje starego dziada, który ma kamienicę, i jemu chce narzucić obowiązki, nie mnie...

Pani Latter była zawstydzona, ale i uradowana.

– A teraz powiedz, tylko szczerze – długi masz?...

– No, czy mam!... – odparł. – Któż ich nie ma. Znajdzie się tam jakaś drobnostka, którą jeszcze dziś ureguluję.

– Byłeś winien Zgierskiemu?...

– Co?... – zawołał zmieszany pan Kazimierz. – To bydlę powiedziało...

– Nie mów tak na niego – przerwana pani Latter – bo on przyznał, że zwróciłeś wszystko. Ale czyś mu jeszcze nie winien, czyś nie winien innym?...

– Może znajdzie się coś, ale nie wiem ile. Drobnostka.

– Więc to nic wielkiego?... – pytała natarczywie pani Latter wpatrując się w syna. – Bo, moje dziecko, ja zawsze bałam się, ażebyście wy nie robili długów... Gdybyś wiedział, jak długi mnie samej ciężą...

– Mateczka ma długi? – zdziwił się pan Kazimierz.

– Mniejsza o nie. Zaciągam je z konieczności i płacę... Ale zaraz po założeniu tej pensji musiałam wykupić czyjeś weksle... spłaciłam dług zaciągnięty prawdopodobnie na zbytki... Ach, Kaziu, gdybyś ty wiedział, w jak ciężkiej chwili spadła na mnie ta niespodzianka... Chodziło o osiemset rubli, lecz ile one wtedy były dla mnie warte!... Myślałam, że zginiecie wy i ja... Na szczęście, los zesłał mi dobrych ludzi... Od tej jednak pory strasznie boję się niespodzianych długów...

– Czy to pan Latter tak mamę urządził? – zapytał pan Kazimierz surowo. – Co się też z nim dzieje?

– Zapewne już nic... Mniejsza o niego – odparła. – Jeżeli mam powiedzieć prawdę... (przebacz mi, Kaziu!) – dodała dziwnie tkliwym tonem – jeżeli mam przyznać się, to ci powiem... Bałam się strasznie...

– Czego, matuchno?

– Ażebyś i ty nie miał długów i ażeby po twoim wyjeździe nie spadło na mnie...

– Ależ, mateczko... Mateczko... czy godzi się, mnie posądzać o coś podobnego?...

Pani Latter płakała i śmiała się.

– Więc nie czeka mnie żadna niespodzianka? – mówiła. – Jesteś pewny?...

– Przysięgam ci, matko!... – zawołał upadając przed nią na kolana. – Mam drobne grzeszki... może za wiele traciłem czasu i wydawałem pieniędzy... może... Ale ty, matko, nie będziesz za mnie płacić kwitów... nie... nie!...

Pani Latter objęła klęczącego za szyję.

– Więc jedź... – mówiła wśród łkań. – Jedź, odznacz się, i pokaż ludziom, co możesz... O, Kaziu, jeżeli miłość i błogosławieństwo matki coś ważą na tym świecie, powinienes być najszczęśliwszy, bo... ty nie wiesz, jak ja cię kocham i ile błogosławieństw...

Płacz przerwał jej mowę. Wnet jednak uspokoiła się, a nawet widząc zakłopotanie syna odzyskała zupełną władzę nad sobą.

– Już musisz iść? – rzekła.

– Tak, matuchno.

– Więc idź, cóż robić?... A oto pieniądze – dodała wyjmując spory pakiet z biurka. – Jest tysiąc trzysta rubli...

Syn znowu zaczął ją całować w rękę, usta, w oczy.

– Pisuj do mnie – mówiła – pisuj często... bardzo często, i o wszystkim... Jak ci się powodzi, jak idą nauki... Jadaj nie wykwinne, ale zdrowe potrawy... kładź się spać wcześniej... znajdź pracę, ażeby nie niszczyła bielizny, i... oszczędzaj, Kaziu, oszczędzaj!... Ty nawet nie wiesz... nie domyślasz się... Ale przysięgam ci, że... ja już nie mogę... To ostatnie pieniądze... Przepraszam cię...

I znowu zapłakała.

– Czy z nami tak źle? – szepnął pan Kazimierz.

– Dosyć...

– No, ależ Hela wyjdzie za Solskiego?...

– W niej też cała nadzieja.

Taką była pożegnalna rozmowa pani Latter z synem, który niebawem opuścił mieszkanie matki.

24. Filozofia kuchenna

Po wyjeździe syna pani Latter wpadła w apatię; nie pokazywała się pensjonarkom, nie wychodziła ze swego mieszkania, lecz siedziała przed biurkiem z głową opartą na ręku albo kładła się na kanapce patrząc w sufit.

Tymczasem zbliżały się święta wielkanocne. Trzeba było dla uczennic urządzić rekolekcje, prowadzić dziewczynki do spowiedzi i komunii, pisać kwartalne cenzury. Dawniej przy podobnych okazjach pani Latter była bardzo czynna; dziś – usunęła się prawie od wszystkiego. Panna Howard zastępowała ją na pensji, panna Marta w zarządzie gospodarstwem, Madzia w kancelarii.

Raz Madzia weszła do pokoju przełożonej właśnie w sprawie rekolekcji i przypomniawszy, że mają zacząć się od jutra, dodała:

- Pewno pani do pomocy księdzu rektorowi zaprosi księży Feliksa i Gabriela?
- Dobrze.
- Pani napisze do nich?
- Listy?... Napisz sama.

W pół godziny Madzia przyniosła gotową korespondencję do podpisu. Pani Latter leżała na kanapce zapatrzona w sufit i niechętnie zwlokła się do biurka. Madzia przypatrywała jej się z obawą; pani Latter spostrzegła to i odłożywszy pióro zaczęła mówić tonem spokojnym, niekiedy drwiącym:

– Oto widzisz kobiecą samodzielność... Bo ja byłam samodzielną już wówczas, kiedy panie Howard nie śniła się jeszcze ani konna jazda, ani wolna miłość... Oto widzisz... Wychowałam dzieci, a nie mam dzieci. I pracowałam samodzielnie przez kilkanaście lat po to, ażeby dziś powiedzieć sobie, że nie mam... nawet chwili wypoczynku!

- Nadchodzą święta – wtrąciła Madzia – mamy blisko trzy tygodnie...
- Czy ty wyjeżdżasz? – spytała pani Latter
- Nie – odparła Madzia rumieniąc się.
- Ale mogłabyś wyjechać... masz gdzie wyjechać – mówiła podniesionym głosem pani Latter.
- A ja czy mogę i... dokąd bym pojechała?...

Zamglone jej oczy roziskrzyły się i zwykle piękne rysy przybrały dziki wyraz.

– Powiedz: kogo ja mam i... gdzie wyjadę?... Chyba do tego pocziwego Mielnickiego... Ale i tam nie opuści mnie ani samotność, ani troska... Czy więc warto jechać?... Zapraszał mnie, wiem, że z całego serca... Pisał, ażebym przyjechała z Manią Lewińską, bo inaczej dziewczynę zabierze na święta jej babka, której ona boi się... Ale co mi po tym...

Madzia była zdziwiona wielomówstwem pani Latter, która nie lubiła zwierzać się ze swoich zamiarów ani uczuć. Wnet jednak dostrzegła, że przełożona nie patrzy na nią, tylko w okno, i nie mówi do niej, tylko jakby do kogoś za oknem.

– Samodzielność... samodzielność... – powtarzała pani Latter uśmiechając się. – Ach, głupia ta Howardówna!... Ona chciałaby wszystkie dziewczęta porobić samodzielnymi... takimi męczennicami jak ja... Ale czy ona co rozumie?... Nawet nic nie widzi... Niby to goni za samodzielnością kobiet, a kopie grób najsamodzielniejszej...

Nagle odwróciła głowę i jakby spostrzegłszy Madzię zapytała:

- Cóż ta wariatka, ciągle wyklada wam teorię samodzielności?...

Zdumiona Madzia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ale pani Latter nie zauważyła tego. Zaczęła bębnić palcami po biurku i znowu mówiła zniżonym głosem:

– Przysięgam, że ta kobieta jest moim nieszczęściem! Pozawracała głowy smarkaczom, nawet Helence... Ułatwiała spacerować Joannie... urządziła schadзки uczennic ze studentami... A z tym Dębickim awantura!... Wszystko, wszystko przez nią...

I znowu odwróciła się do Madzi.

– Wiesz – rzekła – panna Howard nie będzie u nas od Wielkiejnocy. Sama mi to oświadczyła i ja jej nie zatrzymuję... Ach, ty czekasz na podpisanie listów do księży?... Gdybym choć przez jeden tydzień mogła nie myśleć o tych rzeczach, wyzdrowiałabym...

– Pani czuje się niezdrową? – spytała nieśmiało Madzia.

Teraz zdarzył się wypadek niespodziewany. Pani Latter z góry spojrzała na Madzię i podając jej listy rzekła tonem obrażonej zwierzchniczki:

– Proszę cię, zaadresuj to i natychmiast odeszlij przez którego ze służących. Mamy już niewiele czasu.

Madzia opuściła ją zatrwożona, nie śmiejąc nawet mówić z kimkolwiek o niezwykle zachowaniu się przełożonej.

Na parę dni przed uwolnieniem uczennic zmieniła się fizjognomia pensji. Kilka dalej mieszkających panienek już wyjechało, a między innymi Mania Lewińska do swojej babki do Żytomierza. Lekcje odbywały się nieregularnie. Niektórzy nauczyciele nie przychodzili i prawie nie było wieczornych zajęć z pensjonarkami, które zebrawszy się w oświetlonych salach czytywały powieści.

Tego wieczora panna Marta, gospodyni pensji, zobaczywszy Madzię spacerującą po korytarzu kiwnęła na nią palcem i szepnęła:

– Niech paniuńcia przyjdzie do mnie kuchennymi schodami... Mam doskonałą śmietankę i coś do powiedzenia...

Gdy Madzia wysłała jedną szóstoklasistkę do zastąpienia jej w trzeciej klasie i zbiegła do pokoju panny Marty, znalazła nakryty stół, kawę gotującą się na maszynce, garnuszek śmietanki i talerz lukrowanych sucharków.

– Ach, jak to dobrze! – zawołała wesoło. – Takam głodna...

Gospodyni złożyła ręce i podniosła oczy do nieba.

– Tak, tak!... – rzekła cicho – teraz tu wszyscy głodni... Dzisiaj dzieci strasznie narzekały na obiad, ale cóżem ja winna?... Pieniądzy nie ma.

– Pieniądzy?... – powtórzyła Madzia.

– Ach, świat się kończy, paniuńciu... sądny dzień! – wzdychała gospodyni nalewając kawę. – Nikomu tego nie powiedziałabym, ale pani muszę... Kiedy nam przyjdzie zapłacić choćby tylko profesorom, a to przecie – dziś, jutro, wtedy zabraknie na obiad... A tu i gospodarz odzywa się o komorne... szczerze powiem: grozi... Kalwin, nie człowiek.

– Skądże tak nagle? – zadziwiła się Madzia.

– Nie nagle, aniołeczku, nie nagle, duszyczko... (Prawda, jaki kozuszek?...) To nie nagle, kiedy Helenie daje się kilkaset rubli, a paniczowi tysiąc i kilkaset... Nikomu bym tego nie powiedziała, ale... z pensją tak robić nie można... Albo dzieci, albo pensja... O, jaka ja szczęśliwa, że nie mam dzieci!...

Madzia machinalnie piła kawę; apetyt opuścił ją.

– Niedobrze rozumiem... – szepnęła.

– Zaraz pani wytłumaczę – przerwała panna Marta. – (Prawda, jakie sucharki?...) Helenka nie może pracować, musi bogato wyjść za mąż, jest na wielką damę wychowana, więc – naści, Heluniu, parę setek, jedź za granicę i goń pana Solskiego... Kazio bisurmani się przez trzy kwartały i musi uciekać z Warszawy, więc – naści, Kaziu, tysiąc i kilkaset rubli, boś i ty wielki pan. Szast, prast, na lewo, na prawo i – nie ma na komorne!

Madzia, trzymając w ręku sucharek zamyśliła się i szepnęła:

– To dziwne...

– Co, paniuńciu? – pochwyciła panna Marta.

– Mówi pani tak jak Malinowska...

– A pani skąd wie?... – ciekawie zapytała gospodyni nachylając się do Madzi.

– Byłam u niej.

– Aaa... i paniuńcia była?... Tak, tak, każdy musi dbać o siebie... Bo i pani Méline już tam była, i panna Żaneta ma pójść jutro...

– Do Malinowskiej?... Po co?... – zawołała Madzia.

– Po to samo, po cośmy tam wszystkie były.

– Czy i pani?...

– A cóżem ja gorszego od innych?... – oburzyła się panna Marta. – Pani Latter bankrutuje, wszyscy ratujecie się... Dlaczego ja mam zostać bez chleba?... Przecie służyłam wiernie, oj, oj! i nie tylko pensjonarkom, ale pannie Helenie i panu Kazimierzowi... Za cóż mam ginąć?

– Ależ ja byłam u Malinowskiej z panną Howard już dawno i wcale nie prosiłam o miejsce – tłomaczyła się obrażona Madzia.

– Nie? więc niech pani jutro idzie do niej i prosi o miejsce. Tak nie można... Już się tam zapisało z trzydzieści kandydatek na damy klasowe, a ze cztery na gospodynie...

Madzia upuściła sucharek, odsunęła resztkę kawy i złożywszy ręce rzekła:

– Boże, Boże!... cóż wy robicie najlepszego?... – zabijacie panią Latter...

– Cicho, cicho!... – uspokajała ją panna Marta. – Zabijamy!... Nie my, sama się zgubiła... Jezus Maria, mając takie dochody przez kilkanaście lat można było coś odłożyć... A tu wszystko wydało się na dom, na szyk, na dzieci... Taki pan Kazimierz sam kosztował z piętnaście tysięcy rubli! ... Zjadł – i teraz nie ma...

– Skąd pani wie, że nie ma?

– Oho, skąd!... Ja wiem wszystko, od czegożem gospodyni? Myślałam, że bodaj opędzimy komorne i wydatki do świąt; ale gdzie tam... W kasie tak krucho, że pani wczoraj posyłała mnie tam... naprzeciw, do Szlamszejna...

– Cóż to za jeden?

– Lichwiarz, paniuńciu, lichwiarz!... – mówiła panna Marta trzęsąc rękoma. – A i ten już dać nie chce... Przyjął mnie, jak gdybym przyszła po prośbie, i powiedział: kiedy wam było dobrze, robiliście interesa z Fiszmanem, to i teraz idźcie do Fiszmana... Naturalnie, trzasnęłam gałganowi drzwiami pod nosem, ale zaraz przyszło mi na myśl, że pani przełożona nie od dzisiaj ucieka się do lichwiarzy... A taki Zgierski może nie ma u nas pięciu tysięcy rubli?... Jeszcze jak!... Nawet spisał umowę, że wszystkie meble pani przełożonej, wszystkie ławki, szafy, tablice należą do niego.

– Ten Zgierski?... – spytała Madzia.

– A ten, ten... To ziółko... Od jednej mojej znajomej magazynierki bierze za tysiąc rubli sto pięćdziesiąt rocznie, a drugiej, także mojej znajomej, co ma sklep wiejski, pożyczył pięćset rubli i bierze sto na rok... Jezusek! takie sobie wymyślił zarobki, że pożyczka tylko kobietom, które mają proceder, bo kobiety – mówi – są najpewniejsze. I prawda! Kobieta nie dośpi, nie doje, ale procent zapłaci, i jeszcze można się do niej umizgać albo do jej panien... Szelmy mężczyźni, ma rację panna Howard...

Madzia patrzyła w okno i rozmyślała.

– Wszystko to – rzekła – są chwilowe kłopoty pani Latter. Ale od wakacyj...

– Co od wakacyj? – przerwała gospodyni. – Od wakacyj możemy nie mieć żadnej uczennicy ani pensjonarki...

– Chyba... że ktoś będzie je odstręczał – odparła Madzia, ostro spojrzawszy na gospodynię.

Panna Marta rozniewała się, lecz nie podnosząc głosu rzekła:

– Paniuńcia, dalibóg, nie ma oczu ani uszu!... Ile to już ubyło nam panienek w tym roku, a przecie nikt ich nie odstręczał... Pensja straciła reputację – oto sekret. Dla jednych jest za droga, dla innych źle prowadzona... Pani myśli, że hece z Joasią albo z Dębickim mogły wyjść pensji na pożytek?

– Temu winna panna Howard.

– Bajki! – odparła gospodyni machając ręką. – Z Joasią wina pana Kazimierza, a z Dębickim – panny Heleny, bo ona pokłóciła się z nim. Dzieci, dzieci zrobiły to!... Rozkapryszone, rozpieszczone,

a pani Latter za słaba dla nich... Nie trzeba było pozwalać synowi na romanse z damą klasową, a Joasię, kiedy w nocy wróciła na pensję, oddalić zaraz. Albo gdyby Helence pani przełożona w porę natarła uszu, zamiast boczyć się na Dębickiego, to i on zostałby. Czy to nie grzech?... Taki był tani profesor...

Madzia powstała z krzesła.

– Więc tak! – rzekła z pałającymi oczyma. – Więc ma ginąć kobieta dobra i rozumna, dlatego że jej się noga powinęła?... Niech pani policzy, ilu ona osobom daje pracę, choćby nam...

Panna Marta ujęła się pod boki.

– Jak to zaraz znać, że paniuńcia jest zacofana!... Ho, ho... dobrze mówi panna Howard... Cóż za łaskę robi komu pani przełożona – prawiała wyrzucając ręką – że płaci za ciężką pracę?... A sobie ile płaciła?... Pani bierze piętnaście rubli za osiem godzin, ja piętnaście za cały dzień, a pani przełożona miewała po trzysta, pięćset i po sześćset rubli miesięcznie na czysto... A dużo napracowała się za to?... Tyle, co pani, czy tyle, co ja?

– Ale ona ma pensję.

– Więc co z tego? A paniuńcia nie może mieć pensji?... Alboż to nie ma przełożonych, które w dzień same uczą, a w nocy łatają sobie trzewiki i suknie?... Cóż to, damy klasowe, a choćby i ja, jesteśmy pańszczyźnianymi chłopami, a przełożona dziedziczką? Dlaczego ona ma zarabiać więcej aniżeli my wszystkie razem? A jeżeli pomimo takich zysków bankrutuje, czy ja mam nad nią płakać? Ja jestem taka sama kobieta jak i ona: także mogłam mieć dzieci i także potrafiłabym siadać na aksamitnych fotelach... Równość to równość!...

– Gorączkuje się pani – wtrąciła Madzia.

– Nie, paniuńciu – odpowiedziała już spokojniej gospodyni – tylko mnie serce boli na taką niesprawiedliwość. Ja zdzieram ręce do łokcia, nauczycielki psują sobie płuca, nic nie użyłyśmy, nic nie mamy i – nad nami nikt się nie lituje. A pani przełożona wydawała po kilka tysięcy rubli rocznie, gubi pensję, nie pomyśli, co z nami będzie, i nam nie wolno jeszcze dbać o siebie?... Oj!... niech paniuńcia nie zwłóczy, ale niech idzie do Malinowskiej, bo może przepaść i ten lichy zarobek, jaki jest.

– Mój Boże, mój Boże!... – mówiła Madzia jakby do siebie. – Tyle wykształciła nauczycielek dobrze płatnych, tyle uczennic bogato wyszło za mąż, tyle z nich ma pieniądze i żadna nie dopomaga...

– Płaciły za naukę – przerwała panna Marta. – Wreszcie jakże jej pomogą: mają zebrać składkę?... A nie każda przecie jest panną Solską, która tak sobie od ręki daje sześć tysięcy rubli... Nam nikt nie da i sześciu złotych.

Gospodyni widząc, że Madzia chce iść, schwyciła ją za rękę i rzekła:

– No, ale paniuńcia nikomu o tym nie wspomni, cośmy tu mówiły?...

– Komuż by, droga pani?... – odparła Madzia wzruszając ramionami i pożegnała ją.

„Cóż to za okropny świat!... – myślała idąc na górę. – Dopóki człowiek ma pieniądze, padają przed nim na kolana, ale kamienują go, gdy zubożał...”.

Rozmowa z panną Martą zrobiła na niej ogromne wrażenie. Nie chciała wierzyć, a jednak w ciągu godziny pani Latter coś straciła w jej oczach. Do tej pory wydawała się jej półboginią pełną władzy, mądrości i tajemniczego majestatu; dziś rozwiął się obłok i wyszła z niego kobieta, zwyczajna kobieta, podobna do panny Malinowskiej, nawet do panny Marty, tylko – nieszczęśliwsza od nich.

Miejsce obawy wobec przełożonej zajęło współczucie i litość. Madzia przypomniała sobie panią Latter leżącą na kanapce i usiłowała odgadnąć: o czym też myśli kobieta niepewna o przyszłość dzieci i która nie wie, czym jutro nakarmić pupilki?

„Muszę ją ratować!... – rzekła Madzia. – Napiszę do Ady...”.

Lecz przeciw projektowi wystąpił poważny zarzut. Przede wszystkim Ada już pożyczyła pani Latter sześć tysięcy rubli, o czym wiedziano nawet na pensji. A po wtóre – panna Solska, która jeszcze

przed Bożym Narodzeniem lękała się, ażeby jej brat nie zakochał się w Helenie – dziś, kiedy się to stało (o czym również mówiono na pensji), mogła stracić sympatię i do Heleny, i do jej matki.

– Tak, tak!... – szepnęła – Ada nie jest zadowolona; widać to z listów...

Listy panny Solskiej do Madzi były krótkie, nieczęste, lecz pomimo ukrywania się czuć w nich było gorycz i żal do Helenki.

„Helena traktuje serce jak zabawkę” – pisała Ada w jednym liście. – „Zanadto kokietuje wszystkich mężczyzn” – mówiła w drugim. A w ostatnim, pisanym przed dwoma tygodniami, znalazło się zdanie: „Niekiedy z rozpaczą myślę, że Stefan nie będzie szczęśliwy...”.

– Nie, w tych warunkach nie wypada odwoływać się o pomoc do panny Solskiej.

Nagle przyszło Madzi na myśl, że naturalnym opiekunem Helenki i jej rodziny jest przecie sam pan Solski.

„Jeżeli kocha Helenkę i chce się z nią żenić – mówiła sobie – to nie dopuści do bankructwa jej matki... Owszem, powinien by się obrazić, gdyby nie doniesiono mu o tym...”.

I już chciała pisać do pana Stefana, lecz – przestraszyła się własnego zuchwalstwa.

„Boże, nieuleczalna ze mnie idiotka!... – szepnęła. – Jakże mogę zdradzać tajemnicę pani Latter i protegować ją u człowieka, którego widziałam raz w życiu?...”.

„Dębicki!... – błysnęło jej nazwisko i prawie zobaczyła przed sobą apatyczną twarz i niebieskie oczy matematyka. – On mnie nie wyda... on poradzi... on najlepiej załatwi... Rozumie się!... Przecież jest przyjacielem Solskiego, bibliotekarzem, mieszka w jego domu...”.

Lecz Dębicki został prawie wypędzony z pensji z winy Helenki, a pani Latter nawet nie przeprosiła go. Co więc począć, gdyby odpowiedział: mnie nic nie obchodzi pani Latter...

„Nie, on tego nie powie i mogąc uratować nieszczęśliwą kobietę nie zgubi jej...”.

Madzia tę noc przeleżała w gorączce, marząc, że rozmawia z Dębickim, że spiera się z nim, to znowu, że nie ma go w Warszawie. Męcząca to była noc, a szczególnie świtanie: Madzia co chwilę spoglądała na zegarek chcąc z rana pobiec do Dębickiego i opowiedzieć, co się dzieje.

Ale z rana nie mogła opuścić pensji, przed obiadem zaś ogarnął ją taki strach, że już myślała wyrzec się swoich projektów. Lecz po obiedzie zdecydowała się i zbiegła na dół do mieszkania pani Latter.

W przedpokoju spostrzegłszy Stanisława zapytała go:

– Czy jest pani przełożona?...

I znowu zatrwożyła się.

– Jest jakiś gość u pani – odparł lokaj pilnie wpatrując się w Magdalene.

– Chciałam powiedzieć pani przełożonej, że wyjdę do miasta... Kupię sobie woalkę – mówiła Madzia oblewając się rumieńcem.

– Niech panienka idzie; ja pani sam powiem... Wreszcie, to jakiś ważny gość; nim on wyjdzie, można ze trzy razy powrócić.

– E, to już nie pójdę, kiedy tak... – odpowiedziała Madzia nie wiedząc, dlaczego nie chce iść i z jakiej racji – znowu opanowała ją trwoga.

Rzeczywiście tego dnia nigdzie nie wyszła, ale dla kompensaty rozbolała ją głowa.

„Co mi po tym? – szeptała. – Co ja mam mieszać się do cudzych spraw?” – Lecz w następnej chwili z nieprzepartą siłą narzucała się jej idea, że ona musi pójść do Dębickiego, ponieważ on jeden uratuje przełożoną.

W jaki sposób i z jakiego powodu? – o to nie pytała.

25. Wypędzeni wracają

W tym czasie w mieszkaniu pani Latter roztrząsały się ważne kwestie.

Na pół godziny przed obiadem Stanisław wręczył pani Latter list przyniesiony przez posłańca, który czekał na odpowiedź. Pani Latter spojrzała na adres – charakter wydał się jej obcym. Powoli rozcięła kopertę i przeczytała kilka wyrazów napisanych po francusku:

„Dziś przyjechałem; proszę o rozmowę w wiadomej sprawie. Arnold”.

– Ma czekać posłaniec? – zapytał Stanisław.

– Przyjdiesz, jak zadzwonię – odpowiedziała pani Latter.

Przeczytała list drugi raz i rzekła do siebie śpiewającym tonem:

– Tak... tak... tak!... Nareszcie! Tego mi właśnie brakowało...

I przed oczyma jej wyobraźni stanął człowiek z pijacką fizjognomią, w odzieży poplamionej i obdartej... Takiego widziała raz na ulicy w Warszawie i w takiej postaci od lat wielu przedstawiała sobie swego drugiego męża. Nie mogło być inaczej. Ten drugi mąż, niegdyś piękny jak Apollo, odznaczał się nieśmiałością. Był tak strasznie nieśmiały, że nawet nie umiał się oświadczyć; przez dwa lata pożycia zachowywał się wobec niej jak lokaj; doprowadził ją do ruiny, a przynajmniej nie zapobiegł temu. Gdy mu zaś w trzecim roku małżeństwa powiedziała w uniesieniu, że jest przez nią utrzymywany i że ona ma prawo w każdej chwili wypędzić go – nie obraził się, tylko wyjechał pozostawiając jej do spłacenia długi.

Był to człowiek, którego pani Latter nienawidziła z całej duszy. Bo dlaczego on wtedy nie wybuchnął gniewem?... albo dlaczego jej nie przeprosił?... A jeżeli nie umiał ani gniewać się, ani przeproszać, dlaczego ją porzucił nie dając przez piętnaście lat znaku życia?...

„Więc jedno z trojga – myślała pani Latter. – Albo już nie żyje, albo wpadł za coś do więzienia, albo – rozpił się i znikczemniał.” Innej kariery nie mógł zrobić człowiek, którym ona tak strasznie pogardzała. Na dnie posępnych marzeń pani Latter powrót jej męża nie należał do nieprawdopodobieństw. Owszem, bo dlaczegoż by los miał jej oszczędzić największego nieszczęścia?... Może nie wrócić, ale może i wrócić – mówiła sobie. – Lecz jeżeli wróci, to z pewnością jak nędzarz i nędznik, którego ona będzie musiała ukrywać przed oczyma świata i przed własnymi dziećmi.

Niekiedy w chwilach osłabienia zdawało się jej, że gdyby wypędzony mąż wrócił, ze wstydu i gniewu odebrałaby sobie życie... Tymczasem nadeszła ta chwila i pani Latter, zamiast struchleć, otrząsnęła się ze swej apatii. Energicznym krokiem poszła do sypialni, wypita kieliszek wina i na przysłanym jej liście napisała jeden wyraz: „Czekam”. Włożyła w kopertę i zaadresowawszy „Monsieur Arnold”, kazała oddać posłańcowi.

Potem usiadła na fotelu i bawiąc się kościanym nożykiem patrzyła na drzwi, spokojnie czekając, rychło między portierami ukaza się łachmany, obrzękła twarz i załzawione oczy człowieka, który kiedyś zastąpił jej drogę na ulicy, a do którego musi być podobnym jej mąż.

Gdyby ją zapytano, jak długo czekała: godzinę czy kilka minut, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Również nie słyszała, że ktoś wszedł do przedpokoju, że zapukał do drzwi gabinetu i nie mogąc doczekać się wezwania sam je otworzył. Pani Latter pamiętała tylko, że jakiś cień ukazał się istotnie między portierami i zbliżał się do biurka. Pani Latter nie patrzyła mu w twarz, niemniej była pewną, że stoi przed nią obdarty pijak. Nawet zdawało jej się, że czuje zapach wódki.

– Czego nareszcie chcesz pan ode mnie? – zapytała go po francusku.

– Tak mnie witasz, Karolino... – odpowiedział głos dźwięczny jak organy.

Pani Latter zadrżała i podniosła głowę. O parę kroków od niej stał niezwykle piękny mężczyzna: średniego wzrostu, brunet, ze szlachetnymi rysami i matową cerą. Miał niewielkie czarne wąsiki i ciemne oczy, w których nie wiadomo, co więcej należało podziwiać – melancholię czy słodycz.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był ubrany bez zarzutu, a na palcu lewej ręki miał pierścion z dużym brylantem.

Pani Latter przypatrywała mu się zdumiona: ani śladu nędzy czy wyniszczenia...

„Aha! – pomyślała – więc musi być łotrem eleganckim... Oszukuje w karty albo okrada salony... Ale nic się nie zmienił...”.

– Chcę wiedzieć, czego pan sobie życzysz? – zapytała po raz drugi.

Na pięknej twarzy gościa odbiła się jakaś gra uczuć: był wzruszony, lecz zaczynał się dziwić.

– Karolino – mówił ciągle po francusku – nie mam i nie chcę mieć pretensji do twoich względów, ależ jestem co najmniej... dawnym znajomym... Zdaje mi się, że ten kamienny Sokrates przywitałby mnie inaczej... nawet to biurko... fotel... Aha!... i portrety dzieci – dodał, z uśmiechem patrząc na ścianę.

Pani Latter przygryzła wargi z gniewu.

– Dzieci – rzekła – a nawet biurko i fotele były własnością mego pierwszego męża... Są to więc bardzo dalecy znajomi pańscy – dodała z naciskiem.

Twarz gościa pociemniała rumieńcem.

– Wybornie! – odparł już innym tonem – chcesz sprowadzić nasze stosunki od razu na grunt właściwy... Doskonale!... Pozwoli pani jednak, że usiądę...

Siadł na fotelu, od którego pani Latter ze wstrętem odsunęła się na drugi koniec kanapki.

– Przed paroma miesiącami – mówił – otrzymała pani ode mnie list z Waszyngtonu, pisany w grudniu roku zeszłego.

– Nic nie otrzymałam.

– Nie?... – zdziwił się gość.

– Nic i nigdy.

– Nigdy?... A jednak pisałem do pani i w roku 1867 z miasta Richmond w stanie Kentucky.

Pani Latter milczała.

– Nic nie rozumiem... – mówił gość nieco zmieszany. – Ja wprawdzie teraz, zamiast: Eugeniusz Arnold Latter, nazywam się krótko: Eugeniusz Arnold, no, ale chyba to nie spowodowało nieporozumienia.

– Ach, więc mamy zmianę nazwiska!... – zawołała pani Latter z szyderczym śmiechem, uderzając ręką w poręcz kanapki. – To daje do myślenia, że nie traciłeś pan czasu...

Gość patrzył na nią zdziwiony.

– Chyba słyszała pani o mnie...

– Nic nie słyszałam – odparła szorstko. – Ale znam tę pochyłość, po której staczają się słabe charaktery...

Gość znowu zarumienił się, ale tym razem z gniewu.

– Pozwoli pani, że w kilku słowach dam jej małe objaśnienie.

Pani Latter bawiła się wstążką sukni.

– Jak pani wiadomo, zawsze byłem nieśmiały: w liceum, w uniwersytecie... Gdy przyjechałem do tego kraju na nauczyciela prywatnego, moja nieszczęsna wada spotęgowała się, a gdy... miałem zaszczyt zostać mężem pani... prawie przeszła w chorobę...

– Co jednak nie przeszkadzało umizgać się...

– Mówi pani o tej guwernantce z Grenoble, do której – nie umizgałem się, tylko jej pomagałem jako rodaczce... Ale mniejsza o nią...

Otóż, gdy otrzymałem – raz na zawsze – dymisję od pani, pojechałem do Niemiec pragnąc tam zostać guwernerem. Poradzono mi jednak, ażebym przeniósł się do Ameryki, co też zrobiłem.

Chwilę odpoczął.

– Tam trafiłem na wojnę domową i z biedy zapisałem się do armii północnej jako Eugeniusz Arnold. Zmieniłem nazwisko z obawy, ażeby go nie skompromitować, ponieważ byłem pewny, że

z moją nieśmiałością, jeżeli natychmiast nie zginę, to albo ucieknę w pierwszej bitwie, albo zostanę rozstrzelany – za zbiegostwo.

Wnet jednak przekonałem się, że nieśmiałość i tchórzostwo są dwie rzeczy różne. Krótko mówiąc: skończyłem kampanię w randze majora, dostałem od rządu trzysta dolarów emerytury, od kolegów ten oto pierścień i – co mnie najwięcej dziwiło – nauczyłem się rozkazywać, ja, który niegdyś tylko spełniałem rozkazy wszystkich, nawet moich uczniów...

A ponieważ tak wybornie posłużyło mi nowe nazwisko, więc – zatrzymałem je.

– Budująca historia – odezwała się pani Latter. – Ja inne stawiałam panu wróżby...

– Wolno wiedzieć? – spytał ciekawie.

– Że pan będziesz grał w karty.

Gość roześmiał się.

– Ja nigdy nie biorę kart do ręki.

– Grywałeś pan jednak co wieczór.

– Ach, tutaj?... Przepraszam panią, ale chodziłem do znajomych na wista dlatego, ażeby... nie być w domu...

– To jednak kosztowało.

– Nie tak wiele. Może w ciągu tych paru miesięcy przegrałem... ile?... z dziesięć rubli.

– Zostawiłeś pan długi.

Gość zerwał się z fotelu.

– Jestem gotów spłacić je, od dawna... Ale skąd pani wie o nich?...

– Musiałam wykupić pańskie weksle.

– Pani?... – zawołał uderzając się w czoło. – Nie pomyślałem o tym!... Ale to nie były długi karciane. Raz poręczyłem za jednym rodakiem... Drugi raz – trzeba było wykupić stąd i wysłać do Francji tę guwernantkę z Grenoble, a trzeci raz wziąłem pieniądze na własną podróż będąc pewny, że odeszlę je z Niemiec w pół roku... Los zrządził inaczej, ale spłacę choćby dziś, jestem na to przygotowany. Nie wynoszą one tysiąca rubli.

– Osiemset – wtrąciła pani Latter.

– Weksle pani ma? – spytał.

– Są przedarte.

– To nic nie stanowi. Nawet choćby ich nie było, wystarczy mi słowo pani, że nie znajdują się w obcych rękach.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Gość był zakłopotany jak człowiek, który ma powiedzieć coś niemiłego, a pani Latter wpadła w zadumę. W jej duszy gotował się przewrót.

„Odda mi osiemset rubli – myślała. – Jest zupełnie przyzwoitym człowiekiem, jeżeli nie kłamie... Ale on nigdy nie kłamał... Guwernantki nie bałamucił, w karty nie grał, więc... o co myśmy się poróżnili?... I dlaczego nie mielibyśmy się pogodzić? Dlaczego?...”

Ocknęła się i patrząc łagodniej na swego eks-męża rzekła:

– Przypuszczając, że to, co pan mówił, jest prawdą...

Gość wyprostował się, w oczach błysnął mu gniew.

– Za pozwoleniem – przerwał twardym tonem – do kogo pani raczy odzywać się w ten sposób? ... Nikt nie ma prawa kwestionować tego, co ja mówię.

Pani Latter zdziwiła się, nawet zlekła wybuchu, któremu potężny głos mówiącego nadawał niezwykłą powagę.

„Dlaczego on wtedy tak mi nie odpowiadał?... Skąd ten głos?...” – przeleciało jej przez myśl.

– Nie chcę pana obrażać – rzekła – ale... musisz przyznać, że między nami istnieją dawne i bolesne rachunki...

– Jakież?... Wszystko płacę... Osiemset rubli dziś, resztę za miesiąc...

– Są rachunki moralne...

Gość patrzył na nią zdumiony. Pani Latter przyznawała w duchu, że nie zdarzyło jej się widzieć spojrzenia, w którym byłoby tyle rozumu, siły i jeszcze czegoś – czego się obawiała.

– Moralne – rachunki – między nami?... – powtórzył gość. – I to ja mam być dłużnikiem?...

– Opuściłeś mnie pan – przerwała podniecona – nie dawszy żadnego objaśnienia.

Na twarzy gościa widać było rosnący gniew, który w oczach pani Latter robił go jeszcze piękniejszym.

– Jak to?... – rzekł. – Pani, która przez kilka nieszczęsnych lat naszego pożycia traktowałaś mnie jak psa, jak... szlachcic swego guwernera... pani mówisz o opuszczeniu cię?... Całą moją winą jest to, że panią ubóstwiałem widząc w niej nie tylko ukochaną kobietę, ale i wielką damę barbarzyńskiego narodu, która zniżyła się do poślubienia biedaka emigranta... No, ale przez ostatni rok, a szczególnie ostatnią scenę, gdzie się prawie lękał, żebyś mnie pani nie kazała wybić swojej służbie, przez tę ostatnią scenę – wyleczyłem się...

Dziś panią rozumiem: jesteś córką scytyjskich kobiet, które wiecznie rządziły, rozkazywały i powinny by rodzić się mężczyznami... Ale ja byłem członkiem narodu ucywilizowanego i pomimo przywiązania, pomimo względów należnych kobiecie, pomimo nieśmiałości nie mogłem dłużej odegrywać roli zaprzedańca...

I lepiej się stało. Pani masz fach, który zaspokoił twoje instynkta władzy, przyniósł ci sławę i majątek, a ja – jestem człowiek wolny... Skorośmy się nie dobrali, najlepszym było to, żeś mnie pani uwolniła... O, to było bardzo stanowcze!...

– Zatarci małżeńskie nie niweczą sakramentu – odparła cicho pani Latter spuszczać oczy.

Gość wzruszył ramionami.

– Nie pomyślałeś pan nawet, że mogłam wpaść w nędzę z dziećmi... – dodała.

– Dzieci... a nawet fotel i biurko są własnością pierwszego męża pani – odparł sucho. – Sama pani to raczyłaś powiedzieć przed pół godziną i... tej zasady będziemy się pilnowali... Co zaś do bytu pani, byłem o niego spokojny. W roku 1867 spotkałem w Richmond dawną pokojówkę pani, Anielę, zdaje mi się. Wyszła tam za fabrykanta pończoch. Od niej dowiedziałem się, że założyła pani pensję, że robi pani majątek, że Kazio i Helenka są doskonale wychowani... Trochę dziwiła mnie ta pensja; lecz znając energię pani nie wątpiłem, że wszystko musi pójść dobrze.

Jakoż potwierdził mi to rok temu pan Sla... Śląski (tam nazywa się Slade, bo nikt by nie wymówił jego nazwiska), dawny sąsiad Norowa. On mi powiedział, że pani zrobiła majątek, że Helenka wyrosła na piękną pannę, a Kazio zapowiada się na genialnego człowieka... Wobec tych doniesień resztką żalu, jaki mogłem mieć do pani, zgasała we mnie. Zrozumiałem, że gdybym nie wyjechał wówczas, mogłem być zawadą w karierze pani i dzieci... A dziś powiadam, że to, co się stało, choć było dla mnie bardzo przykrym, dobrze się stało dla wszystkich. Wszyscy podźwignęliśmy się materialnie i moralnie. Ręka Boska najlepszą wytyka drogę ludziom.

Słuchając tego pani Latter czuła, że w jej sercu znika dawna nienawiść do męża, a miejsce jej zastępuje niepokój.

„To jest szlachetny człowiek – myślała – ale... z czym on do mnie przyjechał?...”.

26. Zatrzymywani odchodzą

Gość marszczył i tarł czoło z niewątpliwymi oznakami zakłopotania.

– Jakież masz zamiary nadal?... – zapytała nieśmiało pani Latter rumieniąc się.

Eks-mąż spojrzał na nią zdziwiony. Przed chwilą nazywała go panem, teraz mówi: ty...

– Więc pani nie odebrała mego listu z grudnia?... – rzekł.

– Treść jego możesz mi dzisiaj opowiedzieć...

– Ach, tak?... Naturalnie, że muszę – odparł.

Machinalnie sięgnął do cygarnicy.

– Chcesz palić?... – zapytała pani Latter prawie pokornym tonem.

– O nie!... – przerwał. – Szkoda, że zginął mój list...

– Czy były w nim jakie dokumenta?...

Gość nie odpowiedział. Znowu tarł czoło, nagle rzekł:

– Pani nie wie: mam syna... Chłopak dziesięcioletni, bardzo ładne i dobre dziecko...

Doskonale dziecko!...

Pani Latter zaćmiło się w oczach.

– Na imię mu Henryk – mówił gość – a ma tak smutne spojrzenie, kiedy się zamyśli, że nieraz drzę o niego i pytam się: skąd ten smutek i co on może zapowiadać?... Ale to chwilowe... Bo zwykle jest wesołym dzieckiem. Ach, jak umie być wesoły!... – dodał patrząc na panią Latter.

– Miło mi będzie uścisnąć twego syna – odpowiedziała zdławionym głosem. – Szkoda, żeś go nie przyprowadził...

– Z Waszyngtonu?... – wtrącił gość. – On przecież został z matką...

Pani Latter zbłądła.

– Otóż, proszę pani – mówił – tu leży powód mego przyjazdu...

Przystąpienie jednak do rzeczy robiło mu pewną trudność: kręcił się na fotelu i widocznie znowu zboczył od przedmiotu.

– Bo widzi pani, ja jestem jednym z głównych agentów fabryki Wooda, machin i narzędzi rolniczych. Dotychczas podróżowałem po Ameryce, lecz w tym roku chcąc rozmówić się z panią podjąłem się komisów do Rosji. Interesa są tak pilne, że muszę wyjechać jutro; lecz wrócę tu za miesiąc i dłużej zabawię... A tymczasem mój adwokat pomoże pani do załatwienia formalności...

– Nie rozumiem... – szepnęła pani Latter ściskając poręcz kanapki.

– Chodzi o rzecz drobną, którą pani, jako rozumna kobieta, może, a nawet ma obowiązek zrobić po tym, co między nami zaszło... Chodzi o to, ażeby pani ze swej strony zrobiła podanie do konsystorza katolickiego o rozwód...

Pani Latter patrzyła na niego osłupiała.

– Więc chcesz się żenić mając tu żonę?... I ja mam dopomagać ci do tego?... Spełniły się moje przeczucia!... Po rozmaitych bohaterskich historiach musieliśmy w końcu zawadzić o kryminał...

Gość znowu zakipiał gniewem.

– Za pozwoleniem. Muszę pani przypomnieć, że ja jestem kalwin, a nasz ślub odbył się tylko w kościele katolickim; jeżeli więc nie mylę się (nie mówiłem o tym jeszcze z adwokatami), ślub ten... nie wiem, czy jest ważny w obliczu mego wyznania?... Dalej, zostałem przez panią wypędzony z domu, co chyba wobec sumienia równa się rozwodowi, zwłaszcza że potem nastąpiła kilkunastoletnia rozłąka... A nareszcie, gdybym miał mniej skrupułów, w Ameryce znalazłbym sposób zawarcia najlegalniejszego małżeństwa nie odwołując się do pani.

– Więc po co ja mam prosić konsystorz o rozwód i może ponosić koszt?... – zawołała pani Latter z płonącymi oczyma. – Wracaj do swojej Ameryki i popełnij legalne dwużeństwo!... Ta, która obdarzyła cię synem, jest albo ofiarą oszustwa, albo...

Eks-mąż schwycił ją za rękę.

– Dosyć! – rzekł.

Ale pani Latter czując przewagę mówiła ze spokojnym szyderstwem:

– Czy ja chcę ją obrażać?... Mówię tylko, że jest jedno z dwojga: albo ją oszukałeś i wziąłeś z nią ślub, albo ona była twoją kochanką. Podziwiać cię będę, jeżeli wskażesz mi jaką trzecią alternatywę.

Gość spokorniał.

– Proszę pani, są rzeczy dziwne w Europie, a bardzo zrozumiałe w Ameryce. Żona moja... matka Henrysia – dodał – w czasie wojny była dozorczynią rannych i pomimo osiemnastu lat, a może właśnie dlatego – najskrajniejszą emancypantką. Szlachetna, wysoko ukształcona, pełna poezji, głosiła teorię, że prawdziwa miłość nie potrzebuje formułek... Więc gdy wyznałem, że ją kocham, i opowiedziałem moją historię, wzięła mnie za rękę i w sali pełnej rannych żołnierzy, ich krewnych i dozorczyń rzekła:

„Kocham tego człowieka, biorę go za męża i będę mu wierna...”.

I jest mi wierna.

– Szczęśliwy człowiek – syknęła pani Latter – nie brakuje mu nawet przyjemnych złudzeń...

Gość udał, że nie słyszy; spuścił głowę i mówił dalej:

– Z biegiem czasu, kiedy nasz syn wzrastał, rosło i jej przywiązanie do mnie, i – skrupuły. Od kilku lat widywałem ją niekiedy płaczącą. Na próżno pytałem: co jej jest?... Nie odpowiadała. Wreszcie widząc, że jej smutek doprowadza mnie do rozpacz, rzekła:

„Duchy mówią, że gdybym umarła przed twoją pierwszą żoną, nie ja byłabym z tobą po śmierci, ale tamta. Lecz dodają, że gdybyś miał od niej akt uwalniający cię ze ślubu, w takim razie, choćby ona mnie przeżyła, będziesz po śmierci moim”.

Ach – dodał – muszę panią objaśnić, że moja żona jest spirytystką, a nawet należy do mediów...

Pani Latter siedziała z założonymi rękoma; gość patrzył z niepokojem, widząc w jej oczach tlejące iskry nienawiści.

– Cóż pani na to?... – odezwał się tonem prośby.

– Ja?... – odpowiedziała jak przebudzona. – Posłuchaj, Arnoldzie... Przez kilkanaście lat żyłeś z nie znaną mi kobietą... pieściłeś ją... masz z nią syna... Twoja jakaś tam sława wojskowa należała do niej, twoja praca – do niej, twój majątek – do niej...

Zatchnęła się, lecz chwilę odpocząwszy mówiła dalej:

– Przez ten czas ja musiałam dźwigać ciężar wdowieństwa bez jego korzyści... Pracowałam nad utrzymaniem w porządku kilkuset osób, wychowywałam dzieci... Borykałam się z ludźmi, z obawą o jutro, niekiedy z rozpaczą, podczas gdy wy tam byliście szczęśliwi na mój koszt... Dziś wiesz, co mam za to?... Dwoje dzieci, których los nie jest ustalony, a dla siebie bankructwo... Kompletne bankructwo!... Już nawet zalegam w opłacie komornego, a gdybym dziś sprzedała pensję i spłaciła długi, nie wiem... czy wyjdę w jednej sukni.

W takiej chwili ty, który mnie obdarłeś ze swojej pomocy i osoby, ty przychodzisz do mnie i masz odwagę mówić:

„Kochana pani, zaakceptuj moje postępowanie z tobą, ponieważ jednej z moich przyjaciółek... powiedziały duchy, że powinna awansować na legalną żonę!...”.

Czyś ty oszalał, Arnoldzie, proponując mi coś podobnego?... A przecież ja się na to nigdy nie zgodzę... nigdy!... Chociażby moje własne dzieci u moich nóg konały z głodu...

Zerwała się z zaciśniętymi pięściami.

– Nigdy... słyszysz?... nigdy!...

Przeszła się kilka razy po gabinecie, szlochając. Powoli jednak uspokoiła się i otarłszy oczy stanęła przed mężem.

– No?... – rzekła krótko.

Gość spojrział na zegarek i także podniósł się z fotelu. Na jego ruchliwej twarzy malował się w tej chwili spokój.

– Widzę – rzekł – że jesteś pani bardziej rozdrażniona, aniżeli można było przypuszczać. No, ale trudno... Każdy ma swoje racje...

A teraz stawiam pani ultimatum.

Jest nas czworo: mój syn, Henryk, jego matka, ja i pani. Mam bardzo mały majątek – dwadzieścia tysięcy dolarów... Ale ponieważ jakiś czas żyłem na koszcie pani, więc oddam jej z mego mienia – pięć tysięcy dolarów.

Teraz idę do adwokata i powiem, co ma robić. Mniej więcej za miesiąc odbiorę kopię aktu i doręczę pani jej część pieniędzy... Rozumie się, niezależnie od opłaty za akta i od tych ośmiuset rubli, które winienem...

– Jesteś!... – syknęła pani Latter.

Lecz w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że pięć tysięcy dolarów po kursie bieżącym wynoszą półósma⁷ tysiąca rubli...

Gość niedbale machnął ręką, uklonił się i wyszedł nie odwracając głowy.

Pani Latter patrzyła za nim... patrzyła... a gdy skrzypnęły drzwi przedpokoju i na schodach rozległ się łoskot kroków odchodzącego, zalała się rzewnymi łzami.

W kwadrans potem umyła twarz i dysząca zemstą poczęła snuć plany upokorzenia człowieka, który śmiał być szczęśliwym pomimo jej nienawiści.

„Przebaczyłam mu, a on zaproponował rozwód!... Nędznik, krzywoprzysięzca, wielołożenca! ... Jakżebym chciała mieć teraz wielki, ogromny majątek... Pojechałabym tam, do niej, i powiedziałałabym:

Możecie pobrać się z sobą, popełnić świętokradztwo... Ale w obliczu Boga, ty, kobieto, zawsze będziesz tylko jego kochanką, a twój syn nieprawym dzieckiem... Wobec Boga nigdy nie będziecie mężem i żoną, nie połączycie się nawet po śmierci, bo ja... nie uwalniam go od przysięgi...”

Ocknęła się i ją samą zdziwił tak mocny wybuch.

„Ostatecznie – myślała – czego ja się drażnię... Dziecko nic nie winno, chyba tyle, że jest jego dzieckiem... A tamta, której nie wiem nawet nazwiska, warta swego współnika... Wypędziłam go, znalazł istotę godną siebie, i tak muszę nadal traktować ich stosunek: pogardliwie, nie dramatycznie.

Ach, gdyby Solski oświadczył się nareszcie o Helenę!... Za długo trwa ta wulkaniczna miłość, o której wszyscy mówią i kompromitują dziewczynę... Miałabym pieniądze, a od nędznika nie przyjąłabym nawet tych ośmiuset rubli, które mi winien. Wtedy pokazałabym mu drzwi, bo właściwie co za wspólność ze mną może mieć jakiś pan Arnold...”

Pani Latter przypominała sobie niedawną rozmowę, silny głos, grę fizjonomii Arnolda, jego niespodziewane wybuchy gniewu i doszła do wniosku, że ten człowiek – nie pozwoli się zdeptać.

„W każdym razie – mówiła w duchu – mam pewnych osiemset rubli za miesiąc: mogę więc dziś pożyczyć ze sześćset... A nędznik!... Daje mi siedem tysięcy rubli odstępnego, sam niewart siedmiu groszy... Tej sumy, rozumie się, nie przyjmę nigdy w świecie!...”

Kazała zawołać pannę Martę, a gdy gospodyni weszła, odezwała się do niej:

– Więc Szlamsztejn odmawia?...

– Co taki... z przeproszeniem pani, wie?... na czym on się zna?... Niby to gniewa się, że Fiszman u nas zarabiał – odparła gospodyni z grymasem.

Pani Latter zastanowiła się.

– Fiszman?... Drugi raz już mi to panna Marta powtarza. Nie znam żadnego Fiszmana. Może to ten, co nam masło przywozi?

– Nie, proszę pani. Masło przywozi Berek, a Fiszman to taki kapitalista. Już nawet wiem, gdzie mieszka...

– Trzeba go jutro sprowadzić – odparła pani Latter patrząc w okno. – Zawsze z końcem kwartału są niedobory... Ale za miesiąc będą pieniądze.

⁷ półósma (daw.) – siedem i pół. [przypis edytorski]

Kiwnęła głową na znak, że gospodyni może odejść, i znowu rozpoczęła gorączkowy spacer po gabinecie. Uśmiechała się sama do siebie czując, że gniew na męża rozbudził w jej duszy nowe zasoby energii.

„Nie dam się!... nie dam się!...” – powtarzała zaciskając pięści.

Nie pomyślała, na jak długo wystarczy jej ten nowy zapas sił i – czy nie jest on już ostatnim?

Wychodzącą pannę Martę dopędził w końcu korytarza Stanisław i wszedłszy do jej pokoju, tajemniczo zamknął drzwi za sobą. Potem wydobył portmonetkę, z niej złotą sztukę dziesięciomarkową i rzekł:

– Aha?... Niech pani zgadnie, od kogo to dostałem. To dopiero pan!... Bywali u nas nawet rublowi panowie, ale takiego jeszcze nie miał.

– Prawda – odpowiedziała gospodyni, której oczy uśmiechnęły się do złota. – Ważna sztuka! ... Mój Boże, teraz tego nigdzie nie widać, a jeszcze pamiętam za nieboszczki mamy...

– Co tam sztuka. Ale co to za pan, który mi ją dał?... Żebym powiedział pannie Marcie, trupem by padła... słowo daję!

– Och, jaki mi sekretarz!... Ode mnie wydobywa wszystko, co mam pod sercem, a sam droży się. Któż by mógł dać dukata, jeżeli nie pan Solski? Pewnie przyjechał oświadczyć się o panienkę... Chwała Bogu! – dodała wznosząc oczy i ręce do góry.

Ale zastanowiła ją poważna fizjonomia lokaja.

– No, niech Stanisław gada prędko albo niech się wynosi...

– Nie bardzo komu przeszłoby przez gardło takie słówko – odparł. – To, co powiem, mówię tylko pani, bo niech ręka boska zachowa...

– Zwariowaliście!... Więc kto był?

– Nieboszczyk pan...

– W imię Ojca i Syna... Jaki nieboszczyk?...

– Nieboszczyk Latter.

– Przysięgam, że zupełny wariat!... – szepnęła gospodyni wpijając się wzrokiem w twarz Stanisława. – Alboście wy znali go?

– Nie znałem, ale trochę słyszał, o czym gadali z panią. Niewielem rozumiał, bo to po francusku...

– Więc wy rozumiecie choć trochę?

– Ba! jest się tyle lat na pensji!... Nie wszystkom słyszał, niewielem rozumiał, ale zawsze wiem, że to był mąż, pan Latter... Mnie się to i dawniej o uszy obijało, że on jeszcze chodzi po świecie, ale nie myślał, że ma wypełnione kieszenie... Przecie rzucić złotą sztukę nie byle kto potrafi...

– Dzięki ci, Boże!... – westchnęła panna Marta. – Zawsze modliłam się na intencję naszej pani i byłam pewna, że wypłynie...

– Hum! Hum!... – mruknął Stanisław. – A ja w tym nic dobrego nie widzę. Naprzód – kłócili się, nawet pani coś powiedziała o kryminale, potem – jak on wyszedł, strasznie płakała, a nareszcie... Wreszcie to nigdy nie jest dobrze, kiedy pokazuje się człowiek, którego wszyscy mają za nieboszczyka. Będzie jakaś bieda.

Od krańcowego optymizmu panna Marta nader łatwo przerzucała się w krańcowy pesymizm. Więc i teraz splotła ręce na piersi i rzekła:

– Aaa... ja i to myślałam. Bo co znaczy mąż, którego nie było... nie było i naraz wylazł jak spod ziemi? Juźci, kiedy oni rozeszli się i pani aż musiała pensję założyć, więc nie musiało być między nimi kleju; a jeżeli teraz wrócił, i jeszcze bogaty...

– A jaki piękny pan!... Ho, ho! gdzie wygląda młodziej od naszej...

– O!... – przerwała panna Marta – to jest sęk... Młody i piękny mąż, żona starsza... O!... tu, tu jest nieszczęście... Żona biedna zdarła się w pracy, a on piękny i bogaty... Łajdaki mężczyźni!...

– Tylko... pani gospodyni... pary z ust nie trzeba puszczać przed nikim, bo z tego może wyjść nieszczęście i dla mnie... – rzekł Stanisław grożąc palcem.

I gdy uroczyście zabierał się do odejścia, panna Marta rozgniewana przestrożą schwyciła go za ramię i wypchnęła za drzwi.

W kwadrans panna Marta kocim krokiem wbiegła na górę szukać Madzi. Lecz że zamiast Madzi nasunęła jej się panna Howard, więc schwyciła ją za rękę, wciągnęła do pustej sali i zaczęła szeptać:

– Wie pani, co się stało?... Ale niech pani przysięgnie, że nikomu nie powie! – dodała podnosząc palec w górę. – Wie pani, Latter wrócił...

– Jaki Latter?...

– Latter, mąż pani przełożonej.

– Ależ on od dawna nie żyje.

– Owszem, od dawna żyje, tylko siedział w kryminale...

– Co?... co?...

– Był w kryminale – szeptała panna Marta. – Ale jaki on piękny!... ach, pani, czyste bóstwo, czysty Napolion!...

– Jaki Napolion?...

– Przecie ten, bożek piękności... A jaki bogaty... Pani, dał Stanisławowi parę... co mówię – dał kilka, a może i więcej złotych dziesięciomarkówek. To milioner.

– Skądże wziął? – spytała panna Howard wzruszając ramionami.

– Pewnie z tego, za co siedział w kryminale.

– On tu jest?

– Teraz wyszedł zameldować się policji, ale wróci...

– I będzie tu nocował?... – badała podnosząc głos panna Howard.

– Przecież kto tutaj ma żonę, w hotelu nocować nie będzie.

Panna Howard schwyciła się za głowę.

– Natychmiast się stąd wyprowadzam... Mężczyzna piękny, który był w kryminale, chce tu nocować! Nigdy, za nic...

– Na miłość boską, panno Klaro... – błagała ją przestraszona gospodyni. – Co pani robi?... przecież to największy sekret... tajemnica grobowa...

– A co mnie to obchodzi? – mówiła wzburzona panna Klara.

– Piękny i... był w kryminale... Ładnie bym jutro wyglądała!... Przecież taki człowiek musi być zdeterminowany na wszystko.

– Ależ, pani... ależ, panno Klaro... – szeptała gospodyni. – Już wszystko powiem... On tu nie będzie nocował, bo nienawidzi pani Latter... Ledwie wszedł, zaraz pokłócili się, a pani przełożona tak strasznie płakała jak w konwulsjach... Nic z tego nie będzie, ona go na próg nie puści... Może nawet nigdy się nie zobaczą...

Panna Howard zaczęła potrząsać głową.

– A co – rzekła – czy powinny kobiety wychodzić za mąż?... Potrzebne jej to było?... Tyle lat pracy i niewoli... Tyle lat męża nie miała, a gdy wrócił, także go mieć nie będzie!... Och, te małżeństwa!... Ja już od pewnego czasu spostrzegłam, że jej coś jest: była blada, zadumana, apatyczna... I nie dziwię się, skoro czekała na taki przysmak... Muszę ratować nieszczęśliwą...

– Na miłosierdzie Boga!... – jęknęła panna Marta – niech pani nic nie mówi.

Schwyciła ją za rękę i pchała we framugę, jakby mając zamiar wyrzucić pannę Howard za okno.

– Nudna pani jesteś!... – syknęła nauczycielka wyrывая się jej. – Naturalnie, nawet nie dam poznać, iż wiem, że mąż powrócił... Ja tylko wyrwę ją z apatii, wciągnę znowu do stosunków z pensją...

– Cóż to dziś za pensja? – wtrąciła gospodyni. – Większa część rozjechała się na święta, a reszta pojutrze... Co ona będzie miała z nimi do roboty?

Panna Howard z gniewem podniosła głowę do góry.

– Co pani pleciesz, panno Marto? – rzekła. – Nie ma co robić?... Ja tonę w pracy między tymi dziesięcioma kozami, a pani Latter nie ma co robić?... A przecież jestem o wiele energiczniejsza...

Ktoś szedł przez korytarz, więc obie damy rozbiegły się. Gospodyni zaczęła szukać Madzi, a panna Howard – rozmyślać nad sposobami wyrwania pani Latter z apatii.

„Kiedy znowu zajmie się panienkami i interesami jak ja, nawet piękny mąż wywietrzeje jej z głowy – mówiła sobie. – Dziś rozumiem wszystkie niekonsekwencje tej nieszczęśliwej... Naturalnie, bała się, ażeby mąż nie wrócił... Aha!... i wiem teraz, dlaczego jej grozi bankructwo... Wszystkie pieniądze, jakie wypracowała biedna niewolnica, musiała odsyłać do więzienia swemu panu. I otóż on jest bogaty, niktzemnik, a ona nie ma czym zapłacić za mieszkanie... Takie są korzyści małżeństw! ...”.

Około ósmej wieczór panna Howard zaprosiła do siebie Madzię. Posadziła ją na krześle, sama usiadła tyłem do lampy, skrzyżowała ręce na piersiach i utkwivszy w przestrzeń blade oczy rzekła niby obojętnym tonem:

– Cóż, wie pani o przełożonej?

– Ach, wiem... – odparła strapiona Madzia.

– O tym, że jej mąż wrócił?...

– Tak.

– Że jest piękny... że był w więzieniu...

– Bardzo bogaty – wtrąciła Madzia.

– I że znowu rozstali się z sobą – ciągnęła panna Howard.

– Wszystko wiem.

– Od kogo?... pewnie od Marty. A to plotkarka!... przez pięć minut nie utrzyma sekretu.

– Ależ ona błagała mnie o tajemnicę – rzekła Madzia.

– Więc już nie mam pani co mówić o szczegółach, ale... Posłuchaj mnie, pani – prawiała natchnionym tonem panna Howard wznosząc rękę.

W tej chwili zapukano do drzwi i odezwał się głos Stanisława:

– Pani przełożona prosi pannę Brzeską... Poczta przyszła...

– Zaraz idę – zawołała Madzia. – (Pewnie list od mamy...)

– Posłuchaj mnie, pani – mówiła panna Howard przykuwając ją spojrzeniem. – Życie pani Latter jest nowym dowodem, co to za klęska dla samodzielnej kobiety – małżeństwo...

– Ależ tak!... (Może wyjadę na święta?...) – szepnęła Madzia.

– Bo pani Latter – ciągnęła panna Howard – była i jest pierwszą u nas emancypantką. Pracowała, rozkazywała, robiła majątek, jak mężczyzna.

– Ciekawam... – wtrąciła Madzia kręcąc się na krześle.

– Tak, to była pierwsza emancypantka, pierwsza samodzielna kobieta – deklamowała z zapałem panna Howard. – A jeżeli dziś jest nieszczęśliwą, to tylko przez męża...

– O, z pewnością!... (Ciekawam?...)

– Mąż zatruwał jej godziny pracy, mąż odpędzał sen z jej powiek, mąż skalał nazwisko zbrodnią, mąż wyssał jej majątek, pomimo że był nieobecny...

Znowu zapukano do drzwi.

– Muszę iść – rzekła Madzia zrywając się z krzesła.

– Idź pani. – Ale pamiętaj, że jeżeli panią Latter, tę kobietę wyższą, kobietę przyszłości, spotka w tych czasach jaka okropna katastrofa...

Madzia zatrzęsa się.

– Niechże Bóg broni!... – szepnęła.

– Tak, jeżeli ją spotka jakie straszliwe nieszczęście, będzie to skutek powrotu jej męża. Bo mąż dla kobiety samodzielnej...

Madzia już wybiegła spiesząc do pani Latter.

„List od mamy!... list od mamy!... – myślała skacząc na schodach. – Może mama każe mi przyjechać na święta?... Jakby to było dobrze, bo mi tak straszno zostać tu... Biedna pani Latter z tym mężem”.

Wpadła do gabinetu i zastała przełożoną obok biurka z listem w ręku.

– Ach, Madziu, jakże długo trzeba czekać na ciebie!... – odezwała się pani Latter prawie ze złością.

Madzia zarumieniła się i zbladła.

– Spóźniłam się... – rzekła wylekwniona. – Pewnie od mojej mamy list...

Pani Latter niecierpliwie skinęła ręką.

– Masz tu list od Ady Solskiej... Nie wypieraj się... Stempel wenecki, a adres przez nią napisany...

Madzia zdziwiła się.

– Otóż chcę cię prosić – mówiła przełożona – ażebyś pozwoliła mi w twojej obecności przeczytać ten list...

– Ależ nie trwóż się – dodała spojrzawszy na Madzię. – Jakie z ciebie dziecko!... Chcę przeczytać list, bo od Helenki przeszło tydzień nie mam wiadomości, i niepokoję się... Ach, jak oni wszyscy mnie szarpią... Zresztą – ty sama przeczytaj, ale głośno... Masz tu nożyk, przetnij kopertę... Jej ręce drżą!... Dzieciaku, dzieciaku... No, czytajże nareszcie!...

Madzia, oszołomiona niecierpliwością przełożonej, zaczęła czytać nic nie rozumiejąc:

„Moja ty droga, moja jedyna – pisała panna Solska – chciałabym w tej chwili ciebie, was wszystkich, cały świat uściskać. Czy ty możesz wyobrazić sobie takie szczęście: Stefek wczoraj wyjechał z Wenecji szepnąwszy mi na wyjeździe, że jest wyleczony, a Hela – wiadomość o jego wyjeździe przyjęła śmiechem! Nawet w tej chwili widzę ją z okna, jak płynie po Wielkim Kanale z rodziną państwa L., z pannami O. i gromem młodzieży. Jadą trzema gondolami, a robią hałas, jak gdyby płynęła flota turecka. Ach, Madziu...”.

Madzia przerwała patrząc na przełożoną, która siedziała bez ruchu.

– Daj no mi... – rzekła szorstko pani Latter wyrywając z rąk Madzi papier. Parę razy przeczytała początek, potem zmięła list i uderzyła nim o biurko.

– A niegodziwe!... – syknęła. – Jedna zabija mnie, a druga – cieszy się z tego... Czy mi wydarł kto mózg – krzyknęła – czy jaki zły duch powydzieriał ludziom serca ludzkie, a powstawał tygrysie? ...

– Może by?... – wtrąciła Madzia.

– Czego?

– Pani taka zmieniona... ja podam szklankę wody... – zapytała Madzia drżąc całym ciałem.

– Ach, ty głupiutka dziewczyno!... – przerwała pani Latter z wybuchem. – Ona mnie wodą częstuje w chwili, kiedy odbieram wiadomość, że Solski porzucił Helenę... Nędznik!... Chociaż dlaczego on ma być lepszym od mojej własnej córki?... To potwór, to... Wychowałam, nie... wypieściłam ją na moją niedolę, okradłam się dla niej z majątku, a ona – jak mi płaci?... Gubi siebie, zakopuje przyszłość brata, a mnie – rzuca pod nogi człowiekowi, którym pogardzam i nienawidzę, jak nikogo na świecie... Czego się ty na mnie patrzysz?... – dodała.

– Ja... nic... – szepnęła Madzia.

– Przecie wiesz, że Solski szalał za tą przeklętą i ona go odtrąciła!... A chyba i to wiesz, że jestem zruj... że jestem w trudnym położeniu, że chcę wypocząć... wypocząć choćby tydzień... I ta, ta... córka jednym kaprysem przewraca... już nie tylko moje plany, ale możliwość bytu.

Zaczęła chodzić i załamywać ręce.

– Boże!... Boże... – szlochała Madzia czując, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Nagle pani Latter zatrzymała się nad jej krzesłem jakby uspokojona. Położyła rękę na jej głowie i rzekła łagodnym tonem:

– No, kochanko, nie płacz, przebac mi... Widzisz... nawet koń, gdy go rani ostroga, staje dęba... Jestem trochę prędka... boleśnie mnie raniono, więc... i ja rzuciłam się... Ależ to nie przeciw tobie...

– Mnie nie o to... – łkała Madzia. – Mnie tak przykro... tak strasznie przykro, że pani... jest...

Pani Latter wzruszyła ramionami i odparła z uśmiechem:

– W takim położeniu!... nie bierz tego dosłownie, kochanko, com mówiła... Cierpię, to prawda, ale... mnie nie można złamać, o nie!... Mam ja jeszcze rezerwy, które pozwolą mi i pensję podnieść, i Kaziowi skończyć edukację.

A Helenka – dodała oschłym tonem – musi przyjąć konsekwencję swoich kaprysów. Nie chciała być damą krociową, będzie od wakacyj damą klasową.

– Helenka? damą klasową?... – powtórzyła Madzia.

– Cóż w tym dziwnego?... Alboż ty nie jesteś ukochaną córką dla swojej matki, a jednak pracujesz? Wszyscy pracujemy i Helenka będzie pracowała, a to ją otrzeźwi... Ja dwojgu dzieciom już nie wydołam, a Kazio... musi skończyć edukację... musi zdobyć stanowisko, bo on kiedyś stanie się podporą dla mnie, dla Heleny, a może i dla innych... To jest materiał na człowieka w całym znaczeniu...

Madzia słuchała ze spuszczonej oczyma.

– No, już idź, moje dziecko – rzekła spokojnie pani Latter. – Przebac mi, zapomnij o tym, coś słyszała, i zabierz list... To już nie była szklanka, ale konewka wody, którą się otrzeźwiłam... Helena i Solski!... Krociowy pan i córka baby utrzymującej pensję, także dobrana para... Muszę przyznać, że Helena ma więcej zimnej krwi ode mnie, skoro od razu, po takiej wielkiej katastrofie, popłynęła na spacer...

Kiedy Madzia pożegnała ją i wyszła, pani Latter chodząc ze skrzyżowanymi rękoma po gabinecie myślała:

„Tak, panie Arnoldzie, dam ci rozwód, ale nie za pięć tylko za dziesięć tysięcy twoich dolarów... Mogę wam nawet udzielić błogosławieństwa, ale – za dziesięć tysięcy. Jeżeli tobie wolno dbać o nazwisko dla twego podrzutka, ja muszę dbać o karierę dla mego syna. Nie dam mu zwichnąć przyszłości, nie, nie!...”

Madzia wróciła do siebie z bólem głowy i ubrana rzuciła się na łóżko. W opustoszałej sypialni oprócz niej były dwie uczennice i te nagadawszy się o wyjeździe na święta twardo zasnęły.

Wtem późno w nocy skrzypnęły drzwi sypialni i ukazała się w nich przysłaniając świecę ręką pani Latter. Miała na sobie ciemny szlafrok opasany sznurem. Twarz była trupioblada, czarne włosy splątane i najeżone, a w oczach, które z uporem wpatrywały się w jakiś punkt nie istniejący, widać było trwogę.

Rozgorączkowanej Madzi dzika myśl przeleciała przez głowę, że – pani Latter chce ją zabić... Więc zasłoniła twarz rękoma i czekała czując, że w niej serce zamiera.

– Śpisz, Madziu? – szepnęła pani Latter schylona nad jej łóżkiem.

Madzia nie odsłaniając twarzy ostrożnie otworzyła jedno oko i zobaczyła rękę pani Latter; między jej palcami przekradał się różowy blask świecy.

– Śpisz? – powtórzyła przełożona.

Madzia nagle usiadła na łóżku, aż pani Latter cofnęła się i oczy jej straciły swój okropny wyraz.

– Cóż tu u was, spokojnie... Już tylko dwie panienki śpią w tej sali... Co to ja chciałam powiedzieć?... co ja chciałam?... Nie mogę zasnąć... Aha, pokaż no mi list...

– Który? – spytała Madzia.

– Ten Ady.

Madzia odsunęła szufladkę stolika i wydobyła list, który leżał na wierzchu. Pani Latter zbliżyła go do świecy i zaczęła czytać:

– Ach, tak, to on... Wenecja... Masz, moje dziecko, twój list... Dobranoc.

I opuściła sypialnię, znowu zasłaniając światło, ażeby nie obudzić panienek. Ale te nie spały.

- Po co tu przyszła pani przełożona? – rzekła jedna z nich.
- Przyszła jak zwykle spojrzeć na nas – odparła Madzia hamując mimowolne dreszcze.
- Jak to dobrze, że ja jutro wyjeżdżam – szepnęła druga pensjonarka. – Już bym tu nie zasnęła.
- Dlaczego? – spytała pierwsza.
- Czy nie widziałas, jak pani Latter strasznie wygląda?...

Umilkły. Madzia zaczęła się rozbierać ślubując, że na następną noc przeniesie się do innej sali.

Na drugi dzień lekcyj już nie było na pensji. Kilka uczennic zbierało się do wyjazdu na święta, te zaś, które miały zostać, korzystając z kwietniowej pogody wyszły z Madzią na spacer.

Ulice wyglądały wesoło, damy pozbywszy się zimowych strojów biegły uśmiechnięte z parasolkami w rękach, niedawny śnieg nie pozostawił ani śladu na ziemi, a na niebie bez chmury świeciło wiosenne słońce. Pensjonarki tak były zachwycone pogodą i ciepłem, iż na chwilę zapomniały, że one nie wyjeżdżają na święta.

Ale Madzia była zgnębiona. W sercu jej budziły się nieokreślone obawy, a w głowie krążyły niepowiązane zdania.

„Biedna ta pani Latter!... Dlaczego nie napisałam o niej do Ady?... Dlaczego nie poszłam do Dębickiego?... On jeden pomógłby nam...”.

Potem przyszło jej na myśl, że jeżeli Solski zerwał z Heleną, to może nie pożyczyc pieniędzy jej matce, a i sama pani Latter nie mogłaby od niego przyjmować żadnej grzeczności! Lecz mimo te uwagi uparty szeptał w niej głos, że powinna rozmówić się z Dębickim o położeniu pensji.

Co mógł poradzić ubogi nauczyciel, z którym tak niegodziwie postąpiono na pensji? A jednak Madzię coś ciągnęło do niego i poszłaby tam natychmiast, choćby tylko zapytać Dębickiego o zdrowie i przynajmniej opowiedzieć mu o wszystkim, co od dawna mąciło jej myśli i szarpało serce.

Poszłaby, ale – było jej wstyd.

„Co by to za plotki mogły z tego wyrosnąć?” – mówiła przechodząc pod oknami domu, w którym mieszkał Dębicki.

„Nie wypada, nie wypada...” – powtarzała sobie tłumiąc przecucie, że jednak za to słówko „nie wypada” ktoś drogo zapłaci.

O tej samej godzinie pani Latter siedząc w gabinecie załatwiała rachunki z nauczycielami. W miarę jak który przyszedł, mówiła z nim o tym, że dzień jest bardzo piękny, następnie dawała mu do podpisania wykaz lekcyj, które odrobił, podsuwała otwartą kopertę z pieniędzmi prosząc, aby je przeliczył, a nareszcie – polecała się jego łaskawym względem po świętach.

Żaden z interesantów, nie wyłączając księdza prefekta i lekarza Zarańskiego, którzy złożyli jej wizytę ostatni, nie zauważył u pani Latter nic szczególnego. Była mizerna i zmęczona, ale spokojna i uśmiechnięta.

Na dziedzińcu spotkał się ksiądz prefekt z doktorem i znowu pogadawszy z nim o pięknym dniu i o tym, czy nie wyjeżdża na święta – rzekł nagle:

– Tęgo się trzyma kobieta przy tych kłopotach!

– Kto ich nie ma! – odparł Zarański. – Zresztą pensja zawsze robi na mnie wrażenie bardzo kłopotliwej fabryki.

– Dobry sobie doktor – uśmiechnął się prefekt – pensję porównywać z fabryką... Tak, fabrykujemy dusze ludzkie!... A swoją drogą Latterowa w ostatnich czasach posunęła się.

– Nerwowa, zdenerwowana... – mruknął lekarz patrząc na swoje spodnie. – Wysłałbym ją na wakacje do morza, ale... ona nie uznaje medycyny. Żegnam kanonika!

– Wesołych świąt doktorowi – odparł ksiądz. – A mnie także trzeba na wakacje wysłać, tylko w takie miejsce, gdzie tanio i wesoło, niech doktor pamięta!...

– Do Ostendy!... – zawołał lekarz idąc w ulicę.

– Taki biedak jak ja?... – odpowiedział śmiejąc się ksiądz.

W tej chwili potrafił znajomego posłańca, który na przeprosiny pocałował go w rękę.

– O, jaki to nieuważny!... – rzekł ksiądz. – A gdzież pędzisz, bracie?

- Niosę list na pensję, do pani Latter.
- Od kogóż to?
- Od adwokata... Całuję rączki dobrodziejowi...
- „Od adwokata?... – pomyślał prefekt. – Phy! lepiej mieć do czynienia z adwokatem aniżeli z doktorem i księdzem...”.
- I poszedł ulicą uśmiechając się do słońca.

28. Wiadomość o synie

W kilka minut później pani Latter otrzymała list, w którym jeden ze znanych adwokatów zawiadamiał ją, że pan Eugeniusz Arnold powierzył mu „wiadomą” sprawę i zostawił do dyspozycji pani Latter osiemset rubli, które w każdej chwili mogą być podniesione.

Pani Latter uśmiechnęła się.

– Pilno memu panu mężowi – szepnęła – ale trochę musi poczekać.

Odsunęła szufladkę i policzyła pieniądze.

„To dla służby – myślała dotykając jednej paczki – to dla nauczycielek... to na czas świąt... Gdybym miała jeszcze ze sześćset rubli, mogłabym na parę tygodni zamknąć usta gospodarzowi...”

Gdybym od adwokata wzięła te osiemset rubli?... Aha, zaraz!... On natychmiast dałby znać memu mężowi, a ten – swojej nałożnicy... Nie, kochankowie!... pomęczcie się...”.

Nagle zerwała się od biurka z zaciśniętymi pięściami:

– A niegodziwa Hela, przeklęta!... Mnie zmusić do spełnienia życzeń pana Lattera, bratu zawiązać przyszłość... Nie, mam tylko jedno dziecko: mego syna... A ty, potworze, zostaniesz guwernantką. I może w najlepszym razie będziesz kiedyś za pieniądze uczyła dzieci tego nędznika Solskiego, które powinny być twoimi dziećmi... Święta prawda, że każdy jest kowalem swego losu...

Zadzwoniła i kazała zawołać pannę Martę. A gdy gospodyni weszła na palcach, robiąc minę pensjonarki, rzekła:

– Cóż ten Żyd, jest?

– Jaki Żyd?... – spytała Marta. – Fiszman?...

– No, Fiszman.

– Myślałam, że już niepotrzebny – szepnęła gospodyni spuszczać oczy.

Teraz panią Latter ogarnęło zdumienie.

– Dlaczego?... – zapytała z gniewem. – Przecież wczoraj po obiedzie prosiłam panią, ażeby mi go sprowadzić... Czy sądzi pani, że w ciągu nocy wygrałam na loterii?...

– Zaraz go zawołam – odparła zawstydzona gospodyni i dygnawszy znowu po pensjonarsku, wyszła.

„Co to znaczy? – myślała pani Latter. – Jakie miny wyrabia ta kucharka?... Czyby już wiedzieli o powrocie mego męża i o pieniądzech?”.

Zawołała Stanisława i rzekła ostrym tonem:

– Słuchaj no, spojrzij mi w oczy...

Siwy lokaj spokojnie wytrzymał jej ogniste spojrzenie.

– Ktoś mi tu... papiery przewraca – objaśniła go pani Latter.

– Nie ja – odparł.

– Spodziewam się. Możesz odejść.

„Wszyscy mnie szpiegują – mówiła do siebie pani Latter, szybko chodząc po gabinecie. – On także... Nieraz przecie łapałam go na podsłuchiwanie... – Jestem pewna, że i wczoraj podsłuchiwał, ale – mówiliśmy po francusku”.

– Niestety jestem... biedna moja głowa!... – dodała półgłosem, chwytając się za głowę.

Potem poszła do sypialni i wypila kieliszek wina drugi dzisiaj.

– Ach, jak to uspakaja!... – szepnęła.

O pierwszej przyszedł Fiszman. Był to stary Żyd, nieco zgarbiony, w długim surducie. Nisko uklonił się pani Latter i spod oka przypatrywał się sprzętom.

– Potrzebuję sześciuset rubli na miesiąc – rzekła czując, że krew uderza jej do głowy.

– Kiedy pani potrzebuje? – zapytał po namyśle.

– Dziś, jutro... za parę dni.

Żyd milczał.

– Cóż to znaczy? – spytała zdziwiona pani Latter.

– Ja dziś nie mam sześćset rubli, a odbiorę może za dwa tygodnie.

– Więc po co tu przyszedłeś!...

– Bo mam takiego znajomego, co by i dziś pożyczył, ale on chce zastawu – odparł Żyd.

Pani Latter zerwała się z fotelu.

– Oszalałeś!... – krzyknęła. – Więc ja na mój podpis nie dostanę sześciuset rubli? Chyba nie wiesz, kto jestem?

Fizsman zmieszał się i rzekł tonem perswazji:

– Przecie pani wie, że ja nieraz dawałem na pani podpis. Ale dziś nie mam, a ten znajomy chce zastawu.

Pani Latter cofnęła się i patrzyła na niego nie rozumiejąc, co powiedział.

– Na czyj podpis?... – spytała.

– Na pani, pani Karoliny Latter, jak pani ręczyła za pana Norskiego.

Pani Latter pociemniało w oczach. Nagle schwyciła go za klapę surduta i zawołała chrapliwym głosem:

– Kłamiesz... kłamiesz!...

– Co pani mówi?... – odparł oburzony, wydzierając się jej z rąk. – Pani nie poręczała weksli pana Norskiego?

Pani Latter zbladła, zawahała się, lecz po chwili rzekła stanowczym głosem:

– Tak, poręczałam weksle mego syna nieraz... Ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Fizsman spojrzał na nią spod zaczerwienionych powiek.

– To wszystko jedno. Ale weksle ja kupowałem.

– Masz pan jeszcze jaki?... – spytała ciszej.

– Nie. Pan Norski dwudziestego piątego marca wykupił ostatni.

– Ach, tak... Ile tam było?

– Trzysta rubli.

– Aha... Kiedyż to on był wystawiony?

– W styczniu – odparł Żyd.

– Ach, ten?... Nie wiedziałam, że pan bierzesz takie duże procenta.

Żyd patrzył na nią z politowaniem. Weksel był nie na trzysta, tylko na dwieście rubli, wystawiony nie w styczniu, lecz w końcu lutego. To znaczy, że pani Latter nie wiedziała o niczym, a więc i nie poręczała weksli.

– To się zdarza – mruknął.

– Co?

– Że poręczyciel może nie wiedzieć nazwiska wierzyciela... Wszystko jedno, byle było zapłacone – mówił Fizsman.

Pani Latter ciężko odetchnęła.

– Możesz pan odejść – rzekła.

– A te sześćset rubli, co pani chciała?

– Nie dam zastawu.

– Może ja do jutra wystaram się bez zastawu – odparł. – Ja przyjdę jutro.

Wyszedł zostawiając osłupiałą panią Latter. Gdyby nie zapach starego kitu, który jeszcze czuć było w gabinecie, nie wierzyłaby, że przed chwilą stał tu człowiek, który miał w rękach weksle jej syna, poręczane przez nią!

To, o co posądzala swego drugiego męża zrobił – syn, dziecko ubóstwiane, na którym opierała ostatnią nadzieję, którego wielkie czyny i sława miały wynagrodzić bóle jej życia wypełnionego goryczą.

Myśląc tak, nie czuła pretensji do Kazimierza.

Czuła tylko, że jej siły są wyczerpane i że za wszelką cenę chce spokoju. Nawet nie na długo, bodaj parę dni, byle przez ten czas nikogo nie widzieć, z nikim nie rozmawiać, o wszystkim zapomnieć. Gdyby istniał jakiś sposób pogrążenia się w letarg, pani Latter użyłaby go.

– Ciszy... spokoju!... – szeptała leżąc z zamkniętymi oczyma na kanapce. – Gdybyżem ja mogła zasnąć...

Stanisław, który siedząc w przedpokoju wiedział o każdym ruchu swej pani, zatrwożył się długim milczeniem i wszedł. Drgnęła i rzekła:

– Czego chcesz?

– Zdawało mi się, że pani woła.

– Idź sobie i niech ci się nic nie zdaje – odpowiedziała zmienionym głosem.

Stanisław poszedł do panny Marty na radę. W kwadrans pani Latter usłyszała pukanie do drzwi głównych.

– Kto tam?

– Ja – odpowiedziała wchodząc pensjonarka z czwartej klasy.

– Zaraz wyjeżdżam i przyszedłam panią pożegnać...

Błąd pani Latter podniosła się z kanapki i ucałowała dziewczynkę.

– Życzę ci wesołych świąt, moje dziecko...

– Mama kazała przeprosić panią przełożoną, że za ten kwartał odda dopiero po świętach...

– Dobrze, moje dziecko...

– I jeszcze kazała mama prosić...

– Dość, moje dziecko...

– O te lekcje muzyki...

– Zlituj się!... – Pogadamy o tym po świętach – przerwała pani Latter delikatnie odsuwając ją. Dziewczynka zalała się łzami i wybiegła z gabinetu. Pani Latter znowu upadła na kanapkę.

Około drugiej cichutko wsunęła się panna Marta.

– Proszę pani – szepnęła – ja każę dla pani zrobić filiżankę bulionu na obiad i...

– Na miłosierdzie boskie, panno Marto – przerwała pani Latter – zostawcie mnie w spokoju...

– Bo dziś, proszę pani, jest zupa kartoflana...

– Spokoju chcę, panno Marto, spokoju... – jęknęła pani Latter.

Zostawiono ją w spokoju, więc leżąc zasłoniła oczy rękoma i myślała:

„Po co ja kazałam sprowadzić tego Fiszmana?... Czyja to intryga, że właśnie on przyszedł i powiedział o wekslach?... Marta go sprowadziła, dlaczego? Marta chodziła do Szlamsztejna? Bo mnie zabrakło pieniędzy, ponieważ Kaziowi dałam tysiąc trzysta rubli za granicę!... Straszny łańcuch wydarzeń... drobnych wydarzeń, które jednak zdruzgotały mi duszę... Zdrowaś Maria, łaski pełna...”.

Zerwała się, błędnym wzrokiem obrzuciła gabinet, jakby lękając się zobaczyć w nim coś nadzwyczajnego i – znowu położyła się. Kilka minut leżała nie ruszając się, nie czując, nie myśląc, lecz znowu w jej duszy potoczył się prąd bolesnych marzeń.

„On nie winien, to ja jestem winna... Dlaczego nie wychowałam go w pracy, jak wychował się choćby ten... Kotowski?... Wreszcie – błąd młodości; czy to jeden robił nawet gorzej i poprawił się... Taki dzieciak mówi sobie: ja i matka jedno jesteśmy i – podpisuje matkę, z góry wiedząc, że nie odmówiłabym mu... Naturalnie głupstwo, ale po co Żyd powiedział mi to, po co?... Przecież weksle wykupione, nic się nie stało, więc dlaczego powiedziano mi o tym, dlaczego?... Boże!... jakież Ty świat stworzył, że na nim wszystko wspiera się dla zniweczenia ludzkiego spokoju... Jeszcze dziś z rana było mi tak dobrze...”.

Nagle z łoskotem otworzyły się drzwi i wpadła zaperzona panna Howard wołając:

– Niechże pani będzie łaskawa, idzie na górę i wytłumaczy tym gąsiątkom, że one muszą jeść zupę kartoflaną, jeżeli ja ją mogę jeść...

Pani Latter zerwała się. W oczach zrobiło się jej ciemno, w uszach zaszumiało i – zamachnęła rękoma jak człowiek, który gdzieś spada.

– Co to jest?... – spytała po chwili zatrwożona nie widząc poza czarnymi płatkami panny Howard.

– Te smarkate zrobiły bunt przy obiedzie i nie chcą jeść zupy kartoflanej – mówiła uczona osoba. – Niechże pani pójdzie do nich i użyje swojej powagi...

– Ja?... – spytała blada jak ściana pani Latter. – Ależ ja jestem chora... taka chora...

– Pieści się pani!... Cóż to znowu? Trzeba otrząsnąć się z apatii i podnieść głowę, jak przystało na kobietę samodzielną... No, niech się pani przemoże... błagam panią... – mówiła panna Klara wyciągając do niej rękę.

Pani Latter wtuliła się w głąb kanapki jak przełknięte dziecko.

– Na miłość boską – odparła drżącym głosem – zostawcie mnie w spokoju... Cierpię tak, że chwilami odchodzę od przytomności...

– W takim razie przyszlę pani doktora.

– Nie chcę doktora...

– No, bo coś trzeba robić... Trzeba trochę panować nad sobą – mówiła tonem wyższości panna Klara. – Taki upadek ducha...

– Precz!... – krzyknęła pani Latter wskazując jej ręką drzwi.

– Co?...

– Precz!... – powtórzyła chwytając brązowy lichtarz.

Twarz panny Klary zrobiła się popielatą.

– Wyprowadzam się – syknęła – i nie pierwszej wrócę, aż *ciebie* tu nie będzie...

Trzasnęła drzwiami, a pani Latter upadła na podłogę i zanosząc się od płaczu szarpała dywan.

Wbiegł Stanisław, za nim gospodyni, jedna z nauczycielek, nareszcie Madzia. Podniesiono panią Latter i otrzeźwiono. Powoli uspokoiła się i kazała wszystkim odejść, z wyjątkiem Madzi.

– Zaczekaj tu – rzekła po chwili.

Wyszła do swej sypialni i w kilka minut wróciła tak spokojna, że Madzia krzyknęła ze zdziwienia. Ani śladu strasznego ataku, tylko zmięta suknia i zamglone oczy przypominały, że jest to ta sama pani Latter, która kwadrans temu tarzała się z bólu na podłodze.

„Jezus Maria! jakaż to silna kobieta!...” – pomyślała Madzia.

Pani Latter zbliżyła się do niej i wzięwszy ją za rękę rzekła cicho:

– Słuchaj... Ale przysięgnij, że mnie nie zdradzisz...

– Czy może pani przypuścić?... – wyjąkała przestraszona Madzia.

– Otóż – mówiła pani Latter – ja wyjeżdżam... Zaraz wyjeżdżam stąd... A ty musisz mi pomóc...

– Ależ pani...

– Nic nie protestuj, nie spieraj się... bo jak pragnę szczęścia dzieci, zabiję się w twoich oczach – mówiła pani Latter.

– Gdzież pani chce jechać?

– Wszystko jedno... gdziekolwiek... do Częstochowy, do Piotrkowa, do Siedlec... Nie jadę na długo, na parę dni, ale... choćby przez jedną dobę nie chcę widzieć pensji i jej ludzi... Powiadam ci: gdybym została jeszcze parę godzin, zabiłabym się albo oszalałabym. A tak, wyjadę na dzień... dwa... oderwę się od tej tortury... zbiorę myśli...

Zaczęła ścisnąć i całować nauczycielkę.

– Ty mnie zrozumiesz, Madziu – mówiła. – Przecież nawet zbrodniarzy niekiedy rozkuwają z łańcuchów i wypuszczają na świeże powietrze... A ja zbrodniarką nie jestem... Pomóż mi więc, jakbyś pomogła twojej matce... Ty jedna w tym piekle masz serce dziecka... tobie jednej mogę powiedzieć, że... chyba Bóg mnie przeklął...

– Co pani mówi?... niech się pani uspokoi... – błagała Madzia usiłując upaść jej do nóg.

Pani Latter podniosła ją i posadziła obok siebie.

– Zlituj się nade mną, dziecko moje, i chciej wyrozumieć. Jestem w trudnym położeniu, a nie mam nikogo... nie tylko, ażeby poradzić się, ale nawet ażeby wypłakać, co mnie boli. Pozostaje tylko mój rozum i własna wola. Tymczasem ja tu stracę rozum... Ot i w tej chwili wydaje mi się, że ściany pokoju gną się... że podłoga zapada pode mną... Tak się boję... taki mam wstręt do tego mieszkania i ludzi, że muszę gdzieś uciec... Na jeden dzień, Madziu, na jeden dzień uwolnij mnie... a przy śmierci błogosławić cię będę... Pomożesz?...

– Tak – szepnęła Madzia.

– Więc idźmy.

Poszły do sypialni, gdzie pani Latter z pośpiechem przebrała się w kortową suknię. Potem do torby podróźnej włożyła koszulę i ręcznik, a nareszcie – butelkę wina i kieliszek.

– Patrz na moją niedolę, Madziu – mówiła ocierając łzy. – Jeżeli nie wyrwę się stąd, nie odpocznę... grozi mi pijaństwo!... Wyczerpałam się tak, że bez wina nie mogę się obejść jak człowiek chory na tyfus. Na nieszczęście nie ma dość mocnego narkotyku, który by zgłuszył gorycz, jaką nas ludzie zatruwają...

O, człowiek, cóż to za podłe zwierzę! Kiedy przychodzi na świat, modlisz się jak do cherubina, z którego po kilkunastu latach wyrasta potwór... Czy jest dziecko, którego nie kąpałaby matka łzami, nie otaczała pieścizotami?... Dla niej ono niebem, wiecznością, Bogiem, a co potem?... Prędzej czy później zdarzy się wypadek, że matka nie poznaje swego płodu i doświadcza takiego zdumienia, jak gołąb, któremu skradziono by pisklę, a podrzucono ropuchę...

– Pani nie powinna tak mówić... – wtrąciła Madzia; lecz umilkła, zawstydzona własną śmiałością.

Pani Latter spojrzała na nią wzrokiem, w którym była ciekawość i prośba.

– Mów, mów... – rzekła. – Dlaczego nie powinnam?...

– Bo przecież to nie jest występki, że Helenka nie chce iść za pana Solskiego, jeżeli go nie kocha. Bez miłości...

– Bez miłości, mówisz, nie warto iść za męża – przerwała jej pani Latter. – A z miłością, sądzisz, że warto?... Oj, dziecko, dziecko... znam kobiety, które wychodziły za męża z miłości i co z tego?... Kupowały sobie wrogów w czasach pomyślnych, zdrajców w porze walki o chleb, a szyderców w niepowodzeniu. Powiem ci, co jest miłość: wyjść za męża bogato i spisać intercyzę...

Jezus Maria!... – szepnęła nagle, wyciągając przed siebie ręce.

– Co pani?...

– Zaczekaj!... Już przechodzi... Ach, jakie to straszne!... Chwilami zdaje mi się, że się dom wali... Gdybyś widziała te ściany, kiedy się gną... Muszę stąd uciec... nie wytrzymam...

Usiadła, odpoczęła i mówiła złamanym głosem:

– Ja wiem, że to są przywidzenia, ale nie mogę się oprzeć... Rozumiem mój stan, ale już nie panuję nad sobą... Trzeba być wariatką, ażeby gniewać się na uczennicę, która nas żegna, na Martę, kiedy częstuje bulionem, na te wbiegania co pół godziny do mego pokoju... Przecież od kilkunastu lat dzieje się to samo, ciągle ktoś wpada... Ale dziś – już nie mogę wytrzymać. Każdy szmer, wyraz, każda twarz ludzka są jak rozpalone sztylety, które mi w mózg wbijają... Muszę jechać, bo tylko to mnie ocali...

Około szóstej niebo zachmurzyło się i zrobił się zmrok.

Pani Latter naprędce napisała kilka wyrazów do Zgierskiego i kazała Stanisławowi odnieść list. Potem szybko włożyła kapelusz i zarzuciła na siebie okrycie prosząc Madzi, ażeby tylnymi schodami wyniosła jej torbę na ulicę.

W kilka minut, niepostrzeżone przez nikogo, spotkały się niedaleko Kopernika. Pani Latter wskoczyła do dorożki, kazała Madzi usiąść obok siebie, a woźnicy – jechać do kolei warszawsko-wiedeńskiej.

– Masz tu klucze od biurka – mówiła do Madzi. – Ach, jak mi lekko!... Jest tam kilkaset rubli. Powiesz, że wyjechałam na parę dni... Ja także chcę mieć wakacje. Dopiero w tej chwili czuję, że będę zdrowa, choć jeszcze kłaniają mi się kamienice... Ale to drobiazg!... Gdy odetchnę i powrócę – wszystko się zmieni, a tobie, Madziu, zrobię propozycję... Kto wie, może jeszcze będziesz kiedy przełożoną?...

„Niechże mnie Bóg broni!...” – pomyślała Madzia.

– Oto wszystko – mówiła pani Latter. – A teraz, do widzenia!... Wsiądź z dorożki, nie wracaj zaraz na pensję, a gdy wrócisz – mów, co ci się podoba. Wybornie udał mi się figiel...

Kazała dorożkarzowi stanąć i uścisnęła Madzię.

– Wsiadaj, wsiadaj... Bądź zdrowa!...

Po chwili zniknęła dorożka zostawiając na rogu ulicy osłupiałą Madzię.

29. Pomoc gotowa

Odurzenie Madzi trwało niedługo, tym bardziej że na ulicy zaczął krążyć jakiś młody człowiek, prawdopodobnie z zamiarem ofiarowania jej swoich usług i serca. Ocknęła się, a w głowie jej wyraźnie zarysowały się dwie myśli: pierwsza – że pensja pani Latter jest zgubiona, druga – że w takiej chwili trzeba iść do Dębickiego.

Co on mógł poradzić?... absolutnie nic. Ale Madzia czuła, że jest jakieś wielkie niebezpieczeństwo i że w podobnych chwilach trzeba chronić się do człowieka uczciwego. W jej zaś oczach Dębicki był najuczciwszym z ludzi, jakich знаła. Ten ubogi, schorowany, wiecznie zakłopotany nauczyciel wyrósł na niebotyczną skałę. Jeżeli zastanie go w domu – jest ocalona; gdyby przypadkiem wyjechał, Madzi pozostawało chyba – utopić się...

Już nie chodziło jej ani o pensję, ani o panią Latter, ale o samą siebie. Potrzebowała usłyszeć dobre słowo z ust prawego człowieka, a przynajmniej spojrzeć na jego twarz i uczciwe oczy. Teraz on był najmędrszym, najlepszym, najpiękniejszym, on, jedyny człowiek, któremu w podobnej sytuacji można bezwzględnie ufać.

Wsiadła w dorożkę i kazała zawieźć się do pałacu Solskich. Zadzwoiła do sieni – nie otwierano; więc poczęła dzwonić dopóty, aż w sieni rozległo się powolne stąpanie. Zakręcono kluczem i w uchylonych drzwiach ukazał się stary człeczyna mający potężne brwi, a na głowie kilka kęp siwych włosów.

– Pan Dębicki jest? – zapytała.

Stary rozłożył ręce ze zdziwienia, lecz wskazał jej drzwi na prawo. Madzia wpadła tam i w dużym pokoju, przy lampie z zielonym daszkiem, zobaczyła Dębickiego. Siedział przy stole i pisał.

– Ach, panie profesorze – zawołała Madzia – jak to dobrze, że pan jest!...

Dębicki podniósł na nią jasne oczy, ona zaś rzuciła się na fotel i zaczęła szlochać.

– Tylko niech się pan nie niepokoi – mówiła. – To nic... jestem trochę rozstrojona... O, żeby tylko pan nie zachorował... W tej chwili odprowadziłam panią Latter... Wyjechała!...

– Na święta? – spytał Dębicki wpatrując się w Madzię. A w duchu dodał:

„Zawsze musi być jakaś komedia z tymi babami!...”.

– Nie na święta... Prawie uciekła!... – odparła Madzia.

I w sposób zwięzły, co niesłychanie dziwiło Dębickiego, opowiedziała mu o nagłej chorobie pani Latter, o powrocie męża, o możliwym bankructwie pensji...

Dębicki wzruszył ramionami: słyszał wszystko, lecz niewiele rozumiał.

– Proszę pani – rzekł – do mnie o to nie można mieć pretensji. Ja prawie nigdzie nie wychodzę i nie mam zwyczaju wypytywać o cudze interesa... Ale pieniądze dla pani Latter są...

– Jakie pieniądze?...

– Cztery... pięć... do dziesięciu tysięcy rubli... Pan Stefan Solski na żądanie panny Ady Solskiej taką sumę zostawił do dyspozycji pani Latter, gdyby kiedy znalazła się w kłopotach finansowych... No, ale ja, jak się pani domyśla, o jej położeniu nie mogłem wiedzieć.

– Zostawił?... Ależ on zerwał z Helą! – zawołała Madzia.

– Zerwał!... – powtórzył Dębicki machając ręką. – W każdym razie przed tygodniem jeszcze raz przypomniał mi o pożyczce dla pani Latter, gdyby potrzebowała.

– Ona nie przyjąłaby od pana Solskiego – rzekła Madzia.

– Znaleźlibyśmy kogo innego, jakąś współpracownicę czy nabywczynię pensji... Ale z panią Latter ciężka sprawa...

Madzia spojrzała na niego pytająco.

– Proszę pani – mówił zakłopotany – sprawa jest ciężka z tego względu, że pani Latter niczego nie uznaje prócz własnej woli...

– Nadzwyczajna kobieta! – wtrąciła Madzia.

Dębicki zaczął targać sobie resztki włosów i patrząc na stół mówił:

– Tak, to energiczna osoba, ale – przepraszam panią – energiczna po kobiecemu. Jej się wydaje, że to, czego ona chce, powinno być prawem natury... a tak przecie nie można... Nie można prowadzić pensji drogiej, kiedy kraj zubożał i powstało mnóstwo pensyj tańszych... Nie wypada wysyłać dzieci za granicę, kiedy się nie ma pieniędzy... Niepodobna, ażeby jedna kobieta pracowała na trzy osoby, z których każda lubi dużo wydawać...

– Ale pan Solski pożyczy dziesięć tysięcy rubli? – wtrąciła Madzia.

– Tak... tak... To może być zrobione każdej chwili, jutro, dziś... No, ale on, a raczej ta osoba, która będzie układać się z panią Latter, postawi swoje warunki...

– Boże, Boże!... dlaczego ja nie przyszedłam do pana tydzień temu – mówiła Madzia składając ręce.

– Proszę pani – odparł – według mego zdania, to wszystko jedno. Złe tkwi nie w braku pieniędzy, ale – w usposobieniu pani Latter, która... doprawdy – jest troszeczkę za energiczna i lubi iść przebojem... A tak nie można... Człowiek musi uznać prawa natury czy innych ludzi, gdyż inaczej rozbije się dziś albo jutro.

– Więc według pana kobiety nie powinny być energiczne?... – nieśmiało wtrąciła Madzia.

– Owszem, pani: wszyscy ludzie powinni mieć rozum, serce i energię, tylko – nie za dużo rozumu, nie za dużo serca, nie za wiele energii... Bo co innego jest ustępowanie wszystkiemu i wszystkiemu, a co innego – narzucanie swojej osobistości. Co innego ślamazarna bierność, a co innego nieuznawanie żadnych praw poza swoimi interesami czy kaprysami.

Madzi było przykro słuchać tego o pani Latter, lecz – wierzyła Dębickiemu, a nade wszystko czuła, że on panią Latter scharakteryzował surowo, ale dokładnie. W każdym jej słowie, ruchu, postawie, nawet kiedy była najłagodniej usposobiona, odzywało się: „Ja tu jestem, ja tak chcę...”.

Ale mając inny charakter może nie zostałyby kierowniczką setek osób.

– Więc, proszę pana, te dziesięć tysięcy rubli... – odezwała się Madzia.

– No, zaraz dziesięć!... – uśmiechnął się Dębicki. – Naprzód zobaczymy, ile potrzeba? Szkoda, że dowiedziałem się tak późno, ale – nic straconego. Po powrocie pani Latter zgłosi się do niej ktoś z propozycjami i – będzie dobrze.

Madzia uszczęśliwiona pożegnała Dębickiego. Jaka ona była dumna, że to przez nią, przez taki proszek jak ona, spłynie pomyślność na panią Latter, która nawet nie domyśli się, kto jej oddał usługę. A jak żałowała, jak ciężkie robiła sobie wyrzuty, że nie przysłała tu wcześniej...

– Swoją drogą – mówiła – gdyby Dębicki został na pensji profesorem, nie byłoby tych kłopotów...

I w tej chwili ogarnął ją strach: zrozumiała bowiem, co znaczy logika faktów... Tak, na świecie nic nie ginie, a drobne błędy, nawet zapomniane, z czasem odzywają się i ciężko wąż na życiu.

Kiedy wróciła na pensję, wbiegła do ciemnej sali za swój szafirowy parawanik; tam uklękła i chciała modlić się na podziękowanie Bogu, iż ją zrobił narzędziem łaski nad panią Latter. Lecz że do głębi wzburzona jej dusza nie znajdowała słów podzięk, więc Madzia biła się w piersi szepcząc: „Boże, bądź miłościw nam grzesznym...”.

Pobożne jej skupienie trwało krótko. Wnet bowiem drzwi uchyliły się i do ciemnej sypialni wpadł strumień światła, na którego tle zarysowało się kilka głów i główek. Jednocześnie rozmawiano:

– Przynieś lampę...

– Może rozgniewa się...

– Czy tu jest panna Magdalena?...

Madzia wyszła zza parawanu; a gdy o tyle zbliżyła się do drzwi, że można ją było dojrzeć, gromadka osób stojących na korytarzu szybko cofnęła się ku schodom. Przy czym rozległ się głos panny Marty:

– A to tchórz ze Stanisława... Niby mężczyzna i najpierwszy ucieka...

– Co to jest?... – zapytała zmieszana Madzia zatrzymując się na progu sypialni.

Wtedy wszyscy przybiegli z powrotem i w jednej chwili otoczyły Madzię pensjonarki, damy klasowe i służba patrząc na nią wylęknionymi oczyma i rozprawiając tak bezładnie, że nic zrozumieć nie mogła.

- Gdzie pani przełożona? – pytała jedna z pensjonarek.
- Nam się należą zasługi!... – wtrąciła pokojówka.
- Co ja jutro dam jeść panienkom? – wołała gospodyni.
- Tu już był pan rządca i rewirowy... – dorzucił Stanisław.

Pod Madzią zachwiały się nogi.

„Czy oni mnie o co posądzają?...” – myślała przerażona.

Szczęściem, z drugiego końca korytarza nadbiegła panna Howard w białym peniuarze, z rozpuszczonymi płowymi włosami i roztrąciwszy zebranych schwyciła Madzię za rękę.

– Chodź, pani, do mnie – rzekła. – A wy – dodała surowo – na swoje miejsca!... Ja zastępuję przełożoną i gdy będzie potrzeba, dam objaśnienia.

W pokoju panny Klary Madzia upadła na krzesło i przymknęła oczy. Jej też zdawało się, że ściany wyginają się, a podłoga drży pod nogami.

- No i cóż ta nieszczęśliwa?... Gdzież ona jest?... – zaczęła zniżonym głosem panna Howard.
- Pani Latter wyjechała...
- Tylko mi pani tego nie mów, panno Magdaleno.
- Ależ z pewnością wyjechała.
- Dokąd?...
- Czy ja wiem?... Zapewne do Częstochowy, ale za parę dni wróci.

Panna Howard zastanowiła się.

– To być nie może, ona jest w Warszawie. A ponieważ rozumiem, dlaczego opuściła pensję, ponieważ ja jedna mogę ją skłonić do powrotu...

– Pani?... – spytała Madzia.

Panna Howard stanęła na środku pokoju w pozie dramatycznej.

– Posłuchaj, pani – mówiła głębszym niż zwykle kontraltem, wznosząc oczy na wysokość oberlichtu. – Kiedy te smarkate zbuntowały się dziś z powodu zupy kartoflanej, poszłam do pani Latter i chciałam ją rozbudzić z apatii... Była rozdrażniona, posprzeczałyśmy się, a ja powiedziałam jej, że opuszczam pensję i nie wrócę, dopóki – ona tu będzie... Teraz pojmujesz?... Pani Latter znalazła się wobec jednej z dwu alternatyw: albo mnie przeprosić, albo usunąć się z pensji. No, i wybrała to drugie, szalona, lecz dumna kobieta...

Madzia otworzyła oczy i usta. Panna Howard zaczęła spacerować po swoim ciasnym pokoju i mówiła dalej:

– Domyślasz się, pani, że odniósłszy takie zwycięstwo nie okażę się okrutną. Nie chcę, ażeby upokarzała się przede mną kobieta samodzielna i mimo błędów o całe niebo wyższa nad zwykły poziom. Nie pytam więc, gdzie się obecnie ukrywa, lecz proszę panią, ażebyś zobaczywszy się z nią powiedziała jej te słowa:

„Panna Howard zostaje na pensji, panna Howard wszystko puściła w niepamięć. Sądzi bowiem, że obie panie zajmujecie zbyt podniosłe stanowiska, ażebyście walcząc ze sobą miały przyczyniać się do triumfu przesądów!...”.

To niech jej pani powie, panno Magdaleno – kończyła. – A gdy wróci na pensję, sama wyjdę naprzeciw niej i milcząc pierwsza podam jej rękę. Są chwile w życiu ludzkim, panno Magdaleno, podczas których milczenie zastępuje najwznioślejszą mowę.

W tym momencie łącząc praktykę z teorią, panna Howard przystąpiła do Madzi, mocno uścisnęła ją za rękę i – milczała. Ale milczała zaledwie kilka sekund. Wnet zaczęła opowiadać Madzi, że pomywaczka spostrzegła z okna wyjście pani Latter, że jakiś posłaniec widział panią Latter, jak z kufrem i z drugą panią jechała dorożką, że z tych poszlak gospodyni, panna Marta, domyśliła się,

iż pani Latter ucieka, i że skutkiem tego w kwadrans po opuszczeniu pensji przez panią Latter cała kamienica i dwie sąsiednie kamienice dowiedziały się, że – pani Latter uciekła przed wierzycielami.

W tej chwili Madzi zaczęło się kręcić w głowie, opanował ją strach, zbrzydła jej Marta, panna Howard, pensja...

Teraz odczuła cierpienia pani Latter i jej niepohamowane pragnienie ucieczki gdzieś tak daleko, gdzie nie dolatywałyby nawet wieści o tych osobach i stosunkach.

30. Rój po odlocie matki

Tej nocy Madzia wcale nie spała, trapiąca złymi przeczuciami co do własnej przyszłości. Co niebawem zaczęło się potwierdzać.

Z rana przyszedł do niej, do niej samej, rewirowy i począł wypytywać: gdzie wyjechała pani Latter, o której godzinie, jaki był numer dorożki i czy z pewnością skierowała się ku dworcowi warszawsko-wiedeńskiemu? Rewirowy zadawał pytania w sposób łagodny; niemniej jednak jego pałasz i zakręcone wąsy były dla Madzi stanowczym dowodem, że popełniła zbrodnię, za którą zostanie okuta w kajdany i wrzucona do lochu tak głębokiego, jak wieża ratuszowa jest wysoka.

Ledwie wyszedł rewirowy udając, że nie ma zamiaru okuć Madzi w kajdany i wrzucić do podziemnych pieczar, aliści ukazał się – rządcą domu. Ten znowu zwrócił się do Madzi i znowu zaczął ją wypytywać: gdzie wyjechała pani Latter? czy mówiła, że ma zamiar powrócić? czy nie wspomniała o kwalifikacji do paszportu i o zapłaceniu za komorne? Rządca nie miał wprawdzie wąsów ani pałasza, ale był zezowaty, co Madzi nasunęło myśl, że pewnie ją pociągną do zapłacenia komornego, dzięki czemu z owych trzech tysięcy rubli, które jej zapisała babcia, nie zostanie ani jednego grosika.

Jeszcze rządca nie ukończył badań, gdy zjawił się niespokojny – gospodarz domu. Ten również zaczął Madzię, lecz nie pytając, gdzie pojechała pani Latter, zaczął od razu narzekać, że straci część komornego, ponieważ wszystkie meble są podobno własnością pana Stefana Zgierskiego, z którym może być zawikłany proces.

Zdziwiona tym odkryciem Madzia była pewna, że nie tylko przepadną jej pieniądze po babci, ale że nienasycony gospodarz na zaspokojenie komornego każe przyaresztować jej tualetkę, serwetkę i brązowy lichtarz ze szklaną profitką.

W ciągu tych ciężkich godzin wprawdzie niekiedy przypominała sobie, co powiedział Dębicki, że pani Latter w każdej chwili może mieć pieniądze. Lecz wspomnienie to wydawało jej się snem wobec realnych wąsów rewirowego, krzywych oczu rządcy domu i niepokoju właściciela.

„Co tu poradzi biedny Dębicki!...” – myślała wyobrażając sobie, że na jej kędzierzawą główkę wali się pensja pani Latter, cała kamienica, cały świat...

Lecz około pierwszej po południu zmieniła się sytuacja tak dalece, że Madzia z najgłębszej rozpaczyny wzniosła się do najwyższego optymizmu.

Przede wszystkim, gdy wręczyła pannie Howard klucze zostawione jej przez panią Latter i gdy po otwarciu biurka w obecności całej pensji znaleziono w szufladzie kilkaset rubli, gospodyni, panna Marta, wpadła w taką radość, że w pierwszej chwili podejrzewano ją o zachwianie władz umysłowych. Zaczęła skakać płacząc i wołając:

– Wystarczy na utrzymanie domu!... Będą obiady!... Przysięgnę, że pani wróci... Ona pewnie pojechała do Częstochowy ofiarować Pannie Najświętszej swoje zgryzoty z tym krymina...

– Proszę być cicho!... – zgromiła ją panna Howard, która na widok gotówki uczuła, że jej władza nad pensją posiadała realną podstawę.

Bez względu na upomnienie panna Marta nie przestawała manifestować swojej uciechy. Damy klasowe zaczęły wyliczać zalety przełożonej, sługi wyrażały ufność, że nie przepadnie im zapłata, a zagrożone głodem pensjonarki same nie wiedząc czego tarły sobie oczy i rzucały się jedna drugiej w objęcia.

I w smutnym przed chwilą gabinecie zrobiło się tak wesoło, iż nawet Madzia nabrała otuchy i pomyślała, że może nie okują jej w kajdany i nie rzucają do podziemnych pieczar.

W chwili największego hałasu cicho jak cień wsunął się do gabinetu okrągłutki, pulchniutki i skromnie, choć elegancko ubrany pan Zgierski. Jego łysina wydawała się olbrzymią, a czarne oczki mniejszymi i bystrzejszymi niż zwykle. Spojrzał naprzód na meble, potem na panienki; potem jego

czoło wyrażało frasunek, a twarz nadzieję; nareszcie dostrzegłszy pannę Howard posunął się do niej krokiem kontredansowym i czule ujmując za rękę rzekł:

– Cóż to za piękne zgromadzenie!... Nie mogę odmówić sobie przyjemności ucałowania rączki pani – dodał, delikatnie jak zefir dotykając ustami odnośnej części ciała panny Klary.

– Są pieniądze!... są pieniądze!... – powtarzała gospodyni klaszcząc w ręce.

Przestrach błysnął na obliczu Zgierskiego i w jego świderkowatych oczach. Skombinował bowiem, że to jego posądzają o zamiar wspomżenia upadającej pensji.

– Co znowu!... – przerwał dosyć szorstko. – To ja mam pięć tysięcy rubli u pani Latter...

– Ale pani zostawiła pieniądze w biurku – odparła gospodyni.

Teraz fizjognomia Zgierskiego zajaśniała uczuciem błogości.

– Spodziewałem się tego – rzekł. – Pani Latter jest zbyt szlachetną kobietą...

Umilkł jednak sądząc, że właściwiej będzie pierwszej zbadać, co jest, a dopiero później chwalić lub ganić.

Na znak panny Howard pensjonarki, panna Marta i Stanisław szybko usunęli się z gabinetu. Przykład ich naśladowały damy klasowe w sposób odpowiadający powadze ich stanowiska.

– Pani raczy mnie zaprezentować tym damom – szepnął Zgierski do panny Howard patrząc na Madzię.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.